



K U R T V O N N E B U T



KOCIA KOŁYSKA

Kurt Vonnegut Jr.

Kocia Kołyska

(przełożył Lech Jęczmyk)

*W tej książce nie ma ani słowa prawdy.
- Kierujcie się w życiu formą, czyli
nieszkodliwym łgarstwem - ono da wam
odwagę, dobro, zdrowie i szczęście".
(Księga Bokonona I,5)*

Spis treści

- [1. DZIEŃ, W KTÓRYM NASTĄPIŁ KONIEC ŚWIATA](#)
- [2. PRZEDZIWNY MECHANIZM](#)
- [3. GŁUPOTA](#)
- [4. PIERWSZY KONTAKT](#)
- [5. LIST STUDENTA MEDYCYNY](#)
- [6. WALKI OWADÓW](#)
- [7. WYBITNA RODZINA](#)
- [8. ROMANS NEWTA I ZINKI](#)
- [9. WICEPREZES DO SPRAW WULKANÓW](#)
- [10. TAJNY AGENT X-9](#)
- [11. PROTEINY](#)
- [12. KOKTAJL "KONIEC ŚWIATA"](#)
- [13. ODSKOCZNIA](#)
- [14. SAMOCHODY Z KRYSTAŁOWYMI WAZONAMI](#)
- [15. WESOŁYCH ŚWIĄT](#)
- [16. Z POWROTEM DO PRZEDSZKOLA](#)
- [17. ŻEŃSKI KLASZTOR](#)
- [18. NAJCENNIJSZY TOWAR NA ZIEMI](#)
- [19. KONIEC Z BŁOTEM](#)
- [20. LÓD-9](#)
- [21. PIECHOTA MORSKA ATAKUJE](#)
- [22. PRZEDSTAWICIEL PRASY BRUKOWEJ](#)
- [23. ŁABĘDZIA PIEŚŃ](#)
- [24. CO TO JEST WAMPETER](#)
- [25. CO BYŁO NAJWAŻNIEJSZE DLA DOKTORA HOENIKKERA](#)
- [26. CO TO JEST BÓG](#)
- [27. PRZYBYSZ Z MARSA](#)
- [28. MAJONEZ](#)
- [29. ODESZLI, ALE PAMIĘĆ O NICH POZOSTAŁA](#)
- [30. ONA TYLKO ŚPI](#)
- [31. INNY BREED](#)
- [32. PIENIĄDZE ZA DYNAMIT](#)
- [33. NIEWDZIĘCZNIK](#)
- [34. VIN-DIT](#)
- [35. SKLEP "U JACKA"](#)
- [36. MIAU](#)
- [37. WSPÓŁCZESNY GENERAL MAJOR](#)
- [38. ŚWIATOWE CENTRUM POŁOWÓW BARAKUDY](#)
- [39. FATAMORGANA](#)
- [40. DOM NADZIEI I MIŁOSIERDZIA](#)
- [41. KARASS NA DWOJE](#)
- [42. ROWER DLA AFGANISTANU](#)
- [43. PO PROSTU CZŁOWIEK](#)
- [44. SYMPATYCY KOMUNIZMU](#)
- [45. DLACZEGO AMERYKANIE SĄ ZNIENAWIDZENI](#)
- [46. BOKONONISTYCZNY SPOSÓB NA CESARZA](#)
- [47. DYNAMICZNE NAPIĘCIE](#)
- [48. ZUPEŁNIE JAK ŚWIĘTY AUGUSTYN](#)
- [49. RYBA WYRZUCONA PRZEZ WZBURZONE MORZE](#)
- [50. SYMPATYCZNY LILIPUT](#)
- [51. DOBRZE, MAMO](#)
- [52. BEZ BÓLU](#)
- [53. PREZES FIRMY FABRI-TEK](#)
- [55. NIGDY NIE SPORZĄDZAJ SKOROWIDZA DO WŁASNEJ KSIĄŻKI](#)
- [56. PIEKIELNE PERPETUUM MOBILE](#)

[57. KOSZMARNY SEN](#)
[58. SWOISTA ODMIANA TYRANII](#)
[59. PROSZE ZAPIAĆ PASY](#)
[60. UPOŚLEDZONY NARÓD](#)
[61. RÓWNOWARTOŚĆ KAPRAŁA](#)
[62. DLACZEGO HAZEL NIE BYŁA PRZESTRASZONA](#)
[63. BOGOBOJNI I WOLNI](#)
[64. POKÓJ I DOBROBYT](#)
[65. NAJODPOWIEDNIEJSZY MOMENT DO ODWIEDZENIA SAN LORENZO](#)
[66. POTEGA](#)
[68. STU MECENIKUF](#)
[69. WIELKA MOZAIKA](#)
[70. UCZEŃ BOKONONA](#)
[71. DLACZEGO DOBRZE JEST BYĆ AMERYKANINEM](#)
[72. OBERŻA POD SZCZYLEM](#)
[73. CZARNA](#)
[74. KOCIA KOŁYSKA](#)
[75. PROSZE POZDROWIĆ ODE MNIE ALBERTA SCHWEITZERA](#)
[77. ASPIRYNA I BOKO-MARU](#)
[78. STAŁOWY PIERŚCIEŃ OBLAWY](#)
[79. CO SIĘ STAŁO Z DUSZĄ MCCABE'A](#)
[80. POŁAWIACZE ODPADKÓW](#)
[81. BIAŁA NARZECZONA DLA SYNA KONDUKTORA](#)
[82. ZAH-MAH-KI-BO](#)
[84. ZACIEMNIENIE](#)
[85. STEK BZDUR](#)
[86. DWA MAŁE TERMOSY](#)
[87. JESTEM RÓWNY GOŚĆ](#)
[89. DUFFLA](#)
[90. JEDYNY WARUNEK](#)
[91. MONA](#)
[92. POETA OPIEWA SVOJE PIERWSZE BOKO-MARU](#)
[93. JAK OMAL NIE STRACIŁEM SWOJEJ MONY](#)
[94. NAJWYŻSZA GÓRA](#)
[95. WIDZĘ HAK](#)
[96. DZWONEK, KSIĄŻKA I KURA W PUDLE NA KAPELUSZE](#)
[97. ŚMIERDZĄCY CHRZEŚCIJANIN](#)
[98. OSTATNI OBRZĄDEK](#)
[99. BUK STFOSZIL GLINA](#)
[100. FRANK STACZA SIĘ DO LOCHÓW](#)
[102. WROGOWIE WOLNOŚCI](#)
[103. OPINIA LEKARSKA NA TEMAT SKUTKÓW STRAJKU PISARZY](#)
[104. SULFATIAZOL](#)
[105. ŚRODEK ZNIECZULAJĄCY](#)
[108. FRANK MÓWI, CO TRZEBA ZROBIĆ](#)
[109. FRANK SIĘ BRONI](#)
[110. ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)
[111. CHWIŁA ODPOCZYNKU](#)
[112. TOREBKA MATKI](#)
[113. HISTORIA](#)
[114. GDY POCZUŁEM, ŻE POCISK PRZESZYWA MI SERCE](#)
[116. POTEŻNE WESTCHNIENIE](#)
[117. SCHRON](#)
[118. ŻELAZNA DZIEWICA I LOCH](#)
[119. MONA DZIEKUJE](#)
[120. DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH](#)
[121. SPÓŹNIAM SIĘ Z ODPOWIEDZIĄ](#)
[123. MYSZY I LUDZIE](#)

[124. MRÓWCZA FARMA FRANKA](#)

[125. TASMAŃCZYCY](#)

[126. WIĘC GRAJCIE, FLETY, BEZGŁOŚNE PIOSENKI](#)

[127. KONIEC](#)

1. DZIEŃ, W KTÓRYM NASTĄPIŁ KONIEC ŚWIATA

Możecie nazywać mnie Jonaszem. Moi rodzice nazwali mnie bardzo podobnie, bo dali mi na imię John.

Jonasz, John - choćbym miał na imię Sam, to i tak byłbym Jonaszem - nie dlatego, żebym ściągał na ludzi nieszczęście, ale dlatego, że coś, albo może ktoś, sprawia, że w określonym czasie zjawiam się nieomylnie w określonych miejscach. Zawsze znajduję jakieś powody do podróży i niezbędne środki transportu, czasem konwencjonalne, a czasem najzupełniej fantastyczne. I Jonasz, zgodnie z planem, zjawia się zawsze w odpowiednim czasie w wyznaczonym miejscu.

Posłuchajcie:

Kiedy byłem młodszy - dwie żony temu, ćwierć miliona papierosów temu, trzy tysiące litrów alkoholu temu...

Jednym słowem, kiedy byłem dużo młodszy, zacząłem zbierać materiały do książki pod tytułem *Dzień, w którym nastąpił koniec świata*.

Miała to być książka dokumentalna.

Miała to być relacja o tym, co porabiali różni wybitni Amerykanie w dniu, w którym zrzucono pierwszą bombę atomową na Hiroszimę.

Miała to być książka chrześcijańska. Wówczas byłem chrześcijaninem.

Teraz jestem bokononistą.

Byłbym bokononistą i wtedy, gdybym tylko wcześniej spotkał kogoś, kto zapoznałby mnie z gorzko-słodkimi kłamstwami Bokonona. Jednak bokononizm nie był znany poza obrębem kamienistych plaż i raf koralowych, otaczających małą wysepkę na Morzu Karaibskim, Republikę San Lorenzo.

My, bokononiści, wierzymy, że ludzkość jest zorganizowana w zespoły, które - nie zdając sobie z tego sprawy - realizują Wolę Boga. Bokonon nazywa taki zespół karassem, zaś kankanem, czyli narzędziem, które wprowadziło mnie do mego karassu, stała się moja nigdy nie ukończona książka pod tytułem *Dzień, w którym nastąpił koniec świata*.

2. PRZEDZIWNY MECHANIZM

“Kiedy stwierdzacie, że wasze życie splata się z życiem innego człowieka bez jakiejś logicznej przyczyny - pisze Bokonon - człowiek ten najprawdopodobniej jest członkiem waszego karassu.”

W innym miejscu Księga Bokonona powiada: “Człowiek wymyślił szachownicę, Bóg wymyślił karass.” Oznacza to, że karass nie uwzględnia podziałów narodowych, instytucjonalnych, zawodowych, rodzinnych i klasowych.

Jest bezkształtny jak ameba.

W swoim Calypso Pięćdziesiątym Trzecim Bokonon zaprasza nas, abyśmy śpiewali razem z nim:

*Pijak, który w parku śpi,
Królowa brytyjska,
Łowca, który tropi lwy
I chiński dentysta,
Mędrek, przygłup, pracuś, leń,
Tyran i poddany,
Chcąc czy nie chcąc tworzą ten
Przedziwny mechanizm.
Och, tak, właśnie tak!
W świecie rozsypani
Funkcjonują razem jak
Przedziwny mechanizm.*

3. GŁUPOTA

Bokonon nigdzie nie ostrzega przed próbami ustalenia, kto wchodzi w skład naszego karassu i jakie zadanie zostało mu przydzielone przez wszechmogącego Boga. Bokonon stwierdza po prostu, że wszelkie takie próby są z góry skazane na niepowodzenie.

W części autobiograficznej Księgi Bokonona znajdujemy przypowieść o głupocie wszelkiego udawania, że się wie i rozumie:

“Znałem kiedyś pewną damę z Newport w stanie Rhode Island, należącą do Kościoła episkopalnego, która zleciła mi zrobienie budy dla swego doga. Dama ta utrzymywała, że doskonale rozumie Boga i drogi jego opatrności. Dziwiła się, że ktoś może być zaskoczony tym, co się zdarzyło, lub tym, co się zdarzy.

Mimo to, kiedy pokazałem jej projekt psiej budy, jaką chciałem zbudować, powiedziała:

- Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem.

- Niech pani to zanieśie mężowi albo swemu pastorowi, żeby przekazał to Panu Bogu - powiedziałem - i jeśli Pan Bóg znajdzie chwilę czasu, to na pewno potrafi wyjaśnić pani konstrukcję psiej budy w sposób zrozumiały nawet dla pani.

Przepędziła mnie wtedy. Nigdy jej nie zapomnę. Była przekonana, że Bóg znacznie bardziej kocha ludzi pływających na żaglówkach niż tych, którzy pływają motorówkami, a na widok dżdżownicy podnosiła wrzask.

Ta dama była głupia, ja też jestem głupi i głupi jest każdy, kto sądzi, że udało mu się przejrzeć zamiary Boga."

4. PIERWSZY KONTAKT

Mimo to mam zamiar przedstawić w tej książce możliwie jak największą ilość osób z mojego karassu i rozważyć wszystko, co może pomóc nam w zrozumieniu, jaki był, u Boga Ojca, sens całej tej awantury.

Nie chciałbym zajmować się tu propagowaniem bokononizmu, muszę jednak zacząć od pewnej przestrogi. Pierwsze zdanie Księgi Bokonona brzmi: "Wszystkie prawdy, które wam tutaj wyłożę, są bezwstydnymi kłamstwami."

Będąc bokononistą, muszę was przestrzec:

Człowiek, który nie potrafi zrozumieć, że użyteczna religia może być zbudowana na kłamstwach, nie zrozumie również i tej książki.

Amen.

Wracajmy zatem do mojego karassu.

Bez wątpienia wchodzi w jego skład troje dzieci doktora Feliksa Hoenikkera, jednego z tak zwanych "ojców" pierwszej bomby atomowej. Sam doktor Hoenikker musiał być również członkiem mojego karassu, mimo że nie żył już, kiedy moje sinuki, czyli czułki mojego życia, zaczęły splatać się z czułkami jego dzieci.

Pierwszym z młodych Hoenikkerów, na którego natknęły się moje czułki, był Newton, najmłodszy z całej trójki. Z biuletynu mojej korporacji studenckiej "The Delta Ypsilon Quarterly" dowiedziałem się, że Newton Hoenikker, syn Feliksa Hoenikkera, laureata nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, został członkiem-kandydatem mojej sekcji przy uniwersytecie w Cornell.

Napisałem do niego list następującej treści:

"Szanowny Panie Hoenikker!

A może raczej powinienem napisać «Drogi Bracie»?

Jestem członkiem Delta Ypsilon w Cornell i utrzymuję się z pisania. Obecnie zbieram materiały do książki związanej z pierwszą bombą atomową. Treść jej ma być ograniczona do wydarzeń, które zaszły szóstego sierpnia 1945 roku, czyli w dniu, kiedy zrzucono bombę na Hiroszimę.

Ponieważ pański ojciec uważany jest powszechnie za jednego z głównych twórców bomby, byłbym niezwykle wdzięczny za wszelkie wspomnienia, związane z tym właśnie dniem w domu pańskiego ojca.

Ze wstydem przyznaję, że nie znam pańskiej wybitnej rodziny tak, jak powinienem, i nie wiem, czy posiada Pan rodzeństwo. Jeżeli ma Pan braci i siostry, będę wielce zobowiązany za ich adresy, co umożliwi mi zwrócenie się do nich z podobną prośbą.

Zdaję sobie sprawę, że był Pan wtedy bardzo młody, ale to właśnie dobrze. W swojej książce kładę nacisk nie na techniczną, ale na ludzką stronę zagadnienia, tak więc wydarzenia tego dnia, oglądane oczami, przepraszam za wyrażenie, «oseska», będą jak najbardziej odpowiednie.

Styłem i formą może się Pan nie przejmować. Biorę to całkowicie na siebie. Proszę dostarczyć mi tylko nagie fakty.

Oczywiście przed publikacją prześlę Panu ostateczną wersję do wglądu.

Z braterskim pozdrowieniem

..... "

5. LIST STUDENTA MEDYCyny

A oto, co odpowiedział Newton:

“Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem na pański list. Pomysł pańskiej książki wydał mi się bardzo interesujący. Jednak kiedy rzucono bombę atomową, byłem tak mały, że nie sędzę, abym mógł w czymś Panu pomóc. Powinien Pan zwrócić się do mego brata i siostry, którzy są ode mnie starsi. Siostra nazywa się Connors i mieszka w Indianapolis, w stanie Indiana na North Meridian Street 4918. Jest to również mój aktualny adres domowy. Myślę, że siostra chętnie Panu pomoże. Gdzie jest mój brat Frank, nie wiadomo. Zniknął zaraz po pogrzebie ojca dwa lata temu i odtąd nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości. Nie wiemy, czy w ogóle jeszcze żyje.

Kiedy rzucono bombę atomową na Hiroszimę, miałem sześć lat, tak więc wszystko, co pamiętam z tego dnia, opiera się na opowiadaniach innych.

Pamiętam, że bawiłem się na dywanie w jadalni przylegającej do gabinetu mego ojca. Było to w Ilium, w stanie Nowy Jork. Przez otwarte drzwi widziałem ojca. Był w pidżamie, w szlafroku. Palił cygaro i bawił się kawałkiem sznurka. Tego dnia nie poszedł do pracy i przez cały dzień chodził w pidżamie. Ojciec zostawał w domu, kiedy tylko miał na to ochotę.

Jak Panu zapewne wiadomo, cała właściwie kariera zawodowa mego ojca związana była z Laboratorium Badawczym Towarzystwa General Forge and Foundry w Ilium.

Kiedy przystąpiono do Operacji Manhattan, mającej na celu wyprodukowanie bomby atomowej, ojciec nie opuścił Ilium. Oświadczył, że nie weźmie udziału w pracach, jeśli nie będzie mógł pracować tam, gdzie zechce. Najczęściej oznaczało to pracę w domu. Jedyne miejsce, dokąd lubił jeździć, to był nasz domek campingowy na przylądku Cod. Tam też umarł w wigilię Bożego Narodzenia. To zapewne jest Panu również wiadome.

Tak więc w dniu, w którym rzucono bombę, bawiłem się na dywanie przed gabinetem ojca. Moja siostra Angela mówi, że całymi godzinami potrafiłem bawić się małymi samochodzikami, naśladować odgłos motoru. Prawdopodobnie tamtego dnia robiłem to samo, ojciec zaś siedział w swoim gabinecie bawiąc się kawałkiem sznurka. Tak się składa, że wiem, skąd wziął ten sznurek. Może przyda się to do pańskiej książki. Ojciec zdjął go z rękopisu powieści przysłanej przez pewnego więźnia. Była to książka o końcu świata w roku dwutysięcznym i nazywała się Rok 2000 po narodzeniu Chrystusa. Opowiadała o tym, jak zwariowani uczeni wyprodukowali straszliwą bombę, która zniszczyła cały świat. Kiedy wszyscy dowiedzieli się, że zbliża się koniec świata, odbyła się wielka orgia seksualna i wtedy, na dziesięć sekund przed wybuchem bomby, pojawił się sam Jezus Chrystus. Autor nazywał się Marvin Sharpe Holderness i w załączonym liście pisał ojcu, że jest w więzieniu za zabicie rodzonego brata. Przysłał ten maszynopis ojcu, ponieważ nie wiedział, jaki rodzaj materiału wybuchowego wsadzić do tej swojej bomby. Liczył na to, że ojciec mu coś zaproponuje.

Nie chcę powiedzieć, że czytałem tę książkę, kiedy miałem sześć lat. Znajdowała się ona u nas w domu przez długie lata. Zagarnął ją mój brat Frank ze względu na sprośne fragmenty. Frank chował ją w «sejfie» w swojej sypialni. W rzeczywistości nie był to żaden sejf, lecz po prostu stary otwór wentylacyjny z blaszanym wieczkiem. Frank i ja, kiedy byliśmy chłopcami, czytaliśmy opisy orgii chyba tysiące razy. Mieliśmy tę książkę przez lata, aż wreszcie znalazła ją Angela. Przeczytała i orzekła, że to brudy i zgnilizna. Spaliła ją razem ze sznurkiem. Angela zastępowała Frankowi i mnie matkę, bo nasza prawdziwa matka umarła przy moim urodzeniu.

Jestem prawie pewien, że ojciec wcale nie czytał tej książki. Myślę, że w całym swoim życiu nie przeczytał żadnej powieści ani nawet opowiadania, w każdym razie od czasu kiedy przestał być

chłopcem. Nie czytał również przychodzących do niego listów, gazet ani czasopism. Zapewne musiał czytać masę prasy technicznej, ale prawdę mówiąc nie pamiętam, żeby ojciec czytał cokolwiek.

Jak już powiedziałem, jedyne, co go zainteresowało w tym maszynopisie, to sznurek. Taki już był ojciec. Nikt nie potrafił przewidzieć, co może go zainteresować. W dniu, w którym zrzucano bombę, interesował go sznurek.

Czy zna Pan przemówienie, jakie ojciec wygłosił po otrzymaniu nagrody Nobla?

«Panie i panowie. Stoję teraz przed wami dlatego, ponieważ nigdy nie przestałem wałkonić się beztrudno niczym ośmiolatek w drodze do szkoły w wiosenny poranek. Pierwsza lepsza rzecz może sprawić, że zatrzymam się, popatrzę zdziwiony i czasem czegoś się dowiem. Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem. Dziękuję.»

To było całe przemówienie.

Tak więc ojciec przyglądał się przez chwilę pętli ze sznurka, a potem zaczął się nią bawić. Jego palce utworzyły ze sznurka figurę zwaną «kocią kołyską». Nie mam pojęcia, gdzie ojciec się tego nauczył. Może od swojego ojca. Dziadek był krawcem, więc w dzieciństwie mego ojca nietrudno było o nitki i sznurki.

Po raz pierwszy w życiu widziałem ojca zajętego czymś, co można nazwać zabawą. Nigdy nie wykazywał zainteresowania dla sztuczek i gier, których przepisy wymyślali inni. W albumie z wycinkami, jaki prowadziła kiedyś Angela, był wywiad z tygodnika «Time», w którym ojciec, spytany, w jakie gry grywa dla rozrywki, odpowiedział: «Po co miałbym się zajmować wymyślonymi grami, kiedy wokół nas rozgrywa się tyle prawdziwych?»

Pewnie sam był zdziwiony splótnięty ze sznurka kocią kołyską i możliwe, że przypomniało mu to dzieciństwo, bo nagle wyszedł ze swego gabinetu i zrobił coś, czego nigdy dotąd nie robił: zaczął bawić się ze mną. Do tego czasu nie tylko nie bawił się ze mną, ale chyba nigdy się do mnie nie odezwał.

Ukląkł na dywanie obok mnie, obnażył w uśmiechu zęby i podsuwał mi pod nos dziwnie przepleciony sznurek.

- Widzisz? Widzisz? Widzisz? - pytał. - Kocia kołyska. Widzisz kocią kołyskę? Widzisz, tu śpi kicia. Miau. Miau.

Pory na jego twarzy wydawały mi się wielkie jak kraterzyce na księżycu. Z uszu i dziurek od nosa wyrastały mu kępki włosów. Z jego ust cuchnęło cygarami niczym z czeluści piekielnych. Z tej odległości ojciec był najobrzydliwszym stworzeniem, jaki kiedykolwiek widziałem. Straszy mnie we snach do dzisiaj.

I wtedy ojciec zaśpiewał:

*Lulaj, mój koteczku, na wysokim drzewie,
Drzewem wiatr kołysze, koteczka kolebie.
A jak gałąź pęknie - wtedy będzie pięknie -
Zwali się kołyska, koteczek i wszystko.*

Wybuchnąłem płaczem. Zerwałem się i co sił w nogach uciekłem z domu.

Muszę kończyć. Jest już druga w nocy. Kolega obudził się i narzeka, że hałas maszyny do pisania nie daje mu spać."

6. WALKI OWADÓW

Newt wrócił do listu następnego dnia rano i oto, co pisał dalej:

“Rano następnego dnia. Piszę dalej wypoczęty jak ptaszek po ośmiu godzinach snu. W internacie panuje teraz cisza. Wszyscy oprócz mnie są na wykładach. Ja jestem szczególnie uprzywilejowany, bo nie muszę już chodzić na wykłady. W zeszłym tygodniu zostałem wylany. Byłem na kursie wstępnym medycyny. Mieli rację, że mnie wylali. Marny byłby ze mnie lekarz.

Jak skończę ten list, pójdę pewnie do kina. Albo jeśli pokaże się słońce, pójdę na spacer do jednego z wąwozów. Prawda, że są piękne? Niedawno do jednego z nich rzuciły się dwie dziewczyny, trzymając się za ręce. Nie przyjęto ich do korporacji, do której chciały należeć. Do Tri-Delt.

Wracajmy jednak do szóstego sierpnia 1945. Angela wielokrotnie mówiła mi, że bardzo uraziłem ojca nie chcąc podziwiać kociej kołyski, nie chcąc bawić się z nim na dywanie i słuchać, jak śpiewa. Możliwe, że go uraziłem, ale nie sądzę, żeby odczuł to zbyt boleśnie. Jego w ogóle bardzo trudno było dotknąć. Ludzie nie mogli sprawić mu przykrości, ponieważ zupełnie go nie obchodzili. Pamiętam, jak kiedyś, mniej więcej na rok przed jego śmiercią, prosiłem, żeby opowiedział mi o matce. Niczego nie potrafił sobie przypomnieć.

Czy słyszał Pan słynną anegdotę o śniadaniu w dniu wyjazdu moich rodziców do Szwecji po odbiór nagrody Nobla? Zamieścił ją kiedyś «Saturday Evening Post». Matka przygotowała uroczyste śniadanie. A kiedy sprzątała ze stołu, znalazła przy nakryciu ojca kilka monet: dwadzieścia pięć centów, dziesięć centów i trzy jednopensówki. Zostawił jej napiwek.

Tak więc, sprawiwszy ojcu przykrość, jeśli coś takiego w ogóle było możliwe, wybiegłem na podwórze. Biegłem tak nie wiadomo dokąd, aż zobaczyłem pod wielkim krzewem berberysu mego brata Franka. Miał wtedy dwanaście lat i nie zdziwiło mnie, że go tam zastałem. W upalne dni przesiadywał tam bez przerwy. Jak pies wyrył sobie dołek w chłodnej ziemi między korzeniami. Nigdy nie można było odgadnąć, co on tam chowa. Raz była to pornograficzna książka, innym razem butelka wina. W dniu, kiedy zrzuciono bombę, Frank miał łyżkę i słoik. Nabierał na łyżkę różne owady, wrzucał je do słoika i zmuszał do walki.

Było to tak ciekawe, że natychmiast przestałem płakać, zapominając o ojcu. Nie pamiętam, co tam walczyło tego dnia, ale pamiętam inne walki, jakie organizowaliśmy później: jelonek przeciwko setce czerwonych mrówek, stonoga przeciwko trzem pająkom, czerwone mrówki przeciwko czarnym. Nie chciały walczyć, dopóki nie potrząsnęło się słoikiem. I Frank potrząsał, potrząsał, potrząsał.

Po chwili przyszła po mnie Angela. Uniosła gałąź i powiedziała:

- Aha, tutaj jesteście!

Spytała Franka, co on tu właściwie robi, a on odpowiedział: «Eksperymentuję.» Frank zawsze tak odpowiadał, kiedy go pytano, co robi. Zawsze odpowiadał: «Eksperymentuję.»

Angela miała wtedy dwadzieścia dwa lata. W wieku szesnastu lat, od śmierci matki, od mojego urodzenia, stała się faktyczną głową rodziny. Mawiała często, że ma trójkę dzieci - mnie, Franka i ojca. Nie było w tym żadnej przesady. Pamiętam zimowe poranki, kiedy przed wyjściem z domu Angela opatulala mnie, Franka i ojca, traktując nas zupełnie tak samo. Tyle że ja szedłem do przedszkola, Frank do szkoły, a ojciec do pracy nad bombą atomową. Pamiętam jeden taki poranek, kiedy zepsuło się ogrzewanie, rury pozamarzały i nie można było uruchomić samochodu. Siedzieliśmy wszyscy w aucie i Angela tak długo naciskała starter, aż wyczerpał się akumulator. I wtedy odezwał się ojciec. Wie Pan, co powiedział? Powiedział:

- Zastanawiam się, jak żółwie to robią.

- Co jak robią? - spytała go Angela.

- Zastanawiam się, czy kiedy wciągają głowę, to ich kręgosłupy kurczą się, czy wyginają.

Nawiasem mówiąc Angela miała swój udział w wyprodukowaniu bomby atomowej i, jak mi się wydaje, historia ta nie została nigdy opisana. Może przyda się do pańskiej książki. Od czasu tego zdarzenia w samochodzie ojciec tak zainteresował się żółwiami, że przestał pracować nad bombą atomową. Wreszcie pewne osoby związane z Operacją Manhattan przyszły do nas poradzić się Angeli, co robić. Powiedziała im, żeby zabrali ojcu żółwie. Następnej nocy zakradli się do pracowni ojca i zabrali terrarium z żółwiami. Ojciec ani słowem nie wspomniął o zniknięciu żółwi. Po prostu następnego dnia przyszedł do pracy i zaczął się rozglądać, czym by się tu zabawić i nad czym pomyśleć, i wszystko, czym można było się bawić i nad czym można było myśleć, miało jakiś związek z bombą.

Angela wyciągnęła mnie spod krzaka i spytała, co zaszło pomiędzy mną a ojcem. Powtarzałem tylko, że ojciec jest obrzydliwy i że go nienawidzę, i wtedy Angela uderzyła mnie w twarz.

- Jak możesz tak mówić o swoim ojcu? - powiedziała. - On jest jednym z największych ludzi na świecie! On dzisiaj wygrał wojnę! Rozumiesz? Wygrał wojnę!

I znowu mnie uderzyła.

Nie mam do niej o to pretensji. Dla Angeli ojciec był wszystkim. Nigdy nie miała chłopca. Nie miała przyjaciółek. Miała tylko jedno hobby. Grała na klarncie.

Powtórzyłem jeszcze raz, że nienawidzę ojca, i Angela znowu mnie uderzyła. W tym momencie wylazł spod krzaka Frank i uderzył ją w brzuch. Musiało ją okropnie zaboлеć, bo upadła i tarzała się po trawie. Kiedy wreszcie udało jej się złapać oddech, zaczęła płacząc wzywać ojca.

- On i tak nie przyjdzie - powiedział Frank ze śmiechem.

Frank miał rację. Ojciec wytknął głowę przez okno, zobaczył, że Angela i ja tarzamy się z wrzaskiem po ziemi, a Frank stoi nad nami i ryczy ze śmiechu, po czym schował głowę z powrotem i później nawet nie spytał, co to była za awantura. Ludzie to nie była jego specjalność.

Nie wiem, czy o coś takiego Panu chodziło. Czy to może się przydać do pańskiej książki? Oczywiście, pańska prośba, aby ograniczyć się tylko do dnia, w którym zrzucono bombę, w poważnym stopniu ograniczyła moje możliwości.

Istnieje wiele innych dobrych historii o moim ojcu i o bombie, nie związanych z tym właśnie dniem. Czy zna Pan na przykład anegdotę o pierwszej próbie z bombą w Alamogordo? Po wybuchu, kiedy stało się jasne, że Ameryka jest w stanie jedną bombą znieść z powierzchni ziemi całe miasto, jeden z uczonych zwrócił się do ojca ze słowami:

- Od dzisiaj nauka wie, co to grzech.

I wie Pan, co na to ojciec? Spytał: «Co to jest grzech?»

Z poważaniem

Newton Hoenikker"

7. WYBITNA RODZINA

Newton dodał jeszcze trzy post scripta:

“P.S. Nie mogę napisać «Z braterskim pozdrowieniem», ponieważ nie zostałem przyjęty do korporacji ze względu na słabe stopnie. Byłem tylko kandydatem, a teraz nawet tego zostałem pozbawiony.

P.P.S. Nazwał Pan naszą rodzinę «wybitną», i myślę, że byłoby chyba błędem, gdyby użył Pan tego określenia w swojej książce. Ja na przykład jestem karłem, mam cztery stopy wzrostu. A o moim bracie Franku słyszeliśmy po raz ostatni, kiedy był poszukiwany przez policję z Florydy, FBI i Departament Skarbu za przemyt samochodów z demobilu na Kubę. Tak więc jestem raczej pewien, że «wybitna» nie jest najodpowiedniejszym słowem. Określenie «znana» byłoby zapewne bliższe prawdy.

P.P.P.S. W dwadzieścia cztery godziny później. Przejrzałem swój list i obawiam się, że czytając go można odnieść wrażenie, że nic nie robię, tylko siedzę, oddaję się smutnym wspomnieniom i rozczulam się nad sobą. W rzeczywistości jestem szczęściarzem i w pełni zdaję sobie z tego sprawę. Wkrótce ożenię się z cudowną małą dziewczyną. Na świecie jest tyle miłości, że wystarczy dla wszystkich, trzeba tylko rozejrzeć się dokoła. Ja jestem tego najlepszym dowodem."

8. ROMANS NEWTA I ZINKI

Newt nie zdradził mi wtedy, kto jest jego ukochaną, ale mniej więcej w dwa tygodnie później cały kraj wiedział, że miała na imię Zinka - po prostu Zinka. Najwidoczniej nie miała nazwiska, tylko imię.

Zinka była liliputką, tancerką z zespołu Wielobarwnego Baletu. Tak się złożyło, że przed wyjazdem do Cornell Newt widział występ tego baletu w Indianapolis. A potem zespół przyjechał do Cornell. Po przedstawieniu mały Newt znalazł się za kulisami z bukietem najpiękniejszych róż o nazwie American Beauty.

Cała historia dostała się na łamy prasy, kiedy mała Zinka poprosiła o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych, po czym zniknęła wraz z małym Newtem.

W tydzień później Zinka zgłosiła się do swojej ambasady. Oświadczyła tam, że Amerykanie są zbyt materialistycznie nastawieni i że chce wrócić do kraju.

Newt schronił się w domu swojej siostry w Indianapolis. Prasa zamieściła jego lakoniczne oświadczenie, w którym stwierdził, że "Była to sprawa czysto osobista - sprawa uczucia. Niczego nie żałuję. To, co się stało, dotyczy wyłącznie Zinki i mnie."

Pewien wścibski amerykański reporter, zbierając w różnych środowiskach artystycznych wiadomości o Zince, odkrył, że nie miała ona dwudziestu trzech lat, jak utrzymywała. Miała czterdzieści dwa lata i mogła być matką Newta.

9. WICEPREZES DO SPRAW WULKANÓW

Nie szła mi jakoś praca nad książką o dniu, w którym zrzucano bombę.

W rok mniej więcej po opisanych wydarzeniach, na dwa dni przed Bożym Narodzeniem, trafiłem w poszukiwaniu materiałów do Ilium w stanie Nowy Jork, gdzie doktor Feliks Hoenikker dokonał większości swoich odkryć i gdzie wyrosli mały Newit, Frank i Angela.

Przybyłem tu zobaczyć, co się da zobaczyć.

Wprawdzie w mieście nie pozostał nikt z żyjących Hoenikkerów, ale było tu wiele osób, które twierdziły, że znały dobrze starego i trójkę jego niesamowitych dzieci.

Umówiłem się na spotkanie z doktorem Asą Breedem, wiceprezesem firmy General Forge and Foundry, któremu podlegało Laboratorium Badawcze. Przypuszczam, że doktor Breed też wchodził w skład mojego karassu, mimo że poczuł do mnie niechęć od pierwszego wejrzenia.

“Sympatie i antypatie nie mają z tym nic wspólnego” - przestrzega Bokonon przed często popełnianym błędem.

- O ile wiem, był pan przełożonym doktora Hoenikkera przez cały niemal okres jego działalności naukowej - powiedziałem telefonując do doktora Breeda.

- Tylko na papierze - odpowiedział.

- Nie rozumiem.

- Gdybym był w stanie rzeczywiście kierować pracą Feliksa - powiedział - to równie dobrze mógłbym teraz kierować działalnością wulkanów, przyływami i odpływami oceanów oraz wędrówkami ptaków i lemingów.

Ten człowiek to był żywioł i żaden zwykły śmiertelnik nie mógł mieć na niego wpływu.

10. TAJNY AGENT X-9

Doktor Breed umówił się ze mną na rano następnego dnia. Jadąc do pracy miał wpaść po mnie do hotelu, ułatwiając mi w ten sposób wejście na teren pilnie strzeżonego Laboratorium Badawczego.

Miałem więc wolny wieczór, z którym musiałem coś zrobić. Znajdowałem się w miejscu, w którym skupiało się całe nocne życie Ilium, w hotelu Del Prado. Bar hotelowy, zwany Salą Rybacką, pełnił funkcję miejscowego kurwidołka.

Tak się złożyło - tak się musiało złożyć, jak by powiedział Bokonon - że zarówno kurwa, koło której siadłem przy barze, jak i obsługujący mnie barman chodzili do szkoły z Franklinem Hoenikkerem, dręczycielem owadów, średnim dzieckiem i zaginionym synem słynnego uczonego.

Kurwa, która przedstawiła mi się jako Sandra, zaofiarowała mi rozkosze nieosiągalne nigdzie na świecie poza Place Pigalle i Port Saidem. Powiedziałem, że mnie to nie interesuje, a ona była dość inteligentna, by przyznać, że ją również. Jak się później okazało, oboje przeceniliśmy swoją apatię.

Zanim jednak sprawdziliśmy siłę swoich pożądań, porozmawialiśmy sobie na temat Franka Hoenikkera, na temat jego ojca, trochę na temat Asy Breeda i firmy General Forge and Foundry, na temat papieża i kontroli urodzin, na temat Hitlera i Żydów. Rozmawialiśmy też o szarlatanach. Rozmawialiśmy o prawdzie. O gangsterach i businessmanach. Rozmawialiśmy o niewinnych biedakach, których posłano na krzesło elektryczne, i o bogatych skurwysynach, którzy się z tego wykręcili. Rozmawialiśmy o bigotach, którzy nagle okazują się zbrojeńcami. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach.

Krótko mówiąc, spiliśmy się.

Barman był bardzo miły dla Sandry. Widać było, że lubi ją i szanuje. Powiedział mi, że w szkole średniej Sandra była przewodniczącą poczty sztandarowego ich klasy. Każda klasa, jak mi wyjaśnił, wybierała sobie barwy i następnie nosiła je z dumą aż do ukończenia szkoły.

- Jaki kolor wybraliście? - spytałem.

- Pomarańczowo-czarny.

- Bardzo dobry.

- Byliśmy tego samego zdania.

- Czy Franklin Boenikker również należał do poczty sztandarowego?

- On do niczego nie należał - powiedziała Sandra z pogardą. - Nie był członkiem żadnego komitetu, nie grał w żadne gry, nie umawiał się z dziewczętami. Nie sądzę, żeby w ogóle kiedykolwiek rozmawiał z dziewczyną. Nazywaliśmy go Tajnym Agentem X-9. .

- X-9?

- Wie pan, zawsze zachowywał się tak, jakby był w drodze z jednego tajnego spotkania na drugie i nie wolno mu było odezwać się do nikogo.

- Może on rzeczywiście miał jakieś bardzo bogate tajne życie? - spytałem.

- Ależ skąd!

- Gdzie tam - uśmiechnął się szyderczo barman. - Był po prostu jednym z tych szczeniaków, którzy budują modele samolotów i przez cały czas trzepią kapucyna.

11. PROTEINY

- Miał wygłosić u nas przemówienie na otwarcie roku szkolnego.

- Kto miał wygłosić przemówienie? - spytałem.

- Stary Hoenikker.

- I co powiedział?

- Nie przyszedł.

- I nie mieliście przemówienia inauguracyjnego?

- Mieliśmy. Zjawił się zziębły doktor Breed - ten, z którym ma się pan jutro zobaczyć, i on wygłosił przemówienie.

- Ciekawe, o czym mówił.

- Powiedział, że ma nadzieję, iż wiele spośród nas wybierze zawód uczonego - powiedziała

Sandra. Nie dostrzegła w tym nic zabawnego. Przypomniała sobie wykład, który zrobił na niej

wrażenie. Streszczała go starannie i z szacunkiem. - Powiedział, że największym problemem świata

jest...

Tu musiała przerwać i chwilę pomyśleć.

- Największym problemem świata jest to - mówiła z wahaniem - że ludzie wciąż jeszcze kierują

się przesądami, a nie naukowym światopoglądem. Powiedział, że gdyby na świecie więcej

zajmowano się nauką, zniknęłyby większość problemów nękających ludzkość.

- Tak, i mówił, że pewnego dnia nauka odkryje podstawową tajemnicę życia - wtrącił barman.

Podrapał się w głowę i zmarszczył czoło. - Bodajże przedwczoraj czytałem w gazecie, że już ją

odkryli.

- Musiałem to przeoczyć - mruknąłem.

- Czytałem o tym - powiedziała Sandra. - Jakies dwa dni temu.

- Zgadza się - potwierdził barman.

- I na czym polega ta tajemnica życia? - spytałem.

- Zapomniałam - powiedziała Sandra.

- Proteiny - oświadczył barman. - Odkryli coś w związku z proteinami.

- Zgadza się - powiedziała Sandra - chodzi o proteiny.

12. KOKTAJL "KONIEC ŚWIATA"

Do naszej rozmowy w barze hotelu Del Prado włączył się starszy barman. Kiedy dowiedział się, że piszę książkę o dniu, w którym zrzucono bombę, opowiedział mi, co on robił tego dnia i jak ten dzień wyglądał w barze, w którym obecnie siedzimy. Mówił kwaczącym głosem przez nos, a nos miał niczym eksportowa truskawka.

- Nie nazywało się to wtedy Salą Rybacką - mówił. - Nie było tu tych wszystkich pieprzonych sieci i muszli. Wtedy był tu Wigwam Nawahów. Na ścianach wisiały indiańskie koce i krowie czaszki. Na stołach leżały małe tam-tamy. Goście mieli uderzać w te tam-tamy, żeby przywołać kelnera. Chcieli też, żebym nosił wojenny pióropusz, ale się nie zgodziłem. Któregoś dnia przyszedł prawdziwy Indianin z plemienia Nawahów; powiedział, że Nawahowie nigdy nie mieszkali w wigwamach. - Cholerna szkoda - odpowiedziałem. Jeszcze wcześniej była tu Sala Pompejańska, cała zastawiona gipsowymi biustami; ale obojętne, jak ją nazywają, nigdy nie zmieniają tego pieprzonego oświetlenia. Nigdy nie zmieniają pieprzonych klientów ani tego pieprzonego miasteczka. W dniu, w którym zrzucili na Japończyków pieprzoną bombę tego Hoenikkera, przyszedł jakiś obdartus i próbował wycygnąć drinka. Chciał, żebym mu dał wypić z okazji zbliżającego się końca świata. Przyrządziłem mu więc koktajl "Koniec świata". Wlałem do wydrążonego ananasa pół szklaneczki likieru miętowego, dodałem do tego bitej śmietany i wiśnię na czubek. - Masz, łajzo - powiedziałem - żebyś nie mówił, że nic dla ciebie nie zrobiłem.

Potem przyszedł inny gość i powiada, że rzuca pracę w Laboratorium Badawczym, że każda praca naukowa kończy się wynalezieniem nowej broni i że nie chce więcej pomagać politykom w ich pieprzonych wojnach. Nazywał się Breed. Spytałem go, czy ma coś wspólnego z szefem tego pieprzonego Laboratorium Badawczego. Powiedział, że ma cholernie dużo wspólnego. Powiedział, że jest jego pieprzonym synem.

13. ODSKOCZNIA

O Boże, jakże paskudnym miastem jest Ilium!

“O Boże - powiada Bokonon - jakże paskudne są wszystkie miasta!”

Poprzez ciężką pokrywą smogu padał deszcz ze śniegiem. Był wczesny ranek. Jechałem lincolnem doktora Asy Breeda. Czułem się podle i byłem wciąż jeszcze trochę pijany po wczorajszym wieczorze. Doktor Breed siedział za kierownicą. Koła jego limuzyny co chwila czepiały o szyny dawno zlikwidowanej linii tramwajowej.

Doktor Breed był starszym dżentelmenem o różowych policzkach, ubierał się z wyszukaną elegancją i musiał być bardzo zamożny. Roztaczał wokół siebie atmosferę optymizmu, dobrych manier, energii i pogody ducha. W przeciwieństwie do niego ja byłem rozdrażniony, schorowany i cyniczny. Spędziłem tę noc z Sandrą.

Miałem uczucie, że moja dusza jest plugawa i cuchnie niczym dym z palonej kociej sierści.

Myślałem o wszystkich jak najgorzej i o doktorze Breed też dowiedziałem się od Sandry kilku dość paskudnych rzeczy.

Sandrą powiedziała mi, że wszyscy w Ilium wiedzieli o romansie doktora Breeda i żony Feliksa Hoenikka. Większość ludzi uważa, że Breed jest ojcem całej trójki młodych Hoenikkerów.

- Czy zna pan Ilium? - spytał niespodziewanie doktor Breed.

- Nie, to moja pierwsza wizyta w tym mieście.

- To jest miasto dla ludzi rodzinnych.

- Nie rozumiem.

- Nie ma tu żadnego prawie nocnego życia. Ludzie koncentrują się tu na sprawach domu i rodziny.

- Bardzo zdrowa atmosfera.

- To prawda. Problem przestępczości młodzieży prawie tu nie istnieje.

- To dobrze.

- Ilium ma bardzo interesującą przeszłość.

- To ciekawe.

- Nasze miasto służyło jako odskocznia.

- Nie rozumiem.

- Do migracji na Zachód.

- Aha.

- Ludzie zaopatrywali się tutaj przed dalszą podróżą.

- To ciekawe.

- Tu, gdzie teraz stoi nasze laboratorium, był stary fort. Odbywały się w nim publiczne egzekucje przestępców z całego okręgu.

- Widzę, że już wówczas zbrodnia nie popłacała.

- W roku 1782 powieszono tutaj człowieka, który zamordował dwadzieścia sześć osób. Nieraz myślałem, że ktoś powinien napisać o nim książkę. Nazywał się George Minor Moakely. Pod szubienicą zaśpiewał piosenkę, którą sam ułożył na tę okazję.

- O czym była ta piosenka?

- Może pan znaleźć słowa w Towarzystwie Historycznym, jeśli to pana interesuje.

- Chodziło mi tylko o ogólny sens.

- Mówił, że niczego nie żałuje.

- Niektórzy ludzie już tacy są.

- Niech pan tylko pomyśli - powiedział doktor Breed. - Miał na sumieniu życie dwudziestu sześciu

osób!

- Na samą myśl ciarki człowieka przechodzą - powiedziałem.

14. SAMOCHODY Z KRYSZTAŁOWYMI WAZONAMI

Moja biedna głowa podskakiwała na zdrętwiałej szyi. Koła lśniącego lincolna doktora Breeda znowu wpadły w szyny tramwajowe.

Spytałem doktora, ile osób spieszy na ósmą rano do pracy w zakładach General Forge and Foundry, i dowiedziałem się, że trzydzieści tysięcy.

Na każdym skrzyżowaniu stali policjanci w złotych pelerynach, ruchami dłoni w białych rękawiczkach przecząc światłom ulicznym.

A światła, połyskujące w deszczu jak jaskrawe zjawy, kontynuowały swoją bezsensowną błazenadę, udając, że nadal kierują lawiną pojazdów. Zielone oznaczało wolną drogę. Czerwone - stop. Żółte oznaczało ostrzeżenie.

Doktor Breed opowiedział mi, jak doktor Hoenikker, wówczas jeszcze bardzo młody człowiek, pewnego ranka wysiadł z samochodu, pozostawiając go na środku jezdni.

- Policja, szukając przyczyny zatoru - mówił - znalazła w samym środku piekła auto Feliksa z włączonym silnikiem, z palącym się cygarem w popielniczce i świeżymi kwiatami w wazonach.

- Jak to w wazonach?

- Feliks miał marmona wielkości sporej lokomotywy. Między oknami były tam umocowane kryształowe wazoniki i jego żona co rano wstawiała do nich świeże kwiaty. I właśnie ten samochód tkwił na środku jezdni.

- Jak "Marie Celeste" - wtrąciłem.

- Policja odholowała samochód. Wiedzieli, kto jest jego właścicielem, więc zadzwonili do Feliksa i bardzo uprzejmie poinformowali go, gdzie może odebrać swoje auto. I wtedy Feliks odpowiedział, że mogą je sobie wziąć, bo jemu nie będzie już potrzebne.

- I co, wzięli sobie?

- Nie. Zadzwonili do żony i ona przyjechała i odebrała samochód.

- A jak miała na imię jego żona?

- Emily. - Doktor Breed zwilżył językiem wargi, spojrzenie mu się zamgliło i jeszcze raz powtórzył imię dawno już nieżyjącej kobiety - Emily.

- Czy sądzi pan, że mogę wykorzystać tę historię z samochodem w swojej książce? - spytałem.

- Pod warunkiem, że nie wspomni pan, czym się skończyła.

- Nie rozumiem.

- Emily nie była przyzwyczajona do prowadzenia marmona. W drodze do domu miała groźny wypadek, w którym doznała złamania miednicy...

Staliśmy właśnie przed skrzyżowaniem. Doktor Breed przymknął oczy i zacisnął dłonie na kierownicy.

- Dlatego właśnie umarła przy porodzie małego Newta.

15. WESOŁYCH ŚWIĄT

Laboratorium Badawcze Towarzystwa General Forge and Foundry mieściło się w pobliżu głównej bramy zakładów w Ilium i niedaleko od parkingu dla wyższych urzędników, na którym doktor Breed zostawił swój samochód.

Spytałem go, ile osób zatrudnia laboratorium.

- Siedemset - odpowiedział - ale z tego niecała setka zajmuje się właściwą pracą naukową. Pozostałe sześćset osób wykonuje funkcje służebne, a ja jestem szefem tej służby.

Kiedy włączyliśmy się w nurt ludzi spieszących do pracy główną ulicą zakładów, jedna z idących za nami kobiet zwróciła się do doktora Breeda z życzeniami wesołych świąt. Doktor Breed obejrzał się, zerknął łaskawie na morze twarzy bladych jak niedopieczone placki i stwierdził, że wesołych świąt życzy mu niejaka panna Pefko. Panna Francine Pefko miała dwadzieścia lat, była zdrowa, ładna i bezmyślna - wcielenie przeciętności.

Doktor Breed, pod wrażeniem świątecznej atmosfery, zaprosił pannę Pefko, aby przyłączyła się do nas. Przedstawił mi ją jako sekretarkę doktora Nilsaka Horvatha. Przy okazji wyjaśnił mi, kto to jest doktor Horvath.

- Największy specjalista od napięcia powierzchniowego - powiedział - ten, który robi te wspaniałe rzeczy z błonami.

- Co nowego w chemii błon powierzchniowych? - spytałem pannę Pefko,

- Diabli wiedzą - odpowiedziała. - Niech mnie pan o to nie pyta. Ja tylko przepisuję na maszynie to, co mi każą. - I przeprosiła za to, że się tak brzydko wyraziła.

- Myślę, że jest pani przesadnie skromna - wtrącił doktor Breed.

- Wcale nie. - Panna Pefko nie przywykła do rozmów z tak ważnymi osobistościami jak doktor Breed i była wyraźnie zmieszana. Odbiło się to na jej ruchach, które stały się sztywne i jakieś kurze, a twarz zastygła w nienaturalnym uśmiechu. Szukała rozpaczliwie w myślach czegoś, co mogłaby powiedzieć, ale głowę jej wypełniały wyłącznie strzępki waty i sztuczna biżuteria.

- I co pani o nas sądzi - kontynuował doktor Breed dobrodusznie - teraz, kiedy pracuje pani u nas... ile to już? Chyba z rok?

- Wy, uczeni, za dużo myślicie - strzeliła panna Pefko i wybuchnęła głupawym śmiechem. Łaskawość doktora Breeda spaliła wszystkie bezpieczniki jej systemu nerwowego i nie panowała już więcej nad sobą. - Wy wszyscy za dużo myślicie.

Obok nas dreptała zdyszana i zaaferowana gruba kobieta w brudnym kombinezonie. Słyszając słowa panny Pefko, odwróciła się i spojrzała na doktora Breeda z wyrzutem. Widać było, że nie lubi ludzi, którzy za dużo myślą. W tym momencie wydała mi się godnym reprezentantem całej prawie ludzkości.

Wyraz twarzy tej grubej kobiety zdradzał, że zwariuje na miejscu, jeśli ktoś cokolwiek jeszcze pomyśli.

- Uważam - powiedział doktor Breed - że wszyscy ludzie myślą dokładnie tyle samo. Po prostu uczeni myślą inaczej niż pozostali ludzie.

- Kiedy piszę to, co dyktuje mi doktor Horvath, to tak, jakbym pisała w nieznanym języku. Nie sądzę, abym mogła to kiedykolwiek zrozumieć, nawet gdybym skończyła studia. A możliwe, że on dyktuje mi rzeczy, które przewrócą cały świat do góry nogami, tak jak bomba atomowa. Kiedy wracałam ze szkoły, matka pytała mnie zawsze, co tego dnia robiłam, i zawsze jej opowiadałam. Kiedy teraz wracam z pracy, matka zadaje mi to samo pytanie, ale mogę jej tylko powiedzieć... - Tu panna Pefko potrzęsnęła głową i kąciki jej purpurowych warg opadły - nie wiem, nie wiem, nie

wiem.

- Jeśli jest coś, czego pani nie rozumie - powiedział tonem nauczyciela doktor Breed - to niech, pani poprosi doktora Horvatha o wyjaśnienie. Wyjaśnianie to jego specjalność.

Tu zwrócił się do mnie.

- Doktor Hoenikker zwykł był mawiać, że uczone, który nie potrafi wyjaśnić tego, nad czym pracuje, ośmioletniemu dziecku, jest szarlatanem.

- Widocznie jestem głupsza niż ośmioletnie dziecko - zmartwiła się panna Pefko. - Nie wiem nawet, co to jest szarlatan.

16. Z POWROTEM DO PRZEDSZKOLA

Do Laboratorium Badawczego wchodziło się po czterech granitowych stopniach. Sam budynek był z surowej cegły i wznosił się na wysokość sześciu pięter. W drzwiach przechodziło się pomiędzy dwoma uzbrojonymi po zęby strażnikami.

Panna Pefko pokazała strażnikowi z lewej strony różową plakietkę z napisem "tajne", przypiętą na czubku lewej piersi.

Doktor Breed pokazał strażnikowi po prawej plakietkę "ściśle tajne" w klapie marynarki. Ceremonialnym gestem otoczył mnie na odległość ramieniem, dając w ten sposób strażnikom do zrozumienia, że jestem pod jego opieką i że odpowiada za mnie.

Uśmiechnąłem się do jednego ze strażników. Nie odpowiedział mi uśmiechem. Wiadoma rzecz, z bezpieczeństwem nie ma żartów.

Doktor Breed, panna Pefko i ja przeszliśmy w skupieniu przez wielki hall laboratorium.

- Niech pani poprosi czasem doktora Horvatha, żeby pani coś wyjaśnił - zwrócił się doktor Breed do panny Pefko. - Jestem przekonany, że otrzyma pani prostą i zrozumiałą odpowiedź.

- Doktor Horvath musiałby zacząć od pierwszej klasy, a może nawet od przedszkola - odpowiedziała. - Boję się, że dużo przepuściłam.

- Wszyscy dużo przepuściliśmy - zgodził się doktor Breed. - Wszystkim nam dobrze by zrobiło, gdybyśmy mogli zacząć jeszcze raz od początku, najlepiej od przedszkola.

Patrzyliśmy, jak specjalna przewodniczka uruchamia kolejno modele poglądowe, stojące wzdłuż ścian hallu. Była to wysoka, chuda, blada i zimna jak lód dziewczyna. Pod jej szybkimi dotknięciami błyskały lampki, obracały się kółka, bulgotały kolby i dzwoniły dzwonki.

- Czarna magia - stwierdziła panna Pefko.

- Przykro mi słuchać, jak ktoś z naszego zespołu używa tego wyświechtanego, pachnącego średniowieczem słowa - powiedział doktor Breed. - Każdy z tych eksponatów mówi sam za siebie. Są specjalnie tak pomyślane, żeby nie było w nich nic tajemniczego. One są antytezą magii.

- Przepraszam, czym?

- Przeciwnieństwem magii.

- Nigdy bym tego nie odgadła.

Na twarzy doktora Breeda po raz pierwszy odbił się wyraz pewnego zniecierpliwienia.

- W każdym razie nie chcieliśmy robić żadnych tajemnic. Proszę nam uwierzyć na słowo.

17. ŻEŃSKI KLASZTOR

Sekretarka doktora Breeda stała na swoim biurku i zawieszała pod sufitem świąteczne papierowe dekoracje.

- Proszę uważać - zawołał doktor Breed - od pół roku nie mieliśmy ani jednego wypadku przy pracy! Niech pani nie spadnie z tego biurka, bo nam pani zepsuje statystykę!

Panna Naomi Faust była wesołą, zasuszoną starszą damą. Myślę, że służyła doktorowi niemal od kołyski. Roześmiała się w odpowiedzi.

- Ja jestem niezniszczalna. A gdybym nawet spadła, to podtrzymają mnie gwiazdkowe anioły.

- Zdarzało im się już zagapić.

Od papierowych dzwoneczków zwieszały się dwie szarfy, zwinięte w harmonijkę. Panna Faust pociągnęła za jedną z nich, rozwijając długą wstęgę z napisem.

- Proszę potrzymać - powiedziała, wręczając koniec szarfy doktorowi - może pan rozciągnie to do końca i przypnie do tablicy ogłoszeń.

Doktor Breed wykonał polecenie i odsunął się o krok, aby przeczytać hasło na szarfie.

- "Chwała Bogu na wysokości!" - odczytał z uczuciem.

Panna Faust zeszła z biurka, rozwijając drugą szarfę.

"Pokój ludziom dobrej woli!" - głosił napis na drugiej szarfie.

- Słowo daję - roześmiał się doktor Breed - teraz nawet Boże Narodzenie sprzedają w konserwach! Wygląda tu teraz odświętnie, bardzo odświętnie.

- Pamiętałam też o czekoladkach dla dziewcząt. Czy nie jest pan ze mnie dumny?

Doktor Breed klepnął się w czoło, zmartwiony swoim roztargnieniem.

- Dzięki Bogu! Zupełnie wyleciało mi z głowy.

- Nie wolno, nam o tym zapominać - powiedziała panna Faust. - To już teraz tradycja: doktor Breed rozdający dziewczętom czekoladowe batoniki na Boże Narodzenie.

Panna Faust wyjaśniła mi, że dziewczęta pracują w hali maszyn w podziemiach laboratorium i obsługują każdego, kto ma dostęp do dyktafonu. Przez cały rok dziewczęta słyszą tylko głosy niewidzialnych uczonych z taśm, które przynoszą inne dziewczęta. Raz do roku opuszczają swój betonowy klasztor i idą śpiewać kolędy, a doktor Breed rozdaje im czekoladki.

- One też służą nauce - potwierdził doktor Breed - chociaż pewnie nie rozumieją ani słowa z tego, co piszą. Niech im Bóg błogosławi!

18. NAJCENNIEJSZY TOWAR NA ZIEMI

Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie doktora Breeda, spróbowałem uporządkować swoje myśli, żeby przeprowadzić sensowny wywiad. Stwierdziłem, że mój stan psychiczny nie uległ poprawie, kiedy zaś zacząłem wypytywać doktora Breeda o dzień, w którym zrzucono bombę, okazało się, że mózg mam wciąż jeszcze zaćmiony oparami alkoholu i palonej kociej sierści. Każdym kolejnym pytaniem dawałem do zrozumienia, że twórcy bomby atomowej są zbrodniarzami, współodpowiedzialnymi za najohydniejsze morderstwo.

Doktor Breed był zaskoczony, a potem poczuł się bardzo urażony. Odsunął się ode mnie i burknął:

- Zdaje się, że pan nie przepada za uczonymi.

- Tego bym nie powiedział.

- Odnoszę wrażenie, że swoimi pytaniami chce mnie pan zmusić do przyznania, iż wszyscy uczeni są tępymi kretynami bez serca i sumienia, obojętnymi na los reszty ludzkości, albo że w ogóle nie zasługują na miano ludzi.

- Używa pan dość mocnych sformułowań.

- Obawiam się, że w pańskiej książce znajdą się co najmniej równie mocne. Sądziłem, że interesuje pana prawdziwa, obiektywna biografia Feliksa Hoenikkera - trudno o bardziej odpowiedzialne zadanie dla młodego pisarza w naszych czasach. Ale nie, pan przychodzi tu naszpikowany przesadami na temat zwariowanych uczonych. Gdzie się pan nałykał takich mądrości? W komiksach?

- Od syna doktora Hoenikkera, żeby wymienić choć jedno źródło.

- Od którego syna?

- Od Newtona. - Miałem przy sobie list małego Newta i pokazałem go doktorowi. - Nawiasem mówiąc, jakiego wzrostu jest Newton?

- Mniej więcej jak stojak na parasole - odpowiedział doktor Breed, czytając list ze zmarszczonym czołem.

- Czy pozostała dwójka dzieci jest normalna?

- Oczywiście. Muszę pana rozczarować, ale uczeni mają takie same dzieci, jak wszyscy inni ludzie.

Zrobiłem, co mogłem, by ułagodzić doktora Breeda i przekonać go, że chodzi mi rzeczywiście o obiektywny portret doktora Hoenikkera.

- Przyszedłem tutaj wyłącznie w tym celu, aby zanotować słowo w słowo to, co mi pan powie na temat doktora Hoenikkera. List Newta stanowił tylko początek i to, czego dowiem się od pana, pomoże mi uzyskać pełniejszy obraz.

- Mam powyżej uszu ludzi, którzy nie rozumieją, kim jest uczyony i na czym polega praca naukowa.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby to wyjaśnić.

- Większość ludzi w tym kraju nie rozumie nawet, co to są badania podstawowe.

- Będę bardzo wdzięczny, jeśli zechce mi pan to wyjaśnić.

- Nie jest to poszukiwanie lepszych filtrów do papierosów, delikatniejszego papieru toaletowego albo trwalszej farby olejnej, uchowaj nas Boże. Wszyscy rozprawiają o badaniach naukowych, ale na dobrą sprawę nikt ich w tym kraju nie prowadzi. Jesteśmy jedną z niewielu firm, które rzeczywiście łożą na badania podstawowe. Kiedy większość innych firm chwali się swoimi badaniami, należy pod tym rozumieć jedynie najemnych techników w białych kitlach, którzy posługują się książką kucharską i pracują nad ulepszeniem wycieraczki do szyb dla nowego modelu oldsmobila.

- A u was?

- Tutaj i w przerażająco niewielu ośrodkach w tym kraju płaci się ludziom za to, i tylko za to, żeby rozwijali naszą wiedzę o świecie.

- Pięknie to świadczy o hojności General Forge and Foundry.

- Hojność nie ma z tym nic wspólnego. Wiedza jest najbardziej wartościowym towarem na świecie. Każde nowe odkrycie czyni nas bogatszymi.

Gdybym był już wtedy bokononistą, zawyłbym słysząc coś takiego.

19. KONIEC Z BŁOTEM

- Czy mam rozumieć - spytałem doktora Breeda - że w tym laboratorium nie mówi się ludziom, czym mają się zajmować? Że nawet im się nie podsuwa tematów?
- Cały czas proponuje im się różne rzeczy, ale przedstawiciele czystej nauki nie biorą pod uwagę niczych sugestii. Oni mają głowy nabite własnymi projektami i to jest właśnie to, o co nam chodzi.
- Czy ktoś próbował podsuwać jakieś tematy doktorowi Hoenikkerowi?
- Oczywiście. Zwłaszcza admirałowie i generałowie. Uważali go za coś w rodzaju czarnoksiężnika, który może jednym skinieniem różdżki uczynić Amerykę niezwyciężoną. Przychodzili tu z najróżniejszymi zwariowanymi projektami - zresztą, przychodzą nadal. Jedyna wada tych projektów polega na tym, że przy obecnym stanie wiedzy nie można ich zrealizować. Od uczonych w rodzaju doktora Hoenikkera żąda się, aby usunęli tę drobną niedogodność. Pamiętam, na krótko przed śmiercią Feliksa jakiś generał piechoty morskiej zamęczał go, żeby zrobił coś z błotem.
- Z błotem?
- Żołnierze piechoty morskiej po prawie dwustu pięćdziesięciu latach tarzania się w błocie mieli go dosyć - powiedział doktor Breed. - Generał w ich imieniu wyrażał przekonanie, że wobec ogólnego postępu hańbą jest, aby musieli nadal walczyć unurzani w błocie.
- O co chodziło temu generałowi?
- O likwidację błota. Żeby nie było błota.
- Sądzę - zacząłem teoretyzować - że dałoby się to zrobić przy pomocy ogromnych ilości jakichś środków chemicznych albo specjalnych maszyn...
- Generałowi chodziło o małą pigułkę albo o małą maszynkę. Żołnierze mieli dosyć nie tylko błota, mieli też dosyć dzwigniania kłopotliwego sprzętu. Chcieli dla odmiany czegoś małego.
- I co na to doktor Hoenikker?
- Feliks żartem wysunął hipotezę, a wszystkie jego hipotezy miały charakter żartobliwy, że może istnieć substancja, której jedno ziarenko, nawet mikroskopijnie małe, wystarczy, aby niezmiernie przestrzenie bagien, błot, torfowisk, sadzawek i lotnych piasków stały się twarde jak to biurko.
- Tu doktor Breed uderzył pokrytą starczymi plamami pięścią w biurko. Był to stalowy mebel koloru morskiej wody z blatem w kształcie nerki.
- Jeden żołnierz mógłby unieść wystarczającą ilość tej substancji, aby uwolnić całą pancerną dywizję, która ugrzęzła w bagnach. Zgodnie z tym, co twierdził Feliks, jeden żołnierz mógłby przenieść wystarczającą ilość tej substancji pod paznokciem małego palca.
- Przecież to niemożliwe.
- To pan tak uważa i ja, prawie wszyscy tak uważają. Dla Feliksa, z jego żartobliwym podejściem do zagadnień, było to zupełnie możliwe. Niezwykłość Feliksa - i mam nadzieję, że umieści pan to w swojej książce - polegała na tym, że zawsze podchodził do starych łamigłówek tak, jakby zetknął się z nimi po raz pierwszy.
- Czuję się teraz jak panna Pefko i te wszystkie dziewczęta z "żeńskiego klasztoru" - powiedziałem. - Doktor Hoenikker nigdy nie potrafiłby mi wytłumaczyć, jakim cudem coś, co mieści się pod paznokciem, może przekształcić bagno w twardy grunt.
- Mówiłem już panu, że Feliks miał niezwykły dar tłumaczenia...
- Mimo to...
- Potrafił wyjaśnić to mnie - powiedział doktor Breed - i jestem pewien, że ja z kolei potrafię wyjaśnić to panu. Zadanie polega na tym, żeby wyciągnąć piechotę morską z błota, tak?
- Tak.

- Dobrze - powiedział doktor Breed. - Niech pan słucha uważnie. Zaczynam.

20. LÓD-9

- Pewne ciecze - zaczął doktor Breed - mogą krystalizować, czyli zamarzać, na różne sposoby. Znaczy to, że ich cząsteczki mogą w różny sposób łączyć się w uporządkowane, sztywne struktury.

Stary człowiek o dłoniach pokrytych plamami mówił o tym, jak można na różne sposoby układać kule armatnie na dziedzińcu zamkowym lub pomarańcze w skrzynkach.

- Podobnie dzieje się z cząsteczkami w kryształach i dwa różne kryształy tej samej substancji mogą wykazywać zupełnie odmienne właściwości fizyczne.

Opowiedział mi o fabryce, która produkuje duże kryształy winianu etylenowo-dwuaminowego. Kryształy te, jak mi wyjaśniał, znajdują zastosowanie w pewnych procesach produkcyjnych. Pewnego dnia stwierdzono jednak, że otrzymanywane, w zakładach kryształy nie wykazują już pożądanymi właściwościami. Cząsteczki zaczęły wiązać się, czyli zamarzać, w inny sposób. Ciecz, która podlegała krystalizacji, nie uległa zmianie, a mimo to uzyskiwane kryształy były do niczego z punktu widzenia zastosowania w przemyśle.

Nikt nie wiedział, co było tego przyczyną, teoretycznie jednak sprawcą wszystkiego było coś, co doktor Breed nazywał "załążkiem". Miał na myśli niewielki fragment niepożądanego siatki krystalicznej. Zażłek taki, który pojawił się Bóg wie skąd, przekazał cząsteczkom cieczy nowy sposób łączenia się, czyli krystalizowania, czyli zamarzania.

- A teraz niech pan znowu wyobrazi sobie kule armatnie na dziedzińcu lub pomarańcze w skrzynce - zaproponował. Po czym wytłumaczył mi, jak to układ dolnej warstwy kul lub pomarańczy określa układ wszystkich następnych warstw.

- Dolna warstwa spełnia rolę "załążka"; od niej zależy, jak będą się zachowywać wszystkie następne kule lub pomarańcze, choćby liczba ich rosła w nieskończoność.

- Przypuśćmy teraz - doktor Breed zachichotał, wyraźnie z siebie zadowolony - że istnieje wiele różnych sposobów krystalizowania, czyli zamarzania wody. Przypuśćmy, że lód, po którym jeździmy na łyżwach i który wrzucamy do koktajli, to, co moglibyśmy nazwać lodem-1, jest tylko jednym z wielu możliwych rodzajów lodu. Przypuśćmy, że woda zamarza na Ziemi zawsze w postaci lodu-1 tylko dlatego, że nigdy nie było "załążka", który by przekazał jej formę lodu-2, lodu-3, lodu-4... I przypuśćmy, że istnieje pewna forma, nazwijmy ją lodem-9, kryształ twardy niczym to biurko - tu znowu uderzył w biurko swoją starczą dłonią - powstająca w temperaturze stu stopni Fahrenheita, albo, jeszcze lepiej, stu trzydziestu stopni.

- Proszę mówić, na razie wszystko rozumiem - powiedziałem.

Dalszy wywód przerwały głośne i pełne napięcia szepty, dobiegające z sąsiedniego pokoju. Zebrał się tam cały "żeński klasztor".

Dziewczęta szykowały się do śpiewania kolędy.

Zaczęły, kiedy doktor Breed i ja stanęliśmy w drzwiach. Cała setka dziewcząt przebrała się za chłopców z chóru kościelnego, założywszy białe kołnierze z jakichś formularzy spiętych biurowymi spinaczami. Śpiewały pięknie.

Byłem zaskoczony i szczerze wzruszony. Zawsze robi na mnie wrażenie ten rzadko okazywany skarb - słodczy, z jaką większość kobiet potrafi śpiewać.

Dziewczęta śpiewały *Miasteczko Betlejem*. Nieprędko zapomnę, ile uczucia wkładały w słowa:

Pójdźmy do stajenki z nadzieją i lękiem.

21. PIECHOTA MORSKA ATAKUJE

Kiedy doktor Breed przy pomocy panny Faust rozdał już dziewczętom wszystkie świąteczne batoniki, wróciliśmy do jego gabinetu.

- Na czym to stanęliśmy? - spytał. - Ach, tak! - I poprosił, żebym sobie wyobraził żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej, tkwiącej gdzieś w zapomnianych przez Boga bagnach.

- Ciężarówki, czołgi i haubice grzęzną - uzalał się - tonąc w cuchnącej mazi i szlamie. Tu podniósł znacząco palec i zrobił do mnie oko.

- Przypuścimy jednak, młody człowieku, że jeden z żołnierzy ma przy sobie małą kapsułkę zawierającą ziarenko lodu-9, załączek nowego sposobu łączenia się cząsteczek wody, czyli zamarzania. I jeśli ten żołnierz wrzuci to ziarenko do najbliższej kałuży...

- To kałuża zamarznie? - zgodłem.

- A całe błoto wokół tej kałuży?

- Też zamarznie?

- A wszystkie kałuże w tym zamarzniętym błocie?

- Zamarzną?

- A jeziora i strumienie płynące przez to zamarznięte bagno?

- Zamarzną?

- Oczywiście! - krzyknął. - I piechota morska Stanów Zjednoczonych podniesie się z bagna i ruszy do ataku.

22. PRZEDSTAWICIEL PRASY BRUKOWEJ

- Czy coś takiego istnieje? - spytałem.

- Nie, nie, nie - odpowiedział doktor Breed, znowu tracąc cierpliwość. - Opowiedziałem tę historię tylko dlatego, żeby dać panu pewne pojęcie o tym, jak świeżo i niekonwencjonalnie potrafił Feliks podchodzić do starych problemów. Powtórzyłem panu tylko to, co on powiedział generałowi piechoty morskiej, który zamęczał go tym błotem.

Feliks jadał w naszym bufecie przy oddzielnym stoliku. Istniało niepisane prawo, że nikt nie może siadać obok niego, żeby nie naruszać toku jego myśli. Jednak ten generał wdarł się do środka, przystawił sobie krzesło i zaczął mu opowiadać o błocie. To, co pan usłyszał, to była odpowiedź, jaką Feliks dał mu na poczekaniu.

- Ale... ale taka rzecz nie istnieje?

- Mówiłem już panu, że nie! - krzyknął doktor Breed, wyprowadzony z równowagi. - Feliks wkrótce potem zmarł. I gdyby słuchał pan tego, co próbowałem panu powiedzieć o ludziach zajmujących się czystą nauką, to nie zadawałby mi pan takich pytań! Ludzie czystej nauki pracują nad tym, co ich interesuje, a nie nad tym, co interesuje innych.

- Myślę wciąż o tym błocie...

- Może pan przestać o nim myśleć! Powiedziałem na temat błota wszystko, co miałem do powiedzenia.

- Kiedy strumienie, płynące przez to bagno, zamienią się w lód-9, to co stanie się z rzekami i jeziorami, do których one wpadają?

- Zamarzną. Ale taka rzecz jak lód-9 nie istnieje.

- A co z oceanami, do których wpadają te zamrożone rzeki?

- Zamarzną, oczywiście - uciał. - Założę się, że pobiegnie pan sprzedać gazetom sensacyjny materiał na temat lodu-9. Jeszcze raz mówię panu, że on nie istnieje!

- A źródła, które zasilają te zamrożone rzeki i jeziora, i wszystkie podziemne wody zasilające te źródła?

- Też zamarzną, do cholery! - wrzasnął. - Gdybym wiedział, że reprezentuje pan prasę brukową - dodał wyniosłym tonem, wstając - to nie traciłbym czasu na rozmowy z panem!

- A deszcz?

- Deszcz, po zetknięciu z ziemią, zamieniałby się w twarde, małe grudki lodu-9, i oznaczałoby to koniec świata! I na tym skończymy również naszą rozmowę! Do widzenia panu!

23. ŁABĘDZIA PIEŚŃ

Doktor Breed mylił się: taka rzecz jak lód-9 istniała.

I lód-9 znajdował się na Ziemi.

Był to ostatni prezent, jakim Feliks Hoenikker obdarzył ludzkość przed odejściem na zasłużony odpoczynek.

Zrobił to tak, że nikt nie wiedział, nad czym pracował, i nie pozostawił żadnych notatek.

To prawda, że odkrycie wymagało skomplikowanej aparatury, ale Laboratorium Badawcze było w taką aparaturę wyposażone. Doktor Hoenikker musiał tylko poszperać po sąsiednich pracowniach pożyczając to i owo, zyskując opinię uciążliwego, choć sympatycznego sąsiada, dopóki nie wykonał swojej - jak to się mówi - łabędziej pieśni.

Uzyskał bryłkę lodu-9. Był błękitnobiały i topił się w temperaturze stu czternastu przecinek czterech stopni Fahrenheita.

Feliks Hoenikker włożył bryłkę do buteleczki, buteleczkę schował do kieszeni, po czym wyjechał wraz z trójką dzieci do swego domku na przylądku Cod, aby tam spędzić święta Bożego Narodzenia.

Angela miała wtedy trzydzieści cztery lata, Frank dwadzieścia cztery, a mały Newt osiemnaście.

Doktor Hoenikker umarł w Wigilię, zdradzając jedynie swoim dzieciom tajemnicę lodu-9. Dzieci podzieliły bryłkę lodu-9 pomiędzy siebie.

24. CO TO JEST WAMPETER

Muszę tu wyjaśnić, co bokononiści rozumieją pod pojęciem wampetera.

Wampeter jest osią karassu. Nie ma karassu bez wampetera, tak jak nie ma koła bez osi, powiada Bokonon.

Wampeterem może być wszystko: drzewo, kamień, zwierzę, idea, książka, melodia, święty Graal. Cokolwiek jest wampeterem, członkowie karassu krążą wokół niego w majestatycznym chaosie mgławicy spiralnej. Orbity członków karassu wokół tego wspólnego środka są oczywiście orbitami duchowymi. Krążą po nich dusze, a nie ciała. Jak w piosence Bokonona:

*W kółko, w kółko, nieustannie w kółko się kręcimy,
Nasze stopy są z ołowiu, nasze skrzydła z cyny...*

Wampetery przychodzą i odchodzą, powiada Bokonon.

Każdy karass ma zawsze dwa wampetery - jeden, którego znaczenie wzrasta, i drugi, którego znaczenie maleje.

Jestem prawie pewien, że w czasie, kiedy rozmawiałem w Ilium z doktorem Breedem, wampeterem, który zaczynał dominować w moim karassie, była krystaliczna forma wody, błękitnobiały klejnot, ziarno zagłady zwane lodem-9.

Podczas gdy rozmawiałem w Ilium z doktorem Breedem, Angela, Frank i Newton Hoeinikkerowie posiadali drobiny lodu-9, odpryski oryginalnej bryłki, uzyskanej przez ich ojca, gałązki, można powiedzieć, wyrosłe z macierzystego pnia.

Jestem przekonany, że losy tych trzech bryłek stały się sprężyną wszelkiego dalszego działania mojego karassu.

25. CO BYŁO NAJWAŻNIEJSZE DLA DOKTORA HOENIKKERA

Tyle jak na razie o wampeterze mojego karassu.

Po niefortunnym wywiadzie z doktorem Breedem w Laboratorium Badawczym Towarzystwa General Forge and Foundry, zostałem przekazany w ręce panny Faust. Miała odprowadzić mnie do wyjścia, udało mi się jednak namówić ją, aby pokazała mi pracownię świętej pamięci Feliksa Hoenikkera.

Po drodze spytałem, czy dobrze znała doktora Hoenikkera. Otrzymałem szczerą i interesującą odpowiedź, a na dodatek jeszcze i porozumiewawczy uśmiech.

- Nie sądzę, aby doktor Hoenikker należał do ludzi, których można znać bliżej. Mówiąc o tym, że kogoś znamy lepiej albo gorzej, mamy zwykle na myśli jakieś tajemnice, którymi ten ktoś podzielił się z nami albo nie. Mamy na myśli sprawy intymne, związane z życiem rodzinnym i uczuciowym - powiedziała ta miła starsza dania. - W życiu doktora Hoenikkera wszystko to istniało, tak jak w życiu każdego z nas, ale dla niego nigdy nie były to rzeczy najważniejsze.

- A co było dla niego najważniejsze?

- Doktor Breed powtarza, że dla doktora Hoenikkera najważniejsza była prawda.

- Zdaje się, że pani nie bardzo się z tym zgadza.

- Nie wiem, czy się z tym zgadzam, czy nie. Po prostu nie mogę zrozumieć, jak sama tylko prawda może komuś wystarczać.

Panna Faust była osobą dojrzałą do przyjęcia bokononizmu.

26. CO TO JEST BÓG

- Czy rozmawiała pani kiedyś z doktorem Hoenikkerem?

- Oczywiście. Rozmawiałam z nim bardzo często.

- Czy zapamiętała pani którąś z tych rozmów?

- Pamiętam, jak kiedyś chciał iść o zakład, że nie potrafię powiedzieć niczego, co byłoby absolutną prawdą. Powiedziałam wtedy: "Bóg jest miłością."

- I co on na to?

- Spytał: "Co to jest Bóg? Co to jest miłość?"

- No tak.

- Ale Bóg naprawdę jest miłością - powiedziała panna Faust - niezależnie od tego, co sądził na ten temat doktor Hoenikker.

27. PRZYBYSZ Z MARSA

Pracownia doktora Hoenikera mieściła się na najwyższym, szóstym piętrze budynku. W drzwiach wisiał purpurowy sznur, zaś mosiężna tabliczka na ścianie wyjaśniała, dlaczego pokój ten został zamieniony w sanktuarium:

W tym pokoju doktor Feliks Hoenikker, laureat nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, spędził ostatnie dwadzieścia osiem lat swego życia. Był zawsze w awangardzie współczesnej nauki. Trudno przecenić wpływ, jaki ten człowiek wywarł na losy świata.

Panna Faust zaproponowała, że zdejmie purpurowy sznur, abym mógł wejść do środka i nawiązać bliższy kontakt z duchami krążącymi po pracowni.

Zgodziłem się skwapliwie.

- Wszystko pozostawiono tu jak za jego życia - powiedziała panna Faust - tyle że wtedy na stołach leżały gumki od recept.

- Gumki?

- Nie mam pojęcia, do czego były mu potrzebne. Nie mam zresztą pojęcia, do czego służy wszystko, co tu jest.

Hoenikker pozostawił w pracowni niezły bałagan. Moją uwagę zwróciła natychmiast duża ilość różnych tanich zabawek. Był tu papierowy latawiec ze złamaną listewką, bąk ze sznurkiem, gotów w każdej chwili zakręcić się i utrzymywać równowagę. Był też drugi bąk, nakręcany. Był aparat do puszczenia baniek mydlanych i akwarium z zamkiem i dwoma żółwiami.

- Doktor lubił odwiedzać sklepy z tanimi zabawkami - wyjaśniła panna Faust.

- Właśnie widzę.

- Niektóre z jego najslynniejszych eksperymentów zostały przeprowadzone przy pomocy sprzętu, który kosztował mniej niż dolara.

- Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

W pracowni było też oczywiście wiele tradycyjnego sprzętu laboratoryjnego, ale wydawał się on szary i bezbarwny w porównaniu z tanimi, wesołymi zabawkami.

Biurko doktora Hoenikera było zavalone korespondencją.

- Nie pamiętam, żeby kiedyś odpowiedział na list - powiedziała w zamyśleniu panna Faust. - Ludzie, którzy chcieli otrzymać odpowiedź, musieli telefonować albo przychodzić osobiście.

Na biurku stała fotografia w ramce. Była odwrócona tyłem do mnie i spróbowałem odgadnąć, kogo przedstawia.

- Żona?

- Nie.

- Któreś z dzieci?

- Nie.

- On sam?

- Nie.

Musiałem spojrzeć. Była to fotografia skromnego pomnika przed budynkiem rady miejskiej w jakimś małym miasteczku. Pomnik miał wmurowaną tablicę z nazwiskami mieszkańców miasteczka, którzy polegli w różnych wojnach, sądziłem więc, że fotografię zrobiono dla tej tablicy. Można było odczytać na niej nazwiska i spodziewałem się, że znajdę wśród nich nazwisko Hoenikker, ale nie znalazłem.

- To było jedno z jego hobby - powiedziała panna Faust.

- Co takiego?

- Fotografowanie różnych sposobów ustawiania kul armatnich w piramidę. Widocznie tutaj są ułożone w jakiś niezwykle sposób.

- Rozumiem.

- On sam był niezwykle człowiekiem.

- Zgadza się z panią.

- Może za milion lat wszyscy ludzie będą tak inteligentni i będą patrzeć na świat w ten sposób co on. Ale od przeciętnych współczesnych ludzi różnił się tak, jakby był przybyszem z Marsa.

- A może on rzeczywiście był Marsjaninem?

- Byłoby to najprostsze wyjaśnienie dziwnego zachowania się trojga jego dzieci.

28. MAJONEZ

Kiedy czekaliśmy na windę, żeby zjechać na dół, panna Faust wyraziła nadzieję, że nie będzie to winda numer pięć. Zanim zdążyłem dowiedzieć się, o co chodzi, winda numer pięć przyjechała.

Obsługiwał ją mały, stary Murzyn nazwiskiem Lyman Bnders Knowles. Knowles był niewątpliwie wariatem, i to agresywnym. Kiedy uważał, że udało mu się powiedzieć coś dowcipnego, poklepywał się po tyłku i skrzeczał: "Tak, tak!"

- Jak się macie, człekokształtni bracia! - powitał pannę Faust i mnie. - Tak, tak!

- Parter, proszę - powiedziała panna Faust urzędowo.

Aby nas zwieźć na parter, Knowles musiał tylko zamknąć drzwi i nacisnąć guzik, ale nic nie wskazywało na to, że chce coś takiego zrobić. W każdym razie nie w tym roku.

- Jeden facet powiedział mi - mówił Knowles - że te windy są pomnikami architektury Majów. Do dzisiaj nic o tym nie wiedziałem. Więc pytam go: "Czy to znaczy, że ja jestem majonezem?" Tak, tak! A kiedy stał i łamał sobie głowę nad tym, co powiedziałem, zasunąłem mu takie pytanie, że aż przysiadł. Tak, tak!

- Panie Knowles, czy moglibyśmy zjechać na dół? - spytała błagalnie panna Faust.

- Więc mówię do niego - kontynuował Knowles - że to Laboratorium prowadzi poszukiwania. To znaczy, że oni tu poszukują czegoś, co im kiedyś zginęło, no nie? I dlatego zbudowali taki wielki dom z majonezowymi windami i napuścili tu tych wszystkich wariatów? Czego oni poszukują? Kto tu co zgubił? Tak, tak!

- To bardzo ciekawe - westchnęła panna Faust - ale czy moglibyśmy już zjechać na dół?

- Stąd można jechać tylko na dół - burknął Knowles. - To jest ostatnie piętro. Gdyby pani chciała jechać do góry, nie mógłbym pani w niczym pomóc. Tak, tak!

- Więc jedźmy na dół - powiedziała panna Faust.

- Już się robi. Czy ten dżentelmen przybył złożyć swoje uszanowanie doktorowi Hoenikkerowi?

- Tak - odpowiedziałem. - Czy pan go znał?

- Bardzo blisko. Wie pan, co powiedziałem, kiedy umarł?

- Nie.

- Powiedziałem, że doktor Hoenikker nie umarł.

- Tak?

- On przeniósł się w inny wymiar. Tak, tak!

Nacisnął guzik i ruszyliśmy w dół.

- Czy znał pan też dzieci doktora Hoenikkera? - spytałem.

- Dzieci, kupa śmieci. Tak, tak!

29. ODESZLI, ALE PAMIĘĆ O NICH POZOSTAŁA

Miałem jeszcze jedną rzecz do załatwienia w Ilium. Chciałem zrobić zdjęcie grobu starego Hoenikkera. Wróciłem więc do swego pokoju, stwierdziłem, że Sandra sobie poszła, wziąłem aparat fotograficzny i wsiadłem do taksówki.

Nadal padał mokry śnieg, szary, dokuczliwy. Pomyślałem sobie, że w tym śniegu nagrobek może być bardzo fotogeniczny i może się nawet nadać na obwolotę mojej książki.

Na cmentarzu dozorca powiedział mi, jak trafić na działkę rodziny Hoenikkerów.

- Trafi pan łatwo - powiedział. - Stoi tam najwyższy pomnik.

Dozorca nie skłamał. Pomnik stanowił alabastrowy phallus wysokości dwudziestu stóp i na trzy stopy gruby. Był cały oblepiony śniegiem.

- Na Boga! - krzyknąłem, wysiadając z taksówki z aparatem fotograficznym w ręku. - Pomnik bardzo odpowiedni dla ojca bomby atomowej! - I wybuchnąłem śmiechem.

Poprosiłem taksówkarza, żeby stanął obok pomnika, tak aby zdjęcie dawało wyobrażenie o jego rozmiarach. Poprosiłem go też, żeby odgarnął śnieg zakrywający nazwisko zmarłego.

Zrobił to, o co go prosiłem.

I wtedy na kolumnie ukazało się wypisane sześciocalowymi literami, jak Boga kocham, słowo **MATKA**

30. ONA TYLKO ŚPI

- Matka? - spytał kierowca z niedowierzaniem. Zgarnąłem jeszcze trochę śniegu i odkryłem następujący wierszyk:

*Matko, modlę się z całej mocy,
Abyś strzegła nas we dnie i w nocy.
Angela Hoenikker*

Pod tym wierszykiem był jeszcze jeden:

*Mama wcale nie umarła,
Ona tylko śpi!
Powinniśmy się uśmiechnąć,
Otrzeć gorzkie łzy.
Franklin Hoenikker*

A jeszcze niżej w kolumnę był wpuszczony cementowy kwadrat z odciskiem dłoni niemowlęcia i słowa:

Maleństwo Newt

- Jeśli to jest matka - powiedział taksówkarz - to co, u diabła, postawili ojcu? - Taksówkarz robił nieprzyzwoitą aluzję do kształtu pomnika.

Znaleźliśmy ojca w pobliżu. Jego nagrobek - zgodnie z testamentem, jak później stwierdziłem - stanowił marmurowy sześcian o boku czterdziestu centymetrów.

OJCIEC, głosił napis.

31. INNY BREED

Kiedy wyjeżdżaliśmy już z cmentarza, taksówkarz zaniepokoił się nagle stanem grobu swojej matki. Spytał, czy nie będę miał nic przeciwko temu, jeśli nadłożymy trochę drogi, aby tam zajechać.

Na grobie jego matki stał śmiesznie mały kamień, zresztą nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie.

Taksówkarz spytał, czy zgodzę się na jeszcze chwilę zwłoki, aby zajechać do zakładu kamieniarskiego naprzeciwko cmentarza.

Nie byłem jeszcze wówczas bokononistą i zgodziłem się z pewnym ociąganiem. Bokononista zgodziłby się z radością pojechać wszędzie, gdzie mu zaproponują. Jak powiada Bokonon: "Nieoczekiwane propozycje podróży są lekcjami tańca, udzielanymi nam przez Boga."

Przedsiębiorstwo kamieniarskie nosiło nazwę Avram Breed i S-wie. Taksówkarz rozmawiał ze sprzedawcą, a ja błądziłem wśród pomników - pomników in blanco, pomników nikogo jeszcze nie upamiętniających.

W salonie wystawowym napotkałem przykład zawodowego niejako poczucia humoru: nad kamiennym aniołem ktoś zawiesił jemiolę. U jego stóp leżały cedrowe gałązki, a wokół marmurowej szyi zawieszono naszyjnik z kolorowych choinkowych lampek.

- Jaka jest cena tego anioła? - spytałem właściciela zakładu.

- On nie jest na sprzedaż. Ma przeszło sto lat. Wyrzeźbił go mój pradziadek Avram Breed.

- To pańskie przedsiębiorstwo jest tak stare?

- Tak jest.

- I pan nazywa się Breed?

- Czwarte pokolenie w tym interesie.

- Czy nie jest pan krewnym doktora Asy Breeda, dyrektora Laboratorium Badawczego?

- Jestem jego bratem. - Przedstawił mi się jako Marvin Breed.

- Świat jest mały - zauważyłem.

- Szczególnie, kiedy go się przywiezie na cmentarz.

Marvin Breed był człowiekiem gładkim, pospolitym, sprytnym i sentymentalnym.

32. PIENIĄDZE ZA DYNAMIT

- Wracam właśnie z biura pańskiego brata. Jestem pisarzem i przeprowadziłem z nim wywiad na temat doktora Hoenikkera - powiedziałem.

- To był kawał zwariowanego sukinsyna. To znaczy, nie mój brat, tylko ten Hoenikker.

- Czy to on kupił od pana ten nagrobek dla żony?

- Nie, to jego dzieci. On nie miał z tym nic wspólnego. Jemu nigdy nie przyszło do głowy, żeby zamówić dla niej jakiś nagrobek. A potem, mniej więcej w rok po jej śmierci, przyszła tu trójka młodych Hoenikkerów: wielka dziewczyna, chłopak i małe dziecko. Zażądali największego kamienia, jaki tylko można kupić, i dwoje starszych przyniosło swoje wierszyki. Chcieli, żeby je umieścić na nagrobku.

Może się pan śmiać z tego kamienia, jeśli pan chce - mówił Marvin Breed - ale dla tych dzieciaków była to największa pociecha, jaką można kupić za pieniądze. Przychodziły tu potem z kwiatami bardzo często.

- Musiało to kosztować kupę forsy.

- Kupili to za pieniądze z nagrody Nobla. Dwie rzeczy kupili za te pieniądze: domek na przylądku Cod i ten pomnik.

- Pieniądze za dynamit - mruknąłem z podziwem, zestawiając w myśli wybuchową siłę dynamitu z niewzruszonym spokojem nagrobka i letniego domku.

- Co proszę?

- Nobel wynalazł dynamit.

- Tak, różne rzeczy się zdarzają...

Gdybym był wtedy bokononistą, to zastanawiając się nad wymyślnie splecionym łańcuchem wydarzeń, który sprowadził pieniądze za dynamit do tej akurat firmy kamieniarskiej, wyszeptałbym pewnie: "Tak kręci się ten świat!"

Są to słowa, jakie szepczą bokononiści, kiedy zastanawiają się nad skomplikowanym i nieodgadnionym funkcjonowaniem maszynerii świata.

Wtedy jednak byłem jeszcze chrześcijaninem i powiedziałem tylko:

- Życie bywa czasem zabawne.

- A czasem nie - dodał Marvin Breed.

33. NIEWDZIĘCZNIK

Spytałem Marviną Breeda, czy znał Emily Hoenikker, żonę Feliksa, matkę Angeli, Franka i Newta, kobietę spoczywającą pod monstrualnym nagrobkiem.

- Czy ją znałem? - jego głos zabrzmiał tragicznie. - Pyta pan, czy ją znałem? Oczywiście, że ją znałem. Tak, znałem Emily. Chodziliśmy razem do szkoły w Ilium. Byliśmy oboje w poczcie sztandarowym naszej klasy. Jej ojciec miał tu sklep muzyczny. Emily potrafiła grać na wszystkich instrumentach, jakie były w tym sklepie. Zakochałem się w niej do tego stopnia, że porzuciłem piłkę nożną i zacząłem uczyć się gry na skrzypcach. I wtedy przyjechał na wakacje mój starszy brat, student Instytutu Technologii, a ja popełniłem ten błąd, że przedstawiłem go swojej dziewczynie. - Marvin Breed pstryknął palcami. - Nawet się nie obejrzałem, jak mi ją zabrał. Rozwaliłem skrzypce za siedemdziesiąt pięć dolarów o gałkę mosiężnego łóżka, a potem poszedłem do kwiaciarni, włożyłem zmiażdżone skrzypce do przezroczystego pudła, w jakim przesyła się tuzin róż, i wysłałem jej przez posłańca.

- Musiała być piękna.

- Piękna? - powtórzył. - Kiedy ujrzę swojego pierwszego anioła, oczywiście, jeśli Bóg mi na to pozwoli, to będę się gapił z zachwytem na jego skrzydła, a nie na twarz. Widziałem już najpiękniejszą twarz, jaką można sobie wyobrazić. W całej okolicy nie było mężczyzny, który by się w niej nie kochał, potajemnie albo otwarcie. Mogła mieć każdego, którego zechciała. - Tu splunął na podłogę. - A ona tymczasem wyszła za mąż za tego małego holenderskiego sukinsyna! Była zaręczona z moim bratem i wtedy zjawiał się ten podstępny mały bękart. Mój starszy brat nie zdążył się obejrzeć, kiedy mu ją zabrał. - Tu Marvin Breed znów pstryknął palcami.

- Możliwe, że trzeba być zdrajcą, niewdzięcznikiem, ignorantem i reakcyjnym antyintelektualistą, żeby nazywać zmarłego człowieka, równie sławnego jak Feliks Hoenikker, sukinsynem. Wiem dobrze, jaki to był rzekomo nieszkodliwy, łagodny i marzycielski facet, jak to nigdy nie skrzywdził nawet muchy, jak nie dbał o pieniądze, władzę, piękne stroje, samochody i temu podobne, że nie był taki jak inni ludzie, że był lepszy od innych, jednym słowem, że od Jezusa różnił się tylko tym, że nie był Synem Bożym..

Marvin Breed uważał, że nie musi kończyć myśli. Musiałem go poprosić, żeby to zrobił.

- Co mam przeciwko niemu? - spytał. Podeszedł do okna, przez które widać było bramę cmentarza.

- Co mam przeciwko niemu - mruczał, patrząc na bramę, padający śnieg i majaczący w oddali nagrobek pani Hoenikker.

- Jak, u diabła, można mówić o niewinności człowieka, który brał udział w wyprodukowaniu czegoś takiego jak bomba atomowa? Jak można nazwać dobrym człowieka, jeśli nawet nie ruszył palcem, kiedy najlepsza i najpiękniejsza kobieta świata, jego własna żona, usychała z braku miłości i zrozumienia...

Marvin Breed wzdrygnął się.

- Nieraz się zastanawiam, czy on nie urodził się już martwy. Nigdy nie spotkałem człowieka, który tak mało interesował się życiem. Czasem myślę sobie, że to jest największe nieszczęście naszego świata: wśród ludzi zajmujących najwyższe stanowiska mamy zbyt wielu nieboszczyków.

34. VIN-DIT

Podczas tej wizyty w zakładzie kamieniarskim miałem swoje pierwsze vin-dit. Jest to bokononistyczny termin oznaczający gwałtowne i bardzo osobiste przeżycie, popychające człowieka w kierunku bokononizmu, w kierunku przekonania, że Bóg wszechmogący wie o nas wszystko, że wreszcie ma co do każdego z nas jakieś swoje ściśle określone plany.

Moje vin-dit związane było z kamiennym aniołem spod jemioly. Taksówkarz wbił sobie do głowy, że za każdą cenę musi postawić tego anioła na grobie swojej matki. Sterczał przed tą figurą ze łzami w oczach.

Marvin Breed nadal patrzył przez okno na bramę cmentarza i kończył swoje małe przemówienie na temat Feliksa Hoenikkera.

- Możliwe, że ten mały holenderski sukinsyn był współczesnym świętym, ale niech mnie diabli porwą, jeśli on kiedykolwiek zrobił coś, czego nie chciał, i jeśli kiedykolwiek nie zdobył czegoś, czego zapragnął. - Muzyka - dodał po chwili.

- Jaka muzyka? - spytałem.

- Wyszła za niego z powodu muzyki. Powiedziała, że jego umysł jest nastrojony na odbiór najgenialniejszej muzyki, jaka istnieje, muzyki gwiazd. - Potrząsnął głową. - Bzdura!

Potem widok bramy przypomniał mu ostatnie spotkanie z Frankiem Hoenikkerem, modelarzem i dręczycielem owadów.

- Frank - powiedział. - Po raz ostatni widziałem tego biednego zwariowanego chłopaka, jak wychodził przez tę bramę. Pogrzeb jego ojca jeszcze się nie zakończył. Starego nie zdążyli złożyć do grobu, a Frank już był za bramą. Zatrzymał pierwszy przejeżdżający samochód. Był to nowy pontiac z rejestracją stanu Floryda. Auto stanęło. Frank wszedł i od tego czasu nikt już go w Ilium nie widział.

- Słyszałem, że jest poszukiwany przez policję.

- To było nieporozumienie, jednorazowy wyskok. Frank nie był typem przestępcy. Do tego też trzeba mieć smykałkę. Jedyne, co mu dobrze wychodziło, to modele, i jedyna praca, w jakiej się utrzymał przez dłuższy czas, to było w sklepie "U Jacka", gdzie sprzedawał modele, robił modele i udzielał porad, jak robić modele. Kiedy wyjechał stąd na Florydę, dostał pracę w sklepie z modelami w Sarasocie. Okazało się, że pod szyldem tego sklepu działała banda, która kradła cadillaki, ładowała je na stary samolot transportowy i przewoziła na Kubę. W ten sposób Frank został zamieszany w całą tę historię. Myślę, że policja nie może go znaleźć dlatego, że on już nie żyje. Musiał po prostu za dużo słyszeć, kiedy przyklejał krystal-cementem wieżyczki na krążowniku "Missouri".

- A czy wie pan, co się dzieje z Newtem?

- Jest chyba u siostry w Indianapolis. Ostatni raz słyszałem o nim, kiedy wplątał się w tę historię z rosyjską liliputką i został wyrzucony z uczelni. Czy wyobraża pan sobie karła, który chce zostać lekarzem? Pomyśleć tylko, że w tej samej nieszczęsnej rodzinie jest ta wielka, niezgrabna dziewczyna, która ma przeszło sześć stóp wzrostu. I ten człowiek, słynący z wybitnego umysłu, przerwał jej naukę w szkole, żeby mieć kobietę, która będzie koło niego chodzić. Jediną jej rozrywką był klarnet, na którym grała w szkolnej orkiestrze.

Po tym jak porzuciła szkołę, nikt ani razu nie zaprosił jej na randkę. Nie miała żadnych przyjaciół, a staremu nigdy nie przyszło do głowy, żeby jej dać pieniądze na jakieś rozrywki. Wie pan, co ona robiła?

- Nie.

- Często zamykała się w nocy w swoim pokoju, nastawiała sobie płyty i wtórowała im na

klarneckie. Fakt, że w ogóle znalazła męża, jest dla mnie cudem stulecia.

- Ile pan chce za tego anioła? - wtrącił taksówkarz.

- Mówiłem już, że on nie jest na sprzedaż.

- Myślę, że niewielu jest teraz ludzi, którzy potrafią tak rzeźbić w kamieniu - Wtrąciłem.

- Mam siostrzeńca, który to potrafi - powiedział Breed. - Syna Asy. Zapowiadał się na wybitnego uczonego, ale kiedy zrzucono bombę na Hiroszimę, chłopak zostawił wszystko, upił się, a potem przyszedł tutaj i powiedział, że chce pracować jako kamieniarz.

- I pracuje u pana do teraz?

- Jest rzeźbiarzem w Rzymie.

- Gdyby zaproponować panu odpowiednią sumę, na pewno by go pan sprzedał, co?

- Możliwe. Ale musiałyby to być rzeczywiście dużo.

- Gdzie się umieszcza nazwisko na czymś takim? - dopytywał się taksówkarz.

- Tam już jest nazwisko, na podstawie. Nie widzieliśmy napisu, gdyż zasłaniały go cedrowe gałęzie.

- Czy nie został odebrany? - zaciekałem się.

- Nigdy nie został zapłacony. To cała historia. Pewien niemiecki imigrant wybierał się na Zachód i tutaj, w Ilium, jego żona zmarła na ospę. Zamówił tego anioła na jej grób i pokazał pradziadkowi, że ma pieniądze. Potem jednak obrabowano go, zabierając mu wszystko co do centa. Jediną rzeczą, jaka mu pozostała na świecie, był kawałek ziemi w stanie Indiana, którego nigdy nie widział na oczy. Ruszył więc tam obiecując, że wróci i wykupi tego anioła.

- Ale nie wrócił? - spytałem.

- Nie. - Marvin Breed rozsunął nogą gałęzie, tak że mogliśmy zobaczyć wypukłe litery na piedestale. Było to nazwisko. - Cudaczne nazwisko - powiedział Breed. - Jeśli ten imigrant miał potomstwo, to myślę, że zmienili nazwisko. Pewnie teraz nazywają się Jones, Black albo Thompson.

- Myli się pan - mruknąłem.

Zdawało mi się, że pokój się wali, a jego ściany, sufit i podłoga zmieniają się błyskawicznie w wyloty tunelów biegnących w różnych kierunkach poprzez czas. Miałem bokononistyczną wizję jedności wszystkich czasów, całej wędrującej ludzkości, wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Myli się pan - powtórzyłem, kiedy wizja znikła.

- Znał pan jakich ludzi o tym nazwisku?

- Tak.

Było to również moje nazwisko.

35. SKLEP "U JACKA"

W drodze powrotnej do hotelu zauważyłem sklep "U Jacka", w którym pracował Franklin Hoenikker. Poprosiłem kierowcę, żeby stanął i zaczekał.

Wszedłem do środka i zobaczyłem samego Jacka, królującego wśród wszystkich tych miniaturowych samochodów strażackich, kolejek, samolotów, okrętów, domów, latarni, drzew, czołgów, rakiet, ciężarówek, tragarzy, policjantów, konduktorów, strażaków, mamus, tatusiów, kotów, psów, kur, żołnierzy, kaczek i krów. Był to człowiek poważny, strupieszwały, brudny i bardzo kaszłący.

- Co mogę powiedzieć o Franklinie Hoenikkerze? - powtórzył i rozkasłał się. Potrząsnął głową i widać było, że uwielbiał Franka, tak jak nikogo w życiu. - Na to pytanie nie muszę odpowiadać słowami. Mogę panu pokazać, co to był za chłopiec. - Znowu zakasłał. - Zobacz pan na własne oczy.

I zaprowadził mnie do sutereny pod sklepem, w której mieszkał. Stało tani podwójne łóżko, szafa i elektryczna kuchenka.

Jack przeprosił za nie pościelone łóżko.

- Tydzień temu odeszła ode mnie żona. - Zakasłał. - Wciąż jeszcze nie mogę się pozbierać.

Przekreślił kontakt i w głębi pomieszczenia rozbłysło oślepiające światło.

Podeszliśmy do lampy, która świeciła niczym słońce nad fantastyczną małą krainą, zbudowaną na dykie wyspą tak doskonale prostokątną jak miasta w stanie Kansas. Niespokojny duch, który chciałby sprawdzić, co znajduje się poza zielonymi granicami, narażał się na wypadnięcie poza krawędź tego świata.

Wszystko było tak doskonałe w proporcjach, tak pomysłowo wykończone i pomalowane, że nie musiałem nawet mrużyć oczu, aby uwierzyć w realność tej krainy: wzgórz, jezior, rzek, lasów, miasteczek - wszystkiego, co jest tak drogie sercu każdego prawdziwego patrioty.

Wszędzie wiły się jak makaron linie kolejowe.

- Niech pan spojrzy na drzwi domów - powiedział Jack z podziwem.

- Czysta robota. Precyzyjna.

- Mają prawdziwe klamki i kołatki rzeczywiście działają.

- Tam do licha!

- Pyta pan, co to był za chłopak ten Franklin Hoenikker? Oto jego dzieło!

- Zrobił to sam?

- Pomagałem mu trochę, ale wszystko robiłem według jego wskazówek. Ten chłopak był genialny.

- Trudno się nie zgodzić.

- Wie pan, jego brat jest karłem.

- Tak, wiem,

- Pomagał lutować od spodu.

- Rzeczywiście, wszystko wygląda jak żywe.

- Nie była to łatwa robota i zajęła niejeden dzień.

- Rzym też nie od razu zbudowano.

- Ten chłopak nie miał żadnego życia rodzinnego.

- Słyszałem.

- Tu był jego prawdziwy dom. Spędził w tej suterenie tysiące godzin. Czasami nawet nie puszczał pociągów, siedział tylko i patrzył, tak jak my teraz.

- Jest na co popatrzeć. Prawie jak wycieczka do Europy, tyle jest tu do oglądania, jak się przyjrzeć

z bliska.

- On dostrzegał rzeczy, których pan i ja nie dostrzegamy. Potrafił nagle zrównać z ziemią jakieś wzgórze, które dla pana czy dla mnie niczym nie różniło się od wielu prawdziwych wzgórz. I okazywało się, że miał rację. Robił na miejscu wzgórza jezioro z pomostami i całość wyglądała dziesięć razy lepiej niż przedtem.

- Nie każdy ma taki talent.

- To prawda! - potwierdził Jack z entuzjazmem. Ten wybuch uczuć przyprawił go o nowy atak kaszlu. Kiedy atak minął, z oczu pociekły mu łzy. - Namawiałem tego chłopaka na jakieś studia techniczne, żeby mógł pracować w jakiejś naprawdę wielkiej firmie, która umożliwiłaby mu realizację jego pomysłów.

- Zdaje się, że pan też dużo dla niego zrobił.

- Chciałbym mieć takie możliwości - westchnął Jack. - Niestety, brakowało mi kapitału. Dawałem mu wszystko, co mogłem, ale większość materiałów kupił sam za pieniądze, które zarobił u mnie na górze. Wydawał na to wszystkie oszczędności: nie pił, nie palił, nie chodził do kina, nie umawiał się z dziewczętami, nie interesował się samochodami.

- Przydałoby się więcej takich ludzi w naszym kraju.

Jack wzruszył ramionami.

- No, cóż... obawiam się, że załatwili go ci gangsterzy z Florydy. Bali się, że ich sypnie.

- Ja też tak myślę.

Jack nagle stracił panowanie nad sobą i zapłakał.

- Ciekawe, czy te parszywe sukinsyny wiedziały, kogo mordują - powiedział szlochając.

36. MIAU

Na okres swojego wyjazdu do Ilium i okolic - czyli mniej więcej na dwa tygodnie, obejmujące także święta Bożego Narodzenia - pozwoliłem zamieszkać w swoim nowojorskim mieszkaniu ubogiemu poecie nazwiskiem Sherman Krebbs. Moja druga żona rozwiodła się ze mną na tej podstawie, że będąc optymistką nie może żyć z takim pesymistą jak ja.

Krebbs był to taki brodaty, złotowłosy Jezus o oczach spaniela. Nie znałem go zbyt dobrze. Spotkaliśmy się na przyjęciu, gdzie przedstawiał się jako przewodniczący Komitetu Poetów i Malarzy na Rzecz Natychmiastowej Wojny Jądrowej. Poszukiwał schronienia, niekoniecznie ze schronem przeciwoatomowym, i tak się złożyło, że akurat rozporządzałem wolnym mieszkaniem.

Kiedy wróciłem, wciąż jeszcze zastanawiając się nad ukrytym znaczeniem incydentu z nie wykupionym kamiennym aniołem z Ilium, zastałem mieszkanie zdemolowane w rezultacie nihilistycznych pijatyk. Krebbs znikł, ale przedtem zdążył odbyć międzymiastowe rozmowy telefoniczne na sumę trzystu dolarów, wypalić pięć dziur w mojej kanapie, zgładzić mojego kota i moje drzewko awokado oraz wyłamać drzwiczki od apteczki.

Na żółtym linoleum w kuchni znalazłem następujący poemat, wypisany, jak się okazało, ekskrementami:

*Co to za kuchnia,
Skoro brak w niej rzeczy
Najpotrzebniejszej, ważniejszej niż wszystko?
Muszę mieć taki pojemnik na śmieci,
W którym się zmieści cała rzeczywistość.*

Inny komunikat znalazłem wypisany damskim charakterem pisma przy pomocy szminki na tapecie nad łóżkiem. "Nie, nie, nie, powiedziało kurczątko" - głosił napis. Na szyi zamordowanego kota wisiała kartka z napisem "Miau".

Nie widziałem Krebbsa od tego czasu. Mimo to sędzę, że wchodził w skład mojego karassu. Jeśli tak, to spełniał w nim rolę wrang-wranga. Wrang-wrang jest to według Bokonona człowiek, który odwodzi ludzi od określonej linii rozumowania, wykazując na przykładzie własnego życia absurdalność tej drogi.

Możliwe, że byłbym skłonny uznać historię z aniołem za wydarzenie nie mające głębszego sensu i stopniowo dojść do przekonania, że wszystko jest bezsens, ale kiedy ujrzałem to, co zrobił Krebbs, a zwłaszcza to, co zrobił z moim ulubionym kotem, nihilizm był już nie dla mnie.

Ktoś albo coś nie chciało, abym został nihilistą. Zadaniem Krebbsa, niezależnie od tego, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie, było skompromitowanie w moich oczach tej filozofii. Świetna robota, panie Krebbs, świetna robota.

37. WSPÓŁCZESNY GENERAL MAJOR

I wtedy, pewnego dnia, pewnej niedzieli, dowiedziałem się, gdzie ukrywa się zbiegły przed sprawiedliwością twórca modeli, Wielki Bóg Jehowa i Belzebub owadów ze słoika, jednym słowem dowiedziałem się, gdzie można znaleźć Franklina Hoenikkera.

Franklin Hoenikker żył!

Wiadomość ukazała się w dodatku specjalnym do wychodzącego w Nowym Jorku "Sunday Timesa". Dodatek był płatnym ogłoszeniem, reklamującym jedną z bananowych republik. Na okładce widniał wstrząsający profil najcudniejszej dziewczyny, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Na dalszym planie buldożery karczowały palmy, robiąc szeroką aleję. Przy końcu alei wznosiły się stalowe szkielety trzech nowych budynków.

"Republika San Lorenzo - głosił tekst na okładce - rozwija się! Zdrowy, szczęśliwy, postępowy i miłujący wolność naród pięknych ludzi zaprasza amerykańskich inwestorów i turystów."

Nie śpieszyłem się, aby przeczytać resztę. Wystarczyła mi dziewczyna z okładki; co mówię: wystarczyła! Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Była bardzo młoda i bardzo poważna... promieniowała dobrocią i mądrością.

Była brązowa jak czekolada. Włosy miała jasne jak len.

Dowiedziałem się z okładki, że nazywa się Mona Aamons Monzano i jest przybraną córką dyktatora wyspy.

Przejrzałem dodatek w nadziei, że znajdę dalsze zdjęcia olśniewającej ciemnoskórej Madonny.

Znalazłem jednak tylko portret dyktatora wyspy, Miguela "Papy" Monzano, przypominającego goryla dobrze już po siedemdziesiątce.

Obok portretu "Papy" było zdjęcie cherlawego młodzieńca o lisiej twarzy. Miał na sobie śnieżnobiałą bluzę wojskową z jakimś mieniącym się drogimi kamieniami orderem. Jego blisko osadzone oczy były podkrążone. Widocznie przez całe życie kazał się strzyć tylko z tyłu i z boku, zostawiając nienaruszone włosy z przodu, bo nad jego czołem wznosił się ondulowany czub nieprawdopodobnej wysokości.

Podpis głosił, że ten brzydki wyrostek to generał major Franklin Hoenikker, Minister Nauki i Postępu w Republice San Lorenzo.

Miał dwadzieścia sześć lat.

38. ŚWIATOWE CENTRUM POŁOWÓW BARAKUDY

“San Lorenzo ma pięćdziesiąt mil długości i dwadzieścia mil szerokości - jak dowiedziałem się z dodatku do “Sunday Timesa”. - Ludność republiki liczy czterysta pięćdziesiąt tysięcy dusz... bezgranicznie oddanych ideałom Wolnego Świata.”

Najwyższym szczytem jest Góra McCabe'a, wznosząca się na jedenaście tysięcy stóp nad poziom morza. Stolicą jest Bolivar, “...piękne, nowoczesne miasto, zbudowane wokół portu mogącego pomieścić całą flotę wojenną Stanów Zjednoczonych”. Główne produkty eksportu to cukier, kawa, banany, indygo i wytwory rzemiosła artystycznego.

“Amatorzy rybołówstwa jednogłośnie uznają San Lorenzo za światowe centrum połowów barakudy.”

Zastanawiałem się, jakim sposobem Franklin Hoenikker, który nie skończył nawet szkoły średniej, zdobył taką fantastyczną posiadłość. Pewne wyjaśnienie tego faktu znalazłem w szkicu na temat San Lorenzo, podpisanym przez “Papę” Monzano.”

“Papa” stwierdzał, że Frank jest twórcą “Planu Rozwoju San Lorenzo”, obejmującego elektryfikację wsi, budowę dróg, zakładów przerobu odpadków miejskich, hoteli, szpitali, klinik i linii kolejowych. Mimo że szkic był krótki i znać było w nim rękę redaktora, Frank był w nim pięciokrotnie nazwany “krwią z krwi i kością z kości” doktora Feliksa Hoenikkera.

Przy pomocy tej makabrycznej frazy “Papa” chciał widocznie dać do zrozumienia, że Frank miał w sobie coś z magii starego Hoenikkera.

39. FATAMORGANA

Nieco więcej światła na sprawę rzucał inny artykuł, zamieszczony w dodatku, kwiecisty artykuł zatytułowany: "Czym stało się San Lorenzo dla pewnego Amerykanina." Autorem jego był prawie na pewno jakiś podstawiony dziennikarz, ale figurował pod nim podpis generała majora Franklina Hoenikera.

W artykule tym Frank opowiadał, jak to znalazł się zupełnie sam na tonącym sześćdziesięcioośmiostopowym jachcie gdzieś na Morzu Karaibskim. Nie wyjaśniał, skąd się tam wziął ani dlaczego był sam. Dawał jedynie do zrozumienia, że wyruszył z Kuby.

"Luksusowy jacht szedł na dno, a wraz z nim moje pozbawione celu życie - stwierdzał Frank. - Przez ostatnie cztery dni zjadłem tylko mewę i dwa suchary. Ciepłe wody morza wokół mnie roiły się od barakud o zębach jak igły i raz po raz błyskały wśród fal płetwy grzbietowe rekinów-ludojadów.

"Wzniósłem oczy ku swemu Stwórcy, gotów przyjąć każdą Jego decyzję. I wtedy oczy moje ujrzały wspaniały górski szczyt wznoszący się ponad obłokami "Czyżby to była fatamorgana - okrutne złudzenie optyczne?"

W tym miejscu sprawdziłem w encyklopedii, co to jest fatamorgana, i dowiedziałem się, że jest to miraż, czyli mamidło, nazwane tak od Morgana le Fay, czarownika mieszkającego na dnie jeziora. Słyszał on z tego, że pojawiał się w Cieśninie Messyńskiej pomiędzy Kalabrią a Sycylią. Krótko mówiąc, fatamorgana to takie poetyczne ple-ple.

To, co Frank ujrział ze swego tonącego jachtu, nie było okrutną fatamorganą, lecz szczytem Góry McCabe'a. Łagodne fale zniosły jacht Franka ku skalistemu wybrzeżu San Lorenzo, jakby taka właśnie była wola Boga.

Frank suchą stopą wstąpił na ląd i spytał, gdzie się znajduje. Artykuł nie wspominał o tym, ale drań miał przy sobie termos z kawałkiem lodu-9.

Nie mając paszportu Frank znalazł się w więzieniu w stolicy republiki Bolivarze. Tam odwiedził go "Papa" Monzano, który chciał wiedzieć, czy to możliwe, aby Frank był krewnym nieśmiertelnego doktora Feliksa Hoenikera.

"Potwierdziłem to - pisał Frank w swoim artykule - i w tej chwili wszystkie drzwi w San Lorenzo stały przede mną otworem."

40. DOM NADZIEI I MIŁOSIERDZIA

Tak się złożyło - tak się musiało złożyć, powiedziałby Bokonon - że zamówiono u mnie artykuł związany z San Lorenzo. Nie dotyczył on ani "Papy" Monzano, ani Franka. Miał to być artykuł poświęcony Julianowi Castle, amerykańskiemu milionerowi, który dorobił się na cukrze i który w wieku czterdziestu lat poszedł za przykładem doktora Alberta Schweitzera, zakładając w dżungli bezpłatny szpital i poświęcając życie kolorowym nędzaczom.

Szpital Castle'a nosił nazwę Domu Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli. Tą dżunglą były drzewa kawowe, dziko rosnące na północnych zboczach Góry McCabe'a.

Kiedy udawałem się na San Lorenzo, Julian Castle liczył sześćdziesiąt lat.

Już od dwudziestu lat żył wyłącznie dla innych.

W czasach, kiedy żył jeszcze dla siebie, czytelnicy ilustrowanych czasopism znali go równie dobrze jak Tommy Manville'a, Adolfa Hitlera, Benito Mussoliniego i Barbarę Hutton. Źródłem jego sławy była rozpusta, alkoholizm, liczne wypadki samochodowe oraz systematyczne unikanie służby wojskowej. Miał zadziwiający talent do wydawania swoich milionów w sposób zwiększający jedynie światowe zasoby zmartwień i kłopotów.

Będąc pięciokrotnie żonatym, zdołał spłodzić jednego syna.

Ten syn, Filip Castle, był właścicielem i kierownikiem hotelu, w którym miałem się zatrzymać. Hotel nazywał się Casa Mona, od imienia Mony Aamons Monzano, ciemnoskórej blondynki z okładki dodatku do "Sunday Timesa". Nowo zbudowany hotel Casa Mona był jednym z trzech budynków widocznych w tle fotograficznego portretu Mony w gazecie.

Ja nie miałem uczucia, że kierowane czyjąś ręką fale niosą mnie ku San Lorenzo - ja przybywałem na skrzydłach miłości. Nagle potężną siłą w moim pozbawionym celu życiu stała się fatamorgana, myśl o tym, czym może być miłość Mony Aamons Monzano. Wyobraziłem sobie, że mógłbym być z nią szczęśliwy tak jak z żadną inną kobietą na świecie.

41. KARASS NA DWOJE

W samolocie lecącym z Miami do San Lorenzo fotele były umocowane po trzy w rzędzie. Tak się złożyło - tak się musiało złożyć - że moimi sąsiadami byli Horlick Minton, nowy ambasador amerykański w Republice San Lorenzo, i jego żona Claire. Oboje byli siwi, szczupli i uprzejmi.

Minton powiedział mi, że jest zawodowym dyplomatą i że po raz pierwszy występuje w randze ambasadora. On i jego żona byli już na placówkach w Boliwii, Chile, Japonii, Francji, Jugosławii, Egipcie, Związku Południowej Afryki, Liberii i Pakistanie.

Byli w sobie zakochani. Bez przerwy wymieniali małe prezenty: ciekawe widoki za oknem, zabawne albo pouczające fragmenty lektury, przypadkowe wspomnienia. Byli, jak sądzę, idealnym przykładem tego, co Bokonon nazywa duprassem, a co oznacza karass składający się tylko z dwóch osób.

"Prawdziwy duprass - powiada Bokonon - jest nieprzenikniony nawet dla dzieci zrodzonych z takiego związku."

Wyłączam zatem Mintonów ze swego karassu, z karassu Franka, z karassu Newta, z karassu Asy Breeda, z karassu Angeli, karassu Lymana Endersa Knowlesa, karassu Shermana Krebbsa. Mintonowie mieli swój własny schludny dwuosobowy karass.

- Musi pan być bardzo zadowolony - powiedziałem do Mintona.

- Z czego muszę być bardzo zadowolony?

- Z nominacji na ambasadora.

Z pełnego politowania spojrzenia, jakie wymienili Minton i jego żona, wywnioskowałem, że palnąłem jakieś głupstwo. Zaraz jednak postarali się być dla mnie uprzejmi.

- Tak - zareagował Minton. - Jestem bardzo zadowolony. To dla mnie wielki zaszczyt - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

I tak było prawie z każdym tematem, jaki poruszyłem. W żaden sposób nie mogłem ich rozruszać.

Na przykład:

- Państwo pewnie znacie wiele języków?

- Och, sześć czy siedem, do spółki - odpowiedział Minton.

- To musi być bardzo przyjemne.

- Co takiego?

- Móc rozmawiać z przedstawicielami tylu różnych narodów.

- Bardzo przyjemne - zgodził się Minton bez entuzjazmu.

- Bardzo przyjemne - przytaknęła jego żona. I wrócili do lektury grubego maszynopisu, leżącego na poręczach między ich fotelami.

- Proszę mi powiedzieć - spytałem po chwili - czy podróżując tyle po świecie stwierdzili państwo, że w gruncie rzeczy ludzie wszędzie są tacy sami?

- Słucham? - spytał Minton.

- Czy uważa pan, że w gruncie rzeczy ludzie są wszędzie tacy sami?

Spojrzał na żonę, aby się upewnić, czy słyszała pytanie, a potem zwrócił się do mnie.

- Mniej więcej tacy sami - zgodził się.

- Uhum - powiedziałem.

Nawiasem mówiąc, Bokonon wspomina, że członkowie duprassu zawsze umierają w tym samym tygodniu. Mintonowie, kiedy przyszedł ich czas, umarli w tej samej sekundzie.

42. ROWERY DLA AFGANISTANU

Udałem się na drinka do małego barku, mieszczącego się w tylnej części samolotu. Spotkałem tam jeszcze jednego Amerykanina, H. Lowe'a Crosby z Evanston w stanie Illinois, i jego żonę Hazel.

Oboje byli tędzy, po pięćdziesiątce. Mówili z nosowym akcentem. Crosby powiedział mi, że jest właścicielem fabryki rowerów w Chicago i że ze strony swoich pracowników spotyka się z czarną niewdzięcznością. Miał zamiar przenieść swój interes na wdzięczniejsze San Lorenzo.

- Zna pan dobrze San Lorenzo? - spytałem.

- Wybieram się tam po raz pierwszy, ale słyszałem o tym kraju wiele dobrego - powiedział H. Lowe Crosby. - Panuje tam dyscyplina. Można mieć pewność, że nic się nie zmieni z roku na rok. Rząd nie zachęca tam ludzi, żeby pozwolili na zaszczanych oryginałów, jakich jeszcze świat nie widział.

- Nie rozumiem.

- Jak Boga kocham, tam w Chicago dawno już przestaliśmy się zajmować produkcją rowerów. Teraz liczą się tylko stosunki międzyludzkie. Profesorkowie siedzą tylko i kombinują, jak by tu wszystkich uszczęśliwić. Nikogo nie można wyrzucić z pracy, choćby Bóg wie co wyczyniał, a jeśli ktoś w tym bałaganie przez pomyłkę zrobi rower, to związek zawodowy natychmiast oskarża nas o stosowanie okrutnych, nieludzkich metod, a rząd konfiskuje ten rower za zaległe podatki i wysyła go jako prezent dla niewidomych w Afganistanie.

- I myśli pan, że na San Lorenzo będzie lepiej?

- Jestem tego pewien. Ludzie są tam tak biedni, zastraszeni i głupi, że muszą mieć trochę zdrowego rozsądku.

Crosby spytał mnie o nazwisko i zawód. Powiedziałem mu, a wtedy jego żona Hazel przypomniała sobie, że w stanie Indiana mieszkają ludzie o tym nazwisku. I ona pochodziła z Indiany.

- Mój Boże! - zawołała - czy pan pochodzi z Indiany?

Przyznałem, że tak.

- Ja też pochodzę z Indiany - pisnęła radośnie. - Nie trzeba się tego wstydzić.

- Nie wstydzę się tego i nigdy nie spotkałem człowieka, który by się tego wstydził - powiedziałem.

- My z Indiany zawsze sobie damy radę. Lowe i ja dwukrotnie odbyliśmy podróż dookoła świata i przekonaliśmy się, że ludzie z Indiany są wszędzie na kierowniczych stanowiskach.

- To przyjemna świadomość.

- Czy zna pan dyrektora najnowszego hotelu w Stambule?

- Nie.

- Pochodzi z Indiany. I ten jakiś tam wojskowy w Tokio...

- Attache - wtrącił mąż.

- Też jest z Indiany. I nowy ambasador w Jugosławii...

- Z Indiany? - spytałem.

- Nie tylko on. Także korespondent "Life'u" w Hollywood. I ten człowiek w Chile...

- Też z Indiany?

- Wszędzie, gdzie się tylko pojedzie, widzi się ludzi z Indiany na czołowych miejscach.

- Autor *Ben Hura* pochodził z Indiany.

- I James Whitcomb Riley.

- Czy pan również pochodzi z Indiany? - spytałem jej męża.

- Nie. Ja pochodzę z krainy prerii. "Ojczyzny Lincolna", jak się to mówi.

- Jeśli o to chodzi - powiedziała Hazel tryumfalnym tonem - to Lincoln też był z Indiany.

Dzieciństwo spędził w okręgu Spencer.

- Zgadza się - powiedziałem.

- Nie wiem, na czym to polega - mówiła Hazel - ale ludzie z Indiany mają coś w sobie. Gdyby tak zrobić ich listę, to wszyscy byliby zdumieni.

- To prawda - potwierdziłem. Chwyciła mnie z całej siły za ramię.

- My z Indiany musimy się trzymać razem.

- Wiadomo.

- Mów do mnie "mamo".

- Proszę?

- Zawsze jak spotykam młodego człowieka z Indiany, mówię mu, żeby nazywał mnie "mama".

- Aha.

- No to powiedz tak - poprosiła.

- Mamo?

Uśmiechnęła się i puściła mnie. Zupełnie jakby jakaś maszynka wykonała swoje zadanie. Nazywając Hazel "mama" zamknąłem jakiś cykl i teraz Hazel nakręcała swoją maszynkę na następnego faceta z Indiany.

Obsesja Hazel na punkcie ludzi z Indiany była typowym przykładem fałszywego karassu, pozornego zespołu, nie mającego żadnego znaczenia z punktu widzenia zamysłu Boga i sposobów jego realizacji. Był to typowy przykład tego, co Bokonon nazywa granfalonem. Inne przykłady to partie polityczne, Córki Rewolucji Amerykańskiej, General Electric Company, Międzynarodowy Zakon Dziwaków... oraz każdy naród, zawsze i wszędzie. Bokonon zaprasza nas, abyśmy zaśpiewali razem z nim:

Jeśli chcesz wiedzieć, co to granfalon,

Spróbuj obrać ze skórki bańkę mydlaną.

43. PO PROSTU CZŁOWIEK

H. Lowe Crosby był zdania, że dyktatura nie jest taką złą rzeczą. Nie był przy tym ani potworem, ani głupcem. Przyjmował wprawdzie wobec świata pozę prowincjonalnego kłowna, ale wiele z tego, co mówił na temat niezdiscyplinowania ludzkości, było nie tylko śmieszne, ale i prawdziwe.

Jego zdrowy rozsądek i poczucie humoru odstępowały go jednak, gdy dochodziło do pytania, jaki użytek człowiek powinien robić ze swego życia na Ziemi.

Crosby był święcie przekonany, że człowiek został stworzony po to, aby produkować dla niego rowery.

- Mam nadzieję, że San Lorenzo nie zawiedzie pańskich nadziei - powiedziałem.

- Nie będę miał żadnych wątpliwości, kiedy porozmawiam z jednym człowiekiem. Jeśli na tej wyspie "Papa" Monzano coś obieca, to sprawa jest pewna. To znaczy, że tak będzie.

- A ja cieszę się z tego - wtrąciła Hazel - że ludzie mówią tu po angielsku i wszyscy są chrześcijanami. To tak ułatwia sprawę.

- Wie pan, jak oni sobie tam poradzili z przestępczością? - spytał Crosby.

- Nie.

- Przestępczość tam praktycznie nie istnieje. "Papa" Monzano tak im obrzydził przestępczość, że na samą myśl o niej ludziom robi się niedobrze. Słyszałem, że może pan tam położyć portfel na środku ulicy, wrócić za tydzień, i znajdzie pan nienaruszony portfel w tym samym miejscu.

- Hm.

- Wie pan, jaka tam jest kara za kradzież?

- Nie.

- Hak. Żadnych mandatów karnych, żadnych trzydziestu dni aresztu, żadnych kar z zawieszeniem. Po prostu hak. Hak za kradzież, hak za morderstwo, hak za pod palenie, za zdradę, za gwałt, za podglądanie. Złamiesz: prawo - wszystko jedno jakie - i hak. Jest to rzecz dla każdego zrozumiała i San Lorenzo jest najspokojniejszym krajem na świecie.

- Co to jest ten hak?

- Budują taką szubienicę, widzi pan? Dwa słupy i poprzeczna belka. Potem biorą wielki żelazny hak i zawieszają go na bekę. A potem biorą kogoś, kto był tak głupi, że popełnił przestępstwo, nadziewają go na ten hak i zostawiają. I wisi tak sobie nieszczęsny cholerny przestępca.

- To straszne!

- Nie twierdzą, że to jest dobre - mówił dalej Crosby - ale nie twierdzą też, że to jest złe. Czasami zastanawiam się, czy to nie rozwiązałyby sprawy przestępczości nieletnich. Może zresztą hak byłby pewną przesadą w warunkach demokracji. Publiczne wieszanie byłoby bardziej odpowiednie. Powiesić tak paru młodocianych złodziei samochodów na latarniach przed ich domami z tablicami na szyi: "Mamusiu, to ja, twój synek." Zrobić tak parę razy, i myślę, że wszelkie urządzenia zabezpieczające można będzie oddać do muzeum.

- Widzieliśmy tę rzecz w podziemiach gabinetu figur woskowych w Londynie - powiedziała Hazel.

- Jaką rzecz? - spytałem.

- Ten hak. W izbie okropności, w podziemiach, była woskowa figura wisząca na haku. Wyglądało to tak prawdziwie, że mało nie zwymiotowałam.

- Za to Harry Truman wcale nie był podobny - powiedział Crosby.

- Jaki Truman?

- W gabinecie figur woskowych - wyjaśnił Crosby - figura Trumana nie była wcale do niego podobna.

- Ale większość była podobna - powiedziała Hazel.

- Czy było powiedziane, kto wisi na tym haku? - spytałem Hazel.

- Nie sądzę.

- Po prostu jakiś człowiek?

- Tak. Była tam czarna, aksamitna kotara, którą należało rozsunąć. Wisiała na niej tabliczka, że dzieciom nie wolno zaglądać.

- Ale dzieci zaglądały - powiedział Crosby. - Były tam dzieci i wszystkie zaglądały.

- Taki napis to dla nich tylko przynęta - dodała Hazel.

- A jak dzieci reagowały na widok tego człowieka na haku? - spytałem.

- Och - powiedziała Hazel - reagowały tak samo jak dorośli. Patrzyły i bez słowa przechodziły do następnego eksponatu.

- A jaki był następny eksponat?

- Było to żelazne krzesło, na którym żywcem usmażono człowieka - powiedział Crosby. - Za zamordowanie własnego syna.

- Jak go już usmażyli - przypomniała sobie Hazel - okazało się, że wcale nie zamordował syna.

44. SYMPATYCY KOMUNIZMU

Kiedy wróciłem na swoje miejsce obok duprassu Claire i Horlicka Mintonów, miałem na ich temat pewne nowe informacje. Uzyskałem je od Crosbych.

Nie znali oni Mintona osobiście, ale wiele o nim słyszeli. Byli oburzeni jego nominacją na ambasadora. Powiedzieli mi, że Minton był niegdyś zwolniony z pracy przez Departament Stanu za ugodowe stanowisko w stosunku do komunizmu, ale potem komunistyczne pachołki przywróciły go do pracy.

- Tam w tyle jest bardzo przyjemny barek - powiedziałem do Mintona, siadając w swoim fotelu.
- Hm? - Oboje nadal czytali maszynopis leżący między nimi.
- Mówię, że tam jest sympatyczny barek.
- To dobrze. Bardzo się cieszę.

Oboje byli pogrążeni w lekturze, zdradzając oczywisty brak zainteresowania rozmową ze mną. Niespodziewanie Minton odwrócił się nagle w moją stronę z gorzko-słodkim uśmiechem i spytał:

- Kto to był?
- Kto?

- Ten człowiek, z którym pan rozmawiał w barze. Poszliśmy tam z żoną i w progu usłyszeliśmy, jak pan z nim rozmawiał. Tamten mówił bardzo głośno. Usłyszeliśmy, jak powiedział, że jestem sympatykiem komunizmu.

- To fabrykant rowerów, nazywa się H. Lowe Crosby - powiedziałem, czując, że się czerwienię.
- Zostałem zwolniony z pracy za pesymizm. Komunizm nie miał z tym nic wspólnego.
- Zwolnili go przeze mnie - powiedziała żona Mintona. - Jedynym dowodem przeciwko niemu był list, jaki napisałam do nowojorskiego "Timesa" z Pakistanu.

- Co pani tam napisała?

- Napisałam masę rzeczy, bo byłam bardzo poruszona tym, że Amerykanie nie potrafią sobie wyobrazić, że można nie być Amerykaninem i żywić z tego powodu dumę.

- Rozumiem.

- Ale było tam jedno zdanie, które stale powracało na przesłuchaniach w sprawie mojej lojalności - westchnął Minton. - "Amerykanie - powiedział, cytując z listu żony do "Timesa" - zawsze szukają miłości nie takiej i nie tam, gdzie trzeba. Możliwe, że jest to związane z tym, że nie mamy już Dzikiego Zachodu."

45. DLACZEGO AMERYKANIE SĄ ZNIENAWIDZENI

List Claire Minton do "Timesa" został opublikowany w najgorszych latach maccarthyizmu i jej mąż został zwolniony z pracy w dwanaście godzin po ukazaniu się listu.

- Cóż takiego strasznego było w tym liście? - spytałem.

- Najgorszą formą zdrady - wyjaśnił Minton - jest stwierdzenie, że Amerykanie nie są kochani wszędzie, gdzie tylko się pojawiają, i niezależnie od tego, co robią. Claire usiłowała wykazać, że amerykańska polityka zagraniczna powinna brać pod uwagę faktyczną nienawiść, a nie wymyśloną miłość.

- Myślę, że w wielu krajach ludzie rzeczywiście nienawidzą Amerykanów.

- W wielu krajach ludzie nienawidzą ludzi. Claire w swoim liście wskazywała na fakt, że Amerykanie, ściągając na siebie nienawiść, płacą normalną cenę za to, że są ludźmi. Głupotą było spodziewać się, że uda im się uniknąć zapłacenia tej ceny. Jednak komisja zajmująca się badaniem lojalności nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Interesowało ich tylko to, że Claire i ja uważaliśmy, że Amerykanie nie są kochani.

- Cieszę się, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

- Hm?

- W końcu wszystko się ułożyło - powiedziałem. - Jedziecie przecież państwo objąć samodzielną placówkę.

Minton i jego żona wymienili znowu pełne politowania duprassowe spojrzenia i Minton powiedział:

- Tak. Szczęście uśmiechnęło się do nas.

46. BOKONONISTYCZNY SPOSÓB NA CESARZA

Zapytałem Mintonów o sytuację prawną Franklina Hoenikkera, który, będąc grubą rybą w rządzie "Papy" Monzano, był jednocześnie poszukiwany przez policję Stanów Zjednoczonych.

- Ta sprawa została zamknięta - powiedział Minton. - On nie jest już obywatelem Stanów Zjednoczonych, a tam, gdzie teraz przebywa, robi dużo dobrego, więc wszystko jest w porządku.

- Więc on zrezygnował z obywatelstwa?

- Każdy, kto deklaruje posłuszeństwo obcemu rządowi, służy w obcej armii lub obejmują stanowisko w rządzie obcego państwa, traci automatycznie obywatelstwo. Proszę przeczytać swój paszport. Nie można wdawać się w takie jak Frank romanse z innymi państwami i nadal korzystać z opieki Wuja Sama.

- A jak stoją jego sprawy na San Lorenzo?

Minton zważył w dłoni maszynopis, którym się, tak z żoną zaczytywali.

- Jeszcze nie wiem. Autor tej książki twierdzi, że nie najlepiej.

- Co to za książka?

- Jest to jedyna naukowa praca na temat San Lorenzo.

- Z ambicjami naukowymi - powiedziała Claire.

- Z ambicjami naukowymi - powtórzył Minton. - Nie została na razie opublikowana. To jest jeden z pięciu egzemplarzy.

Podał mi maszynopis, zapraszając, żebym go sobie przejrzał.

Otworzyłem maszynopis na stronie tytułowej i stwierdziłem, że nosi on tytuł *San Lorenzo. Kraj, historia, ludzie*. Autorem był Filip Castle, syn Juliana Castle, zajmujący się hotelarstwem, syn wielkiego altruisty, do którego właśnie jechałem.

Potem otworzyłem maszynopis na - chybił trafił. Przypadkiem trafiłem na miejsce, gdzie była mowa o wyjętym spod prawa świętym mężu wyspy, Bokononie.

Widniał przede mną cytat z Księgi Bokonona. Słowa te wyskakiwały z tekstu i zapadały głęboko w serce. I spotykały się tam z jak najlepszym przyjęciem.

Słowa te były parafrazą sugestii Jezusa, aby oddać cesarzowi to, co cesarskie.

W wersji Bokonona brzmiało to tak:

"Nie zwracajcie uwagi na cesarza. Cesarz nie ma najmniejszego pojęcia o tym, co się rzeczywiście dzieje."

47. DYNAMICZNE NAPIĘCIE

Książka Filipa Castle tak mnie wciągnęła, że nawet nie uniosłem głowy, kiedy wylądowaliśmy na dziesięć minut w San Juan na Porto Rico. Nie uniosłem głowy nawet wówczas, gdy ktoś za mną szepnął zbulwersowany, że do samolotu wsiadł liliput.

W chwilę później rozejrzałem się, szukając wzrokiem liliputa, ale nie zobaczyłem go. Zobaczyłem natomiast przed parą Crosbych nową pasażerkę: platynową blondynkę o końskiej twarzy. Miejsce obok niej wyglądało na puste, ale równie dobrze mógł tam siedzieć liliput.

Wówczas jednak pochłaniało mnie całkowicie *San Lorenzo. Kraj, historia, ludzie* i nie rozglądałem się dłużej za liliputem. Lilipuci są rozrywką dobrą w chwilach beztroski i spokoju, a ja byłem nie na żarty poruszony teorią Bokonona na temat tego, co nazywał "dynamicznym napięciem", jego nauką o bezcennej równowadze pomiędzy dobrem a złem.

Kiedy po raz pierwszy natknąłem się w książce Filipa Castle na termin "dynamiczne napięcie", uśmiechnąłem się z wyższością. Według młodego Castle'a było to ulubione określenie Bokonona, mnie zaś wydawało się, że wiem coś, czego nie wiedział Bokonon, mianowicie, że określenie to zostało rozpowszechnione przez Charlesa Atlasa, prowadzącego korespondencyjne kursy kulturystyki.

Jednak czytając dalej przekonałem się, że Bokonon wiedział doskonale, kto to jest Charles Atlas. Był nawet absolwentem jego kursów.

Charles Atlas wychodził z założenia, że muskulaturę można rozbudowywać bez pomocy hantli i sprężyn, przeciwstawiając po prostu jedne grupy mięśni innym.

Bokonon wychodził z założenia, że dobre społeczeństwa można budować przez samo przeciwstawianie dobru zła i podtrzymywanie nieustannego napięcia między nimi.

W książce Castle'a przeczytałem też pierwszy wiersz, czyli "Calypso" Bokonona. Brzmiał on następująco:

*"Papa" Monzano to wcielenie zła,
Lecz gdyby go nie było, kimże byłbym ja?
Gdyby nie było "Papy",
Jakże by uwierzono,
Że tak dobry, tak bardzo dobry
Jest ten stary nicpoń Bokonon?*

48. ZUPEŁNIE JAK ŚWIĘTY AUGUSTYN

Bokonon, jak dowiedziałem się z książki Castle'a, urodził się w roku 1891. Był Murzynem z wyspy Tobago, należał do Kościoła episkopalnego i miał obywatelstwo brytyjskie.

Nazywał się Lionel Boyd Johnson.

Był najmłodszym z sześciorga dzieci i pochodził z bogatej rodziny. Bogactwo to było wynikiem odkrycia przez dziadka Bokonona zakopanego skarbu pirackiego wartości ćwierci miliona dolarów. Był to prawdopodobnie skarb Edwarda Teacha, zwanego Czarnobrodym.

Rodzina Bokonona zainwestowała skarb Czarnobrodego w asfalt, koprę, kakao oraz w hodowlę bydła i drobiu.

Młody Lionel Boyd Johnson pobierał nauki w szkołach episkopalnych, uczył się dobrze i wykazywał głębsze zainteresowanie praktykami religijnymi niż większość jego rówieśników. Jednak mimo skłonności do ulegania pokusom zorganizowanej religii, musiał być też niezłym hulaką, co wynika z jego Calypso Czternastego:

*Płochy za młodu byłem i rozpustny:
Grałem, hulałem, ścisnąłem dziewczęta,
Taki za młodu był święty Augustyn.
Św. Augustyn
został potem świętym;
Więc - jeśli ze mną zdarzy się to samo
Nie zemdlej, Mamo!*

49. RYBA WYRZUCONA PRZEZ WZBURZONE MORZE

Lionel Boyd Johnson miał tak silnie rozwinięte ambicje intelektualne, że w 1911 roku wyruszył w samotny rejs z Tobago do Londynu żaglówką o nazwie "Pantofelek". Jego celem było zdobycie wyższego wykształcenia.

Zapisał się do Londyńskiej Szkoły Ekonomii i Nauk Politycznych.

Jego edukację przerwała pierwsza wojna światowa. Walczył w piechocie, był odznaczony, awansował na podoficera, czterokrotnie wymieniano go w rozkazie. Został zagazowany w drugiej bitwie pod Ypres, spędził dwa lata w szpitalu, po czym został zdemobilizowany.

Popłynął więc znowu samotnie w swoim "Pantofelku" na rodzinną wyspę Tobago.

W odległości zaledwie osiemdziesięciu mil od celu został zatrzymany i zrewidowany przez niemiecką łódź podwodną U-99. Wzięto go do niewoli, a jego łódeczkę Niemcy wykorzystali jako cel ćwiczeń artyleryjskich. Znajdująca się wciąż jeszcze na powierzchni łódź podwodna została zaskoczona i wzięta do niewoli przez brytyjski niszczyciel pod nazwą "Kruk".

Johnson wraz z Niemcami powędrował na pokład niszczyciela, a U-99 zatopiono.

"Kruk" płynął na Morze Śródziemne, ale nigdy tam nie dopłynął. Na skutek awarii steru mógł jedynie zdać się na łaskę fal albo zataczać wielkie koła, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Utknął wreszcie na wyspach Zielonego Przylądka.

Johnson spędził tam osiem miesięcy w oczekiwaniu na jakąś okazję powrotu na Półkulę Zachodnią.

Wreszcie zaciągnął się jako marynarz na statek rybacki, przewożący nielegalnych emigrantów do New Bedford w stanie Massachusetts. Statek został wyrzucony na mieliznę koło Newport w stanie Rhode Island.

W tym czasie Johnson był już przekonany, że jakaś siła gna go nie wiadomo dokąd i nie wiadomo w jakim celu. Pozostał więc w Newport, aby sprawdzić, czy to nie tutaj ma się spełnić jego przeznaczenie. Pracował jako cieśla i ogrodnik w słynnej posiadłości Rumfoordów.

Miał tam okazję ujrzyć wielu znakomitych gości Rumfoordów, takich jak J. P. Morgan, generał John J. Pershing, Franklin Delano Roosevelt, Enrico Caruso, Warren Gamaliel Harding i Harry Houdini. Tam też zastał go koniec pierwszej wojny światowej, w której zginęło dziesięć milionów ludzi, a dwadzieścia milionów, w tym także Johnson, odniosło rany.

Kiedy wojna się skończyła, młody utracjusz Remington Rumfoord IV postanowił wyruszyć swoim parowym jachtem o nazwie "Szeherezada" dookoła świata, zawijając do Hiszpanii, Francji, Włoch, Grecji, Egiptu, Indii, Chin i Japonii. Zaprosił Johnsona, aby towarzyszył mu w charakterze bosmana, na co ten chętnie przystał.

W czasie tej podróży Johnson widział wiele cudów świata.

"Szeherezada" została staranowana we mgle w Zatoce Bombajskiej i jedynie Johnson uszedł z życiem. Spędził w Indiach dwa lata, stając się zwolennikiem Gandhiego. Został aresztowany jako przywódca demonstrantów, którzy na znak protestu przeciwko panowaniu brytyjskiemu kładli się na torach kolejowych. Kiedy odsiedział wyrok, odesłano go na koszt rządu na rodzinną wyspę Tobago.

Zbudował tam szkuner, który nazwał "Pantofelek II".

Żeglował nim po Morzu Karaibskim bez celu, szukając burzy, która rzuci go na brzeg przeznaczony mu przez los.

W roku 1922 schronił się przed huraganem do Port-au-Prince na Haiti, okupowanej wówczas przez amerykańską piechotę morską.

Johnson zbliżył się tam z wybitnie uzdolnionym samoukiem, idealistą i dezerterskim nazwiskiem

Earl McCabe. McCabe, kapral piechoty morskiej, zdefraudował fundusz kulturalno-oświatowy swojej kompanii i zaproponował Johnsonowi pięćset dolarów za przewiezienie go do Miami.

Pożeglowali więc do Miami, ale sztorm zagnał ich szkuner na skały San Lorenzo. Szkuner zatonął. Johnson i McCabe, nadzy jak ich Bóg stworzył, dopłynęli do brzegu. Sam Bokonon tak mówi o tej przygodzie:

*Wypluty przez gniewne morze,
Upadłem na obcy ląd
Jak trzepocząca się ryba.
I odtąd stałem się - mną.*

Johnson był urzeczony tajemnicą przybycia nago na nieznany brzeg. Postanowił pozwolić tej przygodzie rozwijać się bez przeszkód, aby przekonać się, jak daleko może zajść człowiek, który nago wyłonił się ze słonych odmętów.

Były to jego powtórne narodziny.

*Bądźcie jako dziateczki.
Tak Biblia powiada.
Więc znów stałem się dzieckiem
I jestem nim nadal.*

Sprawa imienia Bokonon jest bardzo prosta. Tak wymawiano nazwisko Johnsona w miejscowym dialekcie.

Jeśli mowa o dialekcie...

Dialekt San Lorenzo łatwo jest zrozumieć, ale trudno zapisać. Twierdząc, że łatwo jest go zrozumieć, mówię tylko za siebie. Niektórzy uważają go za równie trudny do zrozumienia jak język baskijski, możliwe więc, że moja łatwość porozumienia związana jest z telepatią.

Filip Castle, dając w swojej książce fonetyczny przykład dialektu, bardzo trafnie uchwycił jego specyfikę. Jako próbkę wybrał on miejscową wersję *Małej gwiazdki*.

W wersji oryginalnej ten nieśmiertelny utwór brzmi następująco:

*W Cyt, cyt, gwiazdka mała
Z nieba do mnie zamrugala.
Cyt, cyt, gwiazdko miła,
Czemuś się za chmurkę skryła?*

W dialekcie San Lorenzo ten sam wierszyk brzmiał według Castle'a następująco:

*Cit, cit, kfiastka mala
S niepa to mnie samrukala.
Cit, cit, kfiastko mila,
Cemusie są chmurko skrila?*

Wkrótce po tym jak Johnson stał się Bokononem, znaleziono przypadkowo na plaży szalupę z jego rozbitego stateczku. Łódka ta została później pozłocona i pełniła rolę łoża najwyższego

przedstawiciela władzy wykonawczej na wyspie.

“Istnieje legenda, stworzona przez Bokonona - pisze Filip Castle w swojej książce - że złota łódź znowu popłynie, kiedy zbliżać się będzie koniec świata.”

50. SYMPATYCZNY LILIPUT

Dalszą lekturę życiorysu Bokonona przerwała mi Hazel Crosby. Stała w przejściu obok mojego fotela.

- Nie uwierzysz, ale przed chwilą odkryłam w naszym samolocie jeszcze dwie osoby z Indiany - powiedziała.

- Niech skonam!

- Wprawdzie nie urodzili się w Indianie, ale mieszkają tam teraz. W Indianapolis.

- To bardzo ciekawe.

- Chcesz ich poznać?

- Myślisz, że powinienem?

Moje pytanie zaskoczyło ją.

- Przecież to twoi rodacy.

- Jak oni się nazywają?

- Ona nazywa się Connors, a on Hoenikker. Są rodzeństwem i on jest liliputem. Ale to bardzo sympatyczny liliput. Taki nad wiek rozwinięty chłopczyk - mrugnęła porozumiewawczo.

- Czy mówi już do ciebie "mamo"?

- Miałam mu to zaproponować, ale nagle przyszło mi do głowy, że w stosunku do liliputa może to być nietaktem.

- Nonsens.

51. DOBRZE, MAMO

Tak więc poszedłem na przód samolotu, aby porozmawiać z Angelą Hoenikker Connors i małym Newtonem Hoenikkerem, członkami mojego karassu.

Angela była tą platynową blondynką o końskiej twarzy, która już wcześniej rzuciła mi się w oczy.

Newt był rzeczywiście bardzo małym młodym człowiekiem, ale nie było w nim nic groteskowego. Zbudowany był proporcjonalnie, wyglądał jak Gulliver wśród olbrzymów i był równie bystrym obserwatorem.

Trzymał w ręku kieliszek szampana, wliczony w cenę biletu. Kieliszek był dla niego tym, czym waza dla normalnego człowieka, co nie przeszkadzało mu popijać z takim wdziękiem, jak gdyby on i kieliszek byli dla siebie stworzeni.

Mały drań miał w swoim bagażu termos z kryształem lodu-9, podobnie jak jego nieszczęsna siostra, pod nami zaś rozciągał się jeden z najpiękniejszych kawałków wody na świecie, Morze Karaibskie.

Kiedy Hazel nacieszyła się już wzajemnym przedstawianiem sobie rodaków z Indiany, zostawiła nas samych.

- Pamiętajcie - powiedziała odchodząc - że odtąd macie mi mówić mammo.

- Dobrze, mammo - powiedziałem.

- Dobrze, mammo - powtórzył Newt. Głos miał dość wysoki, odpowiednio do swojej małej krtani, ale potrafił nadać mu niewątpliwie męskie brzmienie.

Angela z uporem traktowała go jak dziecko, on zaś znosił to z wielkoduszością zaskakującą u tak niewielkiej osoby.

Newt i Angela przypomnieli mi sobie, pamiętali listy, jakie do nich pisałem, i zaprosili mnie, abym zajął wolny fotel obok nich.

Angela przepraszała, że nie odpowiedziała na list.

- Nie przychodziło mi do głowy nic takiego, co mogłoby zainteresować czytelników pańskiej książki. Mogłabym zmyślić coś na temat tamtego dnia, ale chyba nie o to panu chodziło. W rzeczywistości był to taki sam dzień jak wszystkie inne.

- Pani brat przysłał mi bardzo dobry list. Angela była zaskoczona.

- Newt? Czy on może cokolwiek pamiętać? Kochanie, przecież nie możesz pamiętać tamtego dnia - zwróciła się do niego - byłeś takim maleństwem.

- A jednak pamiętam - powiedział spokojnie Newt.

- Żałuję, że nie widziałam tego listu. - Angela dawała do zrozumienia, że Newt jest jeszcze zbyt niedoświadczony, aby samodzielnie załatwiać takie sprawy. Angela była absolutnie pozbawiona wrażliwości i nie zdawała sobie sprawy z tego, czym jest dla Newta jego wzrost.

- Kochanie, powinieneś pokazać mi ten list - powiedziała z wyrzutem.

- Przepraszam - powiedział Newt. - Nie pomyślałem o tym.

- Właściwie mogę panu o tym powiedzieć - zwróciła się do mnie Angela. - Doktor Breed ostrzegł mnie, żeby nie udzielać panu informacji. Powiedział, że nie chodzi panu o przedstawienie obiektywnego portretu ojca.

Angela nie ukrywała, że ma mi to za złe.

Ułagodziłem ją nieco, mówiąc, że prawdopodobnie i tak nigdy nie skończę tej książki, że nie mam jasnego wyobrażenia o tym, co chcę i co powinienem napisać.

- Jeśli jednak kiedykolwiek napisze pan tę książkę, powinien pan pokazać ojca jako świętego, bo taka jest prawda.

Obiecałem, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, i spytałem, czy ona i Newt lecą na spotkanie rodzinne z Frankiem.

- Frank się żeni - powiedziała Angela. - Jedziemy na przyjęcie zaręczynowe.

- Tak? Kim jest szczęśliwa wybranka?

- Pokażę panu - powiedziała Angela i wyjęła z torebki portfel z plastikową harmonijką. Każda z przegródek zawierała fotografię. Angela przerzuciła fotografie, tak że przed oczami mignął mi mały Newt na plaży przylądka Cod, doktor Feliks Hoenikker przyjmujący nagrodę Nobla, dwie nieładne bliźniaczki, córki Angeli, i Frank puszczający na sznurku model samolotu.

Wreszcie pokazała mi zdjęcie dziewczyny, z którą Frank miał się żenić.

Efekt był taki, jakby kopnęła mnie między nogi.

Zdjęcie przedstawiało Monę Aamons Monzano, kobietę, którą kochałem.

52. BEZ BÓLU

Angela nie miała ochoty chować zdjęć, dopóki ktoś nie obejrzy ich do końca.

- To są ludzie, których kocham - oświadczyła.

Patrzyłem więc na ludzi, których ona kocha. Między plastikowymi okładkami, niczym skamieniałe owady w bursztynie, tkwiły zdjęcia wielu członków naszego karassu. W całej kolekcji nie było ani jednego granfaloniarza.

Wiele fotografii przedstawiało doktora Hoenikkera, ojca bomby atomowej, trojga dzieci i lodu-9.

Oficjalny przodek liliputa i olbrzymki był człowiekiem niewielkiego wzrostu.

Z całej tej kolekcji skamieniałości najbardziej podobało mi się zdjęcie starego Hoenikkera opatulonego po zimowemu - w płaszczu, szaliku, kaloszach i wełnianej czapeczce z wielkim pomponem.

Zdjęcie to, jak mi powiedziała Angela z drzeniem w głosie, zostało zrobione w Hyannis na trzy godziny przed jego śmiercią. Jakiś fotoreporter rozpoznał w tym bożonarodzeniowym krasnoludku wielkiego człowieka.

- Czy ojciec pani zmarł w szpitalu?

- Ależ skąd! Umarł w naszym domku, w wielkim, białym wiklinowym fotelu, zwróconym w stronę morza. Newt i Frank poszli na spacer po przysypanej śniegiem plaży...

- To był bardzo ciepły śnieg - wtrącił Newt. - Szło się jak po kwiatkach pomarańczy. Bardzo dziwne uczucie. W innych domkach nie było nikogo...

- Tylko nasz miał ogrzewanie - wyjaśniła Angela.

- W promieniu wielu mil nie było nikogo - wspominał Newton z podziwem - a Frank i ja spotkaliśmy na plaży wielkiego czarnego psa wodołaza. Rzucaliśmy do morza kije, a on je wylawiał.

- A ja poszłam do wsi po lampki na choinkę - powiedziała Angela. - Zawsze mieliśmy choinkę.

- Czy pani ojciec cieszył się z choinki?

- Nigdy o tym nie wspominał - powiedział Newt.

- Myślę, że tak - powiedziała Angela. - Po prostu nie był zbyt wylewny. Niektórzy ludzie tacy już są.

- A niektórzy są inni - powiedział Newt, wzruszając ramionami.

- W każdym razie kiedy wróciliśmy do domu, znaleźliśmy go w fotelu. - Angela potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, aby cierpiał. Wyglądał, jakby spał. Nie mógłby tak wyglądać, gdyby odczuł choć najmniejszy ból.

Angela opuściła najciekawszą część całej historii. Nie powiedziała, że w ten wigilijny wieczór ona, Frank i mały Newt podzielili między siebie pozostawiony przez ojca lód-9.

53. PREZES FIRMY FABRI-TEK

Angela zachęcała mnie do obejrzenia wszystkich zdjęć.

- Trudno w to uwierzyć, ale to ja - powiedziała, pokazując mi podlotka wzrostu sześciu stóp. Fotografia przedstawiała ją z klarnetem w ręku, w mundurku szkolnej orkiestry. Włosy miała ukryte pod kapeluszem, również należącym do stroju. Uśmiechała się dobrym, nieśmiałym uśmiechem.

A potem Angela, kobieta, której Bóg nie obdarzył dosłownie niczym, na co mężczyzna mógłby zwrócić uwagę, pokazała mi zdjęcie swojego męża.

- Więc to jest Harrison C. Connors. - Byłem zaskoczony. Jej mąż był wybitnie przystojnym mężczyzną i sprawiał wrażenie człowieka, który w pełni zdaje sobie z tego sprawę. Ubrany był z wyszukaną elegancją, a w jego oczach czaił się leniwy błysk Don Juana.

- Kim... kim on jest z zawodu? - spytałem.

- Jest prezesem firmy Fabri-Tek.

- Elektronika?

- Nie wiem, a gdybym wiedziała, to też nie mogłabym powiedzieć. To ściśle tajne prace na zlecenie rządu.

- Coś z bronią?

- W każdym razie coś wojskowego.

- Jak się państwo poznaliście?

- Pracowałem kiedyś jako asystent ojca. Potem wyjechał do Indianapolis i założył firmę Fabri-Tek.

- Więc wasze małżeństwo było szczęśliwym zakończeniem długiego romansu?

- Wcale nie. Nie przypuszczałam, że on w ogóle wie o moim istnieniu. Zawsze uważałam, że jest bardzo sympatyczny, ale on do śmierci ojca nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

Pewnego dnia przejeżdżał przez Ilium. Siedziałam w tym wielkim starym domu i myślałam, że nie mam już po co żyć. - Angela opowiedziała mi o ciężkich dniach i tygodniach po śmierci ojca. - W całym tym wielkim starym domu byłam tylko ja i mały Newt. Frank gdzieś przepadł i duchy robiłyby więcej hałasu niż ja i Newt. Całe swoje życie poświęciłam ojcu, wożąc go do pracy i z pracy, opatulając go, kiedy było zimno, i rozpatulając, kiedy było ciepło, karmiąc go i płacąc jego rachunki. Nagle okazało się, że nie mam co robić. Nigdy nie miałam przyjaciół, żadnej bratniej duszy oprócz Newta.

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi, i w drzwiach stanął Harrison Connors. Nigdy w życiu nie widziałam równie pięknego mężczyzny. Wszedł i zaczęliśmy rozmawiać o ostatnich dniach ojca i w ogóle o dawnych czasach.

Angela była bliska płaczu.

- W dwa tygodnie później odbył się ślub.

54. KOMUNIŚCI, HITLEROWCY, MONARCHIŚCI, SPADOCHRONIARZE I DEZERTERZY

Przygnębiony wiadomością, że Frank odebrał mi Monę Aamons Monzano, wróciłem na swoje miejsce i znowu zagłębiłem się w lekturze maszynopisu Filipa Castle.

Zajrzałem do skorowidza na końcu książki pod Monzano, Mona Aamons i dowiedziałem się, że mam zajrzeć pod Aamons, Mona.

Zajrzałem więc pod Aamons, Mona i przekonałem się, że jest wymieniona w książce prawie tyle samo razy co sam "Papa" Monzano.

Zaraz po Aamons, Mona figurował Aamons, Nestor. Przejrzałem więc kilka stron traktujących o Nestorze i dowiedziałem się, że był on ojcem Mony, Finem i architektem.

Nestor Aamons został wzięty do niewoli przez Rosjan i uwolniony przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Wyzwoliciele nie odesłali go jednak do domu, ale zmusili go do służby w wojskach inżynieryjnych Wehrmachtu. Jego oddział skierowano do walki przeciwko partyzantom w Jugosławii. Tam dostał się w ręce Czetników, serbskich partyzantów wiernych królowi, a następnie trafił do partyzantów komunistycznych, którzy rozbili oddział Czetników. Uwolnili go włoscy spadochroniarze, którzy zaskoczyli komunistów, i odesłano go do Włoch.

Włosi zmusili go do budowy umocnień na Sycylii. Ukradł tam łódź rybacką i dotarł do neutralnej Portugalii.

Tam spotkał amerykańskiego dezertera nazwiskiem Julian Castle.

Castle, dowiedziawszy się, że Aamons jest architektem, zaprosił go na wyspę San Lorenzo, aby zaprojektował tam dla niego szpital o nazwie Dom Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli.

Aamons wyraził zgodę. Zaprojektował szpital, ożenił się z mieszkanką wyspy imieniem Celia, spłodził ideał dziewczyny i zmarł.

55. NIGDY NIE SPORZĄDZAJ SKOROWIDZA DO WŁASNEJ KSIĄŻKI

Co zaś do życia Aamons, Mony, to już sam skorowidz dawał pstry, surrealistyczny obraz wielu skłóconych sił targających jej życiem i jej czysto instynktownych reakcji.

“Aamons, Mona: - stwierdzał skorowidz - adoptowana przez Monzano w celu podniesienia jego popularności 194 - 199, 216; dzieciństwo w Domu Nadziei i Miłosierdzia 63 - 81; dziecięce uczucie do F. Castle'a 72; śmierć ojca 89; śmierć matki 92; w roli ogólnonarodowego symbolu erotycznego 80, 95 166, 209, 247, 400 - 406, 566, 678; zaręczyny z F. Castle'em 193; wrodzona naiwność 67 - 71, 80, 95, 116, 209, 274, 400 - 406, 566, 678; pożycie z Bokononem 92 - 98, 196 - 197; wiersze o 2, 26, 114, 119, 311, 316, 477, 501, 507, 555, 689, 718, 799, 800, 841, 846, 908, 971, 974; jej wiersze 89, 92, 193; powrót do Monzano 199; powrót do Bokonona 197; ucieczka od Bokonona 199; ucieczka od Monzano 197; próba oszpeccenia się, aby przestać pełnić funkcję symbolu erotycznego 80, 95, 116, 209, 247, 400 - 406, 566, 678; uczennica Bokonona 63 - 80; Ust do ONZ 200; mistrzowska gra na ksylofonie 71.”

Pokazałem ten skorowidz Mintonom i spytałem, czy nie sądzą, że jest on sam w sobie pełną uroku biografią, biografią dziewczyny, która nie chciała być boginią miłości. Otrzymałem nieoczekiwane kompetentną odpowiedź, co zdarza się nie tak znów często. Okazało się, że Claire Minton była swego czasu specjalistką od sporządzania skorowidzów. Po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu takiej specjalności.

Pani Minton powiedziała mi, że dobrze zarabiała, dzięki czemu jej mąż mógł ukończyć studia, i że niewiele osób potrafi właściwie sporządzać skorowidze.

Dowiedziałem się też, że tylko bardzo niedoświadczony autor może się porywać na robienie skorowidza do swojej książki. Spytałem wówczas, jak ocenia pracę Filipa Castle.

- Pochlebstwo pod adresem autora i obraza czytelnika - powiedziała z dobroduszną wyższością eksperta. - Innymi słowy, brak umiaru. Czuję się zawsze zażenowana, kiedy widzę skorowidz sporządzony przez samego autora.

- Dlaczego zażenowana?

- Skorowidz zrobiony ręką samego autora to rzecz zbyt demaskująca - poinformowała mnie. - Dla wprawnego oka jest to po prostu bezwstydnym ekshibicjonizm.

- Ona potrafi określić charakter człowieka na podstawie skorowidza - powiedział mąż pani Minton.

- Naprawdę? - spytałem. - I co może pani powiedzieć o Filipie Castle?

Uśmiechnęła się lekko.

- Wolałabym nie zdradzać tego komuś obcemu.

- Przepraszam.

- W każdym razie nie ulega wątpliwości, że jest zakochany w tej Monie Aamons Monzano.

- Zdaje się, że to można powiedzieć o wszystkich mieszkańcach wyspy.

- Żywi mieszane uczucia co do jej ojca.

- To można powiedzieć o wszystkich ludziach na ziemi - niecierpliwiłem się.

- Czuję się niepewnie.

- A któż ze zwykłych śmiertelników może się czuć pewnie? - spytałem. Nie wiedziałem wówczas, że było to pytanie bardzo w duchu Bokonona.

- Nigdy nie ożeni się z nią.

- Dlaczego?

- To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

- Miło mi poznać specjalistę od skorowidzów, który szanuje tajemnice swoich bliźnich.

- Niech pan nigdy nie robi skorowidza do własnej książki - stwierdziła kategorycznie pani Minton.

Bokonon poucza nas, że duprass stwarza korzystne warunki do zdobywania i rozwijania w zaciszu nieustającej miłości nieomylnych, choć czasem niecodziennych form intuicji. Niezwykła zdolność Mintonów do czytania między wierszami skorowidzów była tego najlepszym przykładem. Bokonon poucza nas też, że członkowie duprassu spoglądają na innych ludzi z pobłażliwą wyższością. I tutaj Mintonowie nie byli wyjątkiem.

Nieco później ambasador Minton i ja spotkaliśmy się w przejściu z dala od jego żony i Minton zdradził się, że zależy mu na mojej opinii o jej zdolnościach.

- Wie pan, dlaczego Castle nigdy nie ożeni się z tą dziewczyną, mimo że jest w niej zakochany, mimo że ona też go kocha i mimo że znają się od dzieciństwa? - szepnął mi na ucho.

- Nie. Nie mam pojęcia.

- Bo on jest homoseksualistą - powiedział Minton. - Ona to również potrafi wyczytać w skorowidzu.

56. PIEKIELNE PERPETUUM MOBILE

Kiedy Lionel Boyd Johnson i kapral Earl McCabe zostali nago wyrzuceni przez fale na brzeg San Lorenzo spotkali tu ludzi, którym powodziło się jeszcze gorzej niż im. Ludność San Lorenzo miała pod dostatkiem jedynie chorób, których nie potrafiono nawet nazwać, nie mówiąc już o leczeniu. W przeciwieństwie do mieszkańców wyspy Johnson i McCabe rozporządzali ogromnymi skarbami w postaci umiejętności czytania i pisania, ambicji, ciekawości, bezczelności, braku szacunku dla autorytetów, zdrowia, dobrego humoru i sporej porcji wiadomości na temat tego, co znajduje się poza granicami wyspy. Zacytujmy znowu Calypso:

*Jakże nieszczęśliwi ludzie
Wtedy tu mieszkali,
Nie wiedzieli nic o piwie,
Muzyki nie znali.*

*I nie mieli gdzie przycupnąć,
Bo wszystko dokoła
Należało do Castle Sugar Incorporated
Albo do Kościoła.*

To stwierdzenie sytuacji własnościowej w Republice San Lorenzo w roku 1922 jest, według Filipa Castle, całkowicie zgodne z rzeczywistością. Firma Castle Sugar została założona przez pradziadka Filipa Castle. W roku 1922 należał do niej każdy skrawek uprawnego gruntu na wyspie.

“Działalność Castle Sugar na San Lorenzo - pisał młody Castle - nigdy nie przynosiła dochodu. Jednak, nie płacąc robotnikom za ich pracę, firma potrafiła jakoś z roku na rok wychodzić na swoje i zarabiać tyle pieniędzy, że wystarczało na opłacenie poganiaczy robotników.

Panującą formą rządów była anarchia, z wyjątkiem określonych sytuacji, kiedy firma Castle Sugar chciała coś zdobyć albo zrobić. W tych sprawach panował feudalizm. Arystokracja składała się z zarządców plantacji Castle Sugar - byli to uzbrojeni po zęby biali przybysze. Szlachtę stanowili krajowcy, którzy za niewielkie datki i śmieszne przywileje gotowi byli na każde skinienie zabijać, ranić i torturować. O potrzeby duchowe ludu, który znalazł się w trybach tej piekielnej maszyny, troszczyła się garstka spasionych księżulków.

Katedra San Lorenzo, wysadzona w powietrze w roku 1923, była powszechnie uważana za jeden z cudów Nowego Świata”, pisał Castle.

57. KOSZMARNY SEN

To, że kapral McCabe i Johnson zdołali przejąć władzę nad San Lorenzo, nie było żadnym cudem. Wielu ludzi przejmowało władzę nad San Lorenzo, natrafiając niezmiennie na słaby opór. Przyczyna tego była bardzo prosta: Bóg, w swojej nieskończonej mądrości, uczynił wyspę całkowicie bezwartościową.

Pierwszym człowiekiem, który zanotował na swoim koncie ten łatwy sukces, był Hernando Cortez. Cortez i jego ludzie zeszli na brzeg, aby uzupełnić zapas słodkiej wody, w roku 1519, nadali wyspie nazwę, objęli ją w posiadanie w imieniu cesarza Karola V i nigdy więcej nie wrócili. Następne ekspedycje przybywały w poszukiwaniu złota, diamentów, rubinów i korzeni, nic z tego nie znajdowały, paliły dla rozrywki kilku krajowców za herezję i płynęły dalej.

“Kiedy w roku 1682 Francja ogłosiła objęcie w posiadanie San Lorenzo - pisał Castle - Hiszpanie nie protestowali. Kiedy Holendrzy ogłosili wyspę swoją własnością w roku 1699, Francuzi nie protestowali. Holendrzy nie protestowali, kiedy w roku 1704 panami San Lorenzo ogłosili się Duńczycy. Kiedy Anglia przejęła wyspę we władanie w roku 1706, nie było protestu ze strony Duńczyków. Anglicy nie protestowali, kiedy Hiszpania powtórnie objęła władzę nad wyspą w roku 1720. A Hiszpanie nie protestowali, kiedy w roku 1786 Murzyni z Afryki opanowali statek niewolniczy, doprowadzili go do brzegów San Lorenzo i ogłosili niepodległość wyspy jako cesarstwa z cesarzem na czele.

Cesarzem był Tum-bumwa, jedyny człowiek, który uważał, że wyspa warta jest obrony. Maniak Tum-bumwa kazał wznieść katedrę ku czci patrona wyspy, świętego Wawrzyńca, oraz fantastyczne mury obronne na północnym wybrzeżu wyspy, w obrębie których znajduje się obecnie prywatna rezydencja tak zwanego prezydenta Republiki.

Mury obronne nigdy nie były szturmowane i nigdy żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie potrafił wymyślić powodu, dla którego warto by je było szturmować. Nigdy niczego nie broniły. Podobno przy ich budowie zginęło tysiąc czterystu ludzi. Połowa z nich została publicznie stracona za brak entuzjazmu do pracy."

Firma Castle Sugar zjawiła się na San Lorenzo w roku 1916, w związku z koniunkturą na cukier podczas pierwszej wojny światowej. Nie było wówczas żadnego rządu. Firma uznała, że wobec tak wysokich cen na cukier, opłaci się uprawiać nawet glinę i piach San Lorenzo. Nikt nie zaprotestował.

Kiedy McCabe i Johnson ogłosili w roku 1922, że przejmują władzę, firma Castle Sugar ustąpiła bezwolnie, jakby budząc się z koszmarne snu.

58. SWOISTA ODMIANA TYRANII

“Nowi zdobywcy San Lorenzo różnili się od wszystkich dotychczasowych przynajmniej pod jednym względem - pisał młody Castle. - McCabe i Johnson marzyli o przekształceniu San Lorenzo w utopię.

W tym celu McCabe zajął się gruntownie reformą gospodarki i prawodawstwa, a Johnson wymyślił nową religię."

W tym miejscu Castle znowu zacytował Calypso:

*Chciałem, żeby w tym wszystkim
Było choć trochę sensu,
Żeby człowiek mógł wyzbyć się lęku,
Żeby mógł myśleć o szczęściu.
Więc wymyśliłem łgarstwo,
I wszystko jest, jak trzeba,
I zmieniłem tę smutną wyspę
W istny przedsiónek nieba.*

Ktoś pociągnął mnie za rękaw marynarki. Obejrzałem się.

W przejściu obok mnie stał mały Newt Hoenikker.

- Jak by się pan zapatrywał na pójście do baru na jednego? - spytał.

Obciągnęliśmy więc po jednym, a potem obaliliśmy jeszcze kilka, co na tyle rozwiązało język Newtowi, że zaczął mi się zwierzać na temat swojej przyjaciółki Zinki, uroczej tancerki-liliputki. Ich gniazdkiem miłosnym był domek jego ojca na przylądku Cod.

- Możliwe, że nigdy się nie ożenię, ale za to przeżyłem już miodowy miesiąc.

Newt opowiedział mi o niezapomnianych godzinach, jakie spędzili w swoich objęciach, siedząc w starym, białym, wiklinowym fotelu Feliksa Hoenikkera, zwróconym w stronę morza.

Zinka tańczyła dla niego.

- Wyobraża pan sobie kobietę, która tańczy wyłącznie dla mnie?

- Widzę, że niczego pan nie żałuje.

- Złamała mi serce. To mnie oczywiście nie zachwyca, ale była to cena, jaką musiałem zapłacić.

Na tym świecie nie ma nic za darmo.

I zaproponował szarmancki toast.

- Za nasze dziewczyny i żony! - zawołał.

59. PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY

Byłem w barze z Newtem, H. Lowem Crosbym i kilkoma innymi pasażerami, kiedy pokazało się San Lorenzo. Crosby wypowiadał się właśnie na temat szczyli.

- Rozumiecie, co mam na myśli, kiedy mówię o kimś, że jest szczyłem?

- Zetknąłem się z tym określeniem - powiedziałem - ale prawdopodobnie nie ma ono dla mnie tej głębi znaczenia, co dla pana.

Crosby był pod muchą i wydawało mu się, że wolno mu mówić wszystko, pod warunkiem, że będzie to powiedziane serdecznie. Mówił więc serdecznie na temat wzrostu Newta, o czym jak dotychczas nikt z obecnych w barze taktownie nie wspomniał.

- Nie chodzi mi o małych facetów jak ten. - Crosby położył swoją dłoń wielkości szynki na ramieniu Newta. - Wzrost nie ma nic wspólnego z tym, czy ktoś jest szczyłem. Wszystko zależy od sposobu myślenia. Widziałem mężczyzn ze cztery razy większych od tego małego gościa tutaj, którzy mimo to byli szczyłami. I widziałem małych facetów, nie tak małych jak on, ale też cholernie małych, którzy byli prawdziwymi mężczyznami.

- Dziękuję - powiedział Newt uprzejmie, nie patrząc nawet w stronę ogromnej łapy spoczywającej na jego ramieniu. Nigdy nie widziałem człowieka, który by tak potrafił znosić swoje kalectwo. Nie mogłem wyjść z podziwu.

- Mówił pan o szczyłach - zwróciłem się do Crosby'ego, mając nadzieję, że w ten sposób uwolnię Newta od ciężaru jego łapy.

- Tak, do diabła. - Crosby wyprostował się.

- Nie wyjaśnił nam pan jeszcze, kogo pan nazywa szczyłem.

- Szczył to jest taki facet, któremu się wydaje, że zjadł wszystkie rozumy, i jadaczka nie zamyka mu się ani na chwilę. Jak tylko ktoś coś powie, on musi wtrącić swoje trzy grosze. Powie mu pan, że coś się panu podoba, a on zaraz zacznie udowadniać, że nie ma pan racji. Szczył robi wszystko, żeby udowodnić, że wszyscy wkoło niego są durniami.

- Niezbyt przyjemna postać - zauważyłem.

- Moja córka chciała kiedyś wyjść za mąż za takiego - powiedział Crosby ponuro.

- No i co?

- Zmiażdżyłem go jak pluskwę.

Crosby walnął pięścią w bar, przypomniawszy sobie widocznie zachowanie tamtego szczyła.

- Jak Boga kocham! - mówił dalej. - Ostatecznie wszyscy kończyliśmy studia!

Tu znowu spojrzał na Newta.

- Pan jest studentem?

- W Cornell - powiedział Newt.

- Cornell! - wykrzyknął ucieszony Crosby. - Do diabła, ja też studiowałem w Cornell.

- Ten pan także - skinął Newt w moją stronę.

- Trzech facetów z Cornell w jednym samolocie! - zawołał Crosby i mieliśmy gotowy powód do jeszcze jednej granfaloniarskiej uroczystości.

Kiedy uspokoiło się nieco, Crosby spytał Newta, co on robi.

- Maluję - odpowiedział Newt.

- Domy?

- Nie, obrazy.

- Niech mnie diabli.

- Proszę wrócić na swoje miejsca i zapiąć pasy - ostrzegła nas stewardesa. - Jesteśmy nad

lotniskiem Monzano w stolicy San Lorenzo, Bolivarze.

- O rany! Niech no pan chwilę zaczeka - powiedział Crosby, patrząc z góry na Newta. - W tej chwili zdałem sobie sprawę, że gdzieś już słyszałem pańskie nazwisko.

- Mój ojciec był ojcem bomby atomowej. Newt nie powiedział, że Feliks Hoenikker był jednym z ojców. Powiedział, że był ojcem.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- To było co innego. - Crosby z wysiłkiem usiłował sobie przypomnieć. - Coś związanego z tańcem.

- Myślę, że musimy już wracać na miejsca - powiedział Newt sztywniejąc.

- Wiem, chodziło o jakąś tancerkę. - Crosby był na tyle podpity, że nie widział nic złego w tym, co mówi. - Pamiętam, jak pisali w gazecie, że ona była szpiegiem.

- Panowie - przypomniała stewardesa - proszę zająć swoje miejsca i zapiąć pasy. Newt z niewinną miną spojrzał na Crosby'ego.

- Czy jest pan pewien, że to chodziło o kogoś nazwiskiem Hoenikker? - I żeby wyeliminować wszelką szansę pomyłki przeliterował swoje nazwisko.

- Może mi się zdawało - powiedział H. Lowe Crosby.

60. UPOŚLEDZONY NARÓD

Wyspa oglądana z lotu ptaka przedstawiała zadziwiająco regularny prostokąt. Z morza wokół niej sterczały okrutne kamienne igły.

Na południowym krańcu wyspy znajdowało się portowe miasto Bolivar.

Było to jedyne miasto wyspy.

Była to stolica wyspy.

Miasto Bolivar zostało zbudowane na bagnistej równinie. Pasy startowe lotniska Monzano dochodziły do samego brzegu morza.

Na północ od miasta gwałtownie wyrastały góry, wypełniając resztę wyspy swymi brutalnymi garbami. Nazywały się one Sangre de Cristo, ale mnie przypominały stado świń przy korycie.

Miasto Bolivar miało już wiele nazw: Caz-ma-caz-ma, Santa Maria, Saint Louis, Saint George, Port Glory i inne. Jego obecną nazwę nadali mu Johnson i McCabe w roku 1922 na cześć Simona Bolivara, wielkiego południowoamerykańskiego idealisty i bohatera.

Kiedy Johnson i McCabe zjawili się w mieście, było ono zbudowane z patyków, blachy, skrzynek i błota, wznosząc się na cmentarzu tryliona szczęśliwych śmieciarzy, na grubej warstwie przemacerowanych odchodów, pomyj i błocka.

Niewiele zmieniło się od tamtego czasu, jeśli nie liczyć pokazowej fasady nowych budowli wzdłuż nadmorskiego bulwaru.

Johnson i McCabe nie potrafili wyciągnąć swego ludu z nędzy i błota.

"Papie" Monzano nie udało się to również.

Nikomu nie mogło się to udać, gdyż wyspa San Lorenzo była równie jałowa jak odpowiadająca jej powierzchnią połać Sahary lub Antarktydy.

Jednocześnie pod względem gęstości zaludnienia mogła iść o lepsze z najgęściej zaludnionymi krajami na świecie, nie wyłączając Chin i Indii. Na każdą nie nadającą się do zamieszkania milę kwadratową przypadało czterystu pięćdziesięciu mieszkańców.

"W pierwszym, idealistycznym okresie reformatorskich rządów Johnsona i McCabe'a ogłoszono, że cała suma dochodu narodowego zostanie rozdzielona równo pomiędzy wszystkich dorosłych mieszkańców wyspy - pisze Filip Castle. - Za pierwszym i ostatnim razem, kiedy zastosowano ten system, udział ten wyniósł niecałe siedem dolarów."

61. RÓWNOWARTOŚĆ KAPRAŁA

W komorze celnej na lotnisku Monzano zrewidowano nam bagaże i zażądano wymiany wszystkich pieniędzy, które chcemy wydać, w San Lorenzo, na miejscową walutę, kaprale. Jeden kaprał, według zapewnień "Papy" Monzano, odpowiadał pięćdziesięciu amerykańskim centom.

Ściany nowego, przyjemnego pawilonu komory celnej szpeciło mnóstwo byle jak przyklejonych plakatów.

"Każdy, kto zostanie schwytyany podczas uprawiania bokononizmu, umrze na haku!" - głosił jeden z napisów.

Inny plakat przedstawiał Bokonona - chudego Murzyna z cygarem w zębach. Miał wygląd inteligentny i z lekka rozbawiony.

Pod zdjęciem widniały słowa: " 10.000 kaprali nagrody za żywego lub umarłego!"

Przyglądając się bliżej plakatowi stwierdziłem, że w jego dolnej części znajduje się zdjęcie formularza, jaki Bokonon musiał wypełnić na policji w 1929 roku. Reprodukowano go widocznie, aby dać amatorom łowów na Bokonona próbkę jego pisma i odciski palców.

Mnie jednak bardziej zainteresowały niektóre odpowiedzi Bokonona na pytania formularza. Gdzie tylko było to możliwe, przyjmował kosmiczny punkt widzenia, uwzględniając krótkotrwałość ludzkiego życia i długotrwałość wieczności.

W rubryce "zawód" napisał: "Życie".

W rubryce "obecne zajęcie" napisał: "Umieranie".

"Tu jest kraj chrześcijański! Wszelka zabawa nogami będzie karana hakiem!" - głosił inny napis. Był on dla mnie niezrozumiały, gdyż nie wiedziałem jeszcze, że bokononiści uzyskują kontakt duchowy dotykając się podeszwami stóp.

Ponieważ jednak nie przeczytałem książki Filipa Castle do końca, najbardziej zastanawiało mnie, w jaki sposób Bokonon, serdeczny przyjaciel kaprała McCabe'a, stał się banitą.

62. DLACZEGO HAZEL NIE BYŁA PRZESTRASZONA

Na San Lorenzo wysiadło nas siedmioro: Newt i Angela, ambasador Minton z żoną, H. Crosby z żoną i ja. Po odprawie celnej zostaliśmy wepchnięci na trybunę honorową.

Naprzeciwko nas stał milczący tłum bardzo spokojnych ludzi.

Patrzyło na nas pięć tysięcy, a może więcej mieszkańców wyspy.

Ich skóra miała kolor płatków owsianych. Byli chudzi. Nie było wśród nich ani jednego grubasa. Wszystkim brakowało zębów. Wielu miało krzywe albo spuchnięte nogi.

Wszyscy mieli kaprawe oczy.

Nagie piersi kobiet były wyschnięte. Jedyne odzienie mężczyzn stanowiły luźne przepaski biodrowe, które ledwie okrywały ich penisy, dyndające jak wahadła starego zegara.

Było wiele psów, ale żaden nie szczekał. Było wiele niemowląt, ale żadne nie płakało. Tylko tu i ówdzie rozlegał się kaszel - i to wszystko.

Przed tym tłumem stała na baczność wojskowa orkiestra. Stała w milczeniu.

Obok orkiestry stał poczet sztandarowy z dwoma sztandarami: Stanów Zjednoczonych i Republiki San Lorenzo. Flaga San Lorenzo przedstawiała naszywki kaprała piechoty morskiej na błękitnym tle. W nieruchomym powietrzu sztandary zwisały bezwładnie.

Zdawało mi się, że skądś z daleka dobiega mnie odgłos uderzeń młotem w mosiężny gong. Było to złudzenie. Po prostu moja dusza odbierała wibracje metalicznego upału unoszącego się nad wyspą.

- Całe szczęście, że jesteśmy wśród chrześcijan - szepnęła Hazel Crosby do męża - bo byłabym trochę przestraszona.

Za nami stał ksylofon.

Na ksylofonie połyskiwały litery inkrustowane granatami i kryształami górskimi.

Układały się one w słowo "Mona".

63. BOGOBOJNI I WOLNI

Na lewo od trybuny stało rzędem sześć starych samolotów myśliwskich, pomoc wojskowa Stanów Zjednoczonych dla San Lorenzo. Na kadłubie każdego samolotu wymalowany był z dziecięcym sadyzmem boa dusiciel miażdżący w swoim uścisku diabła. Krew tryskała z diabelskich uszu, nosa i ust, a z jego czerwonych palców wypadały widły.

Przed każdym samolotem stał pilot koloru płatków owsianych, również w milczeniu.

Nagle wśród nabrzmiałej ciszy rozległ się dokuczliwy dźwięk jakby brzęczenie moskita. Był to dźwięk zbliżającej się syreny. Syrena znajdowała się w czarnej limuzynie "Papy".

Lśniący cadillac zatrzymał się przed nami z piskiem opon.

Wsiadł z niego "Papa" Monzano, jego adoptowana córka Mona Aamons Monzano oraz Franklin Hoenikker.

Na lekkie, władcze skinienie "Papy" tłum odśpiewał hymn narodowy San Lorenzo. Melodia była zapożyczona ze znanej amerykańskiej piosenki *Dom na prerii*. Słowa zostały napisane w roku 1922 przez Lionela Boyda Johnsona, czyli Bokonona. Brzmiały one następująco:

*Nie zapomnisz o wyspie,
Gdzie niewiasty są czyste,
Gdzie odwagą i siłą rekina
Słynie każdy mężczyzną,
To jest nasza ojczyzna,
To wybrana przez Boga kraina.*

*San, San Lo-ren-zo!
Brudną ręką tu sięgnąć po łup
Żaden wróg się nie waży,
Kiedy czuwa na straży
Bogobojny i wolny twój lud!*

64. POKÓJ I DOBROBYT

Potem tłum znowu zapadł w grobowe milczenie.

Rozległ się werbel i na trybunę weszli "Papa", Mona i Frank. Na znak "Papy" werbel umilkł.

Na bluzie, na rzemieniu przewieszonym przez ramię, "Papa" nosił kaburę, w której spoczywała chromowana czterdziestka piątka. Był on starym, bardzo starym człowiekiem, podobnie jak wielu członków mego karassu. Nie wyglądał dobrze. Poruszał się krótkim, chwiejnym krokiem. Nadal jeszcze był tęgim mężczyzną, ale widocznie jego tłuszcz szybko topniał, gdyż prosty w kroju mundur był na niego wyraźnie za luźny. Ręce mu drżały, a jego żabie oczy miały kolor żółty.

Funkcje adiutanta pełnił przy nim ubrany w biały mundur generał major Franklin Hoenikker. Ze swoimi wąskimi ramionami i chudymi rączynami sprawiał wrażenie dziecka, które o tej porze dawno już powinno być w łóżku. Na jego piersi wisiał medal.

Dostrzegłem tych dwóch, "Papę" i Franka, z pewnym trudem - nie dlatego, żeby coś mi zasłaniało widok, ale dlatego, że nie mogłem oderwać oczu od Mony. Byłem zachwycony, wstrząśnięty, zmiażdżony, wniebowzięty. Wszystkie pożądliwe, nierealne marzenia, jakie kiedykolwiek snułem na temat kobiet, znalazły swoje ucieleśnienie w osobie Mony. Oto gdzie, niech Bóg ma w opiece jej ciepłą i śmietankową duszę, był pokój i dobrobyt.

Ta dziewczyna, która przecież miała zaledwie osiemnaście lat, była zachwycająco pogodna. Zdawała się wszystko rozumieć i jednocześnie była wszystkim, co jest do zrozumienia. W Księdze Bokonona jest wymieniona z imienia. Bokonon powiada o niej: "Mona jest prosta jak świat."

Ubrana była w białą grecką tunikę.

Na drobnych, brązowych stopach miała sandały bez obcasa.

Jej miękkie, długie włosy były koloru jasnego złota.

Jej biodra miały kształt liry.

Boże!

Pokój i dobrobyt na zawsze.

Mona była jedyną piękną dziewczyną na San Lorenzo. Była skarbem narodowym. "Papa" adoptował ją, aby, jak twierdzi Filip Castle, wesprzeć swoje brutalne rządy elementem nadprzyrodzonym.

Wysunięto na środek trybuny ksylofon i Mona zagrała. Zagrała *Gdy kończy się dzień*. Było to nieustające tremolo, które narastało, przycichało i znowu narastało.

Tłum stał oszołomiony pięknem.

Potem przyszła kolej na "Papę".

65. NAJODPOWIEDNIEJSZY MOMENT DO ODWIEDZENIA SAN LORENZO

“Papa” nie miał żadnego formalnego wykształcenia. Był kiedyś kamerdynerem kaprala McCabe'a. Nigdy w życiu nie opuszczał wyspy. Po angielsku mówił stosunkowo poprawnie.

Wszystko, co mówił ktoś ze stojących na trybunie, powtarzały rykiem potężne głośniki.

Dźwięki wyrzucane z tych głośników wypełniały szeroki, krótki bulwar za plecami tłumu, odbijały się od przeszklonych fasad trzech nowych budynków i z rechotem wracały.

- Witajcie - mówił “Papa”. - Przybywacie do kraju, który jest najlepszym przyjacielem Ameryki. Polityka amerykańska spotyka się z niezrozumieniem w wielu krajach, ale u nas jest inaczej, panie ambasadorze.

Tu “Papa” skłonił się przed fabrykantem rowerów H. Lowe'em Crosbym, biorąc go za nowego ambasadora.

- Wiem, że ma pan dobry kraj, panie prezydencie - powiedział Crosby. - Wszystko, co o nim słyszałem, budzi moją sympatię. Jest tylko jedno ale...

- Tak?

- Nie jestem ambasadorem. Bardzo bym chciał być ambasadorem, ale jestem tylko zwykłym, szeregowym człowiekiem interesu. To tamten pan jest tą grubą rybą, o którą panu chodzi.

Widać było, że wskazanie prawdziwego ambasadora sprawia mu przykrość.

- Ach tak! - “Papa” uśmiechnął się, ale nagle jego twarz skamieniała. Jakiś wewnętrzny ból wykrzywił jego rysy, “Papa” zgiął się wpół i zamknąwszy oczy skupił się na tym, żeby przetrzymać atak bólu.

Frank Hoenikker pośpieszył mu na pomoc, ale nie bardzo wiedział, co robić.

- Czy źle się czujesz? - spytał.

- Przepraszam - wyszeptał wreszcie “Papa”, unosząc głowę. Miał w oczach łzy. Otarł je, prostując się na całą wysokość.

- Co proszę? - spytał.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, że nie wie, gdzie jest i co ma robić. Potem przypomniał sobie i wyciągnął rękę do Horlicka Minton.

- Witajcie, jesteście tu wśród przyjaciół - powiedział.

- Nie wątpię - odpowiedział Minton uprzejmie.

- Wśród chrześcijan.

- Bardzo się cieszę.

- Wśród antykomunistów.

- To dobrze.

- U nas nie ma komunistów - mówił “Papa”. - Boją się haka.

- Można ich zrozumieć - powiedział Minton.

- Przybyliście do nas w najodpowiedniejszym momencie. Jutro będzie jeden z najpiękniejszych dni w historii naszego kraju. Jutro przypada nasze największe święto narodowe, Dzień Stu Męczenników za Demokrację. Będzie to jednocześnie dzień zaręczyn generała majora Hoenikkera z Moną Aamons Monzano, największym skarbem moim i całego San Lorenzo.

- Życzę pani wiele szczęścia, panno Monzano - powiedział Minton z uczuciem. - A panu gratuluję, generale Hoenikker.

Oboje młodzi podziękowali ukłonami.

Minton zaczął mówić o tak zwanych stu męczennikach za demokrację, przy czym łągał jak najęty.

- W Ameryce każde dziecko szkolne zna historię szlachetnego poświęcenia narodu San Lorenzo w czasie drugiej wojny światowej. Stu bohaterskich mieszkańców wyspy, których święto jutro obchodzimy, oddało sprawie wolności to, co człowiek ma najcenniejszego. Prezydent Stanów Zjednoczonych prosił mnie, abym był jego osobistym przedstawicielem na jutrzejszej uroczystości i rzucił do morza wieniec, dar narodu amerykańskiego dla narodu San Lorenzo.

- Naród San Lorenzo dziękuje panu, panu prezydentowi oraz znanemu z hojności narodowi amerykańskiemu za pamięć - powiedział "Papa". - Będziemy zaszczyceni, jeśli zechce pan rzucić wieniec do morza jutro, podczas ceremonii zaręczyn.

- Będzie to zaszczyt dla mnie.

Następnie "Papa" zaprosił nas wszystkich, abyśmy zechcieli uświetnić jutrzejszą ceremonię rzucenia wieńca oraz przyjęcie zaręczynowe. Mieliśmy przybyć do jego pałacu w południe.

- Jakież dzieci będzie miała ta para! - powiedział "Papa", wskazując nam wzrokiem Franka i Monę. - Co za krew! Co za uroda!

Chwycił go nowy atak bólu.

Znowu zamknął oczy, aby skupić się wyłącznie na swoim bólu.

Czekał, aż atak minie, ale czekał na próżno.

Cierpiąc straszliwie, odwrócił się od nas w stronę tłumu i mikrofonów. Usiłował dać ludziom jakiś znak ręką, próbował coś powiedzieć.

Wreszcie udało mu się wydobyć głos.

- Idźcie do domów! - krzyknął przez ściśnięte gardło. - Do domu!

Tłum rozsypał się jak zeschnięte liście.

"Papa" zwrócił się w naszą stronę, groteskowo wykrzywiony z bólu...

I upadł.

66. POTĘGA

“Papa” nie umarł.

Ale wyglądał naprawdę jak nieboszczyk. Jedyne przebiegający od czasu do czasu przez jego pozornie martwe ciało skurcz świadczył, że jeszcze żyje.

Frank wykrzykiwał w zapamiętaniu, że “Papa” nie umarł, że on nie może umrzeć.

- “Papa”! Ty nie możesz umrzeć! Nie możesz!

Frank rozpiął mundur “Papy”, masował mu dłonie.

- Powietrza! - krzyczał. - Dajcie “Papie” oddychać!

Piloci przybiegli nam na pomoc. Jeden z nich był na tyle przytomny, że pobiegł na lotnisko po karetkę.

Orkiestra i poczet sztandarowy stały nadal wyprężone na baczność, ponieważ nie było komendy spocznij.

Poszukałem wzrokiem Mony i stwierdziłem, że niewzruszona w swojej pogodzie ducha stoi oparta o barierę trybuny. Śmierć, jeśli to była śmierć, nie wywoływała w niej niepokoju.

Obok niej stał jeden z pilotów. Nie patrzył na nią, ale był zaczerwieniony i rozpromieniony, co przypisałem bliskości Mony.

“Papa” jakby zaczął odzyskiwać świadomość. Drżącą jak schwytyany ptak dłonią wskazał na Franka.

- Ty... - powiedział.

Wszyscy wstrzymali oddech, żeby usłyszeć jego słowa.

Jego wargi poruszały się, ale wydobywał się z nich tylko jakiś bulgot.

Ktoś wpadł na pomysł, który wydał nam się wtedy znakomity, a który teraz musi się wydawać czymś obrzydliwym. Ktoś - zdaje się, że jeden z pilotów - zdjął ze stojaka mikrofon i przybliżył go do bełkoczących warg “Papy”.

Teraz jego śmiertelny charkot i spazmatyczne jęki odbiły się echem od nowych budynków.

A potem usłyszeliśmy słowa:

- Ty - powiedział ochryplym głosem do Franka - ty, Franklin Hoenikker, będziesz następnym prezydentem San Lorenzo. Nauka... ty masz naukę. Nauka to potęga.

- Nauka - wyszeptał “Papa”. - Lód.

Przewrócił pozołkłymi białkami i znowu stracił przytomność.

Spojrzałem na Monę.

Wyraz jej twarzy nie uległ żadnej zmianie.

Za to twarz stojącego obok niej pilota zastygła w orgiastycznym grymasie człowieka otrzymującego najwyższe odznaczenie państwowe.

Spuściłem wzrok i zobaczyłem coś, czego nie powinienem widzieć.

Mona zsunęła jeden sandał. Jej drobna brązowa stopa była naga. I tą stopą ocierała się bezwstydnie o but lotnika.

67. NIE MA GŁUPICH!

“Papa” nie umarł, w każdym razie nie wtedy.

Zabrała go wielka czerwona karetka pogotowia.

Mintonowie odjechali do swojej ambasady amerykańską limuzyną.

Newta i Angelę odwieziono inną limuzyną do domu Franka.

Państwo Crosby i ja odjechaliśmy do hotelu Casa Mona jedyną w San Lorenzo taksówką, roztrzęsionym chryslerem z 1939 roku, przypominającym karawan. Po obu bokach pojazdu widniał napis: "Przedsiębiorstwo Transportowe Castle'a". Taksówka należała do Filipa Castle'a, właściciela hotelu Casa Mona i syna stuprocentowo bezinteresownego człowieka, z którym miałem przeprowadzić wywiad.

Zarówno państwo Crosby, jak i ja byliśmy do głębi poruszeni. Dręczyły nas pytania, na które chcieliśmy jak najszybciej otrzymać odpowiedź. Oni chcieli wiedzieć, kto to jest Bokonon. Oburzała ich sama myśl, że ktoś może przeciwstawiać się "Papie" Monzano.

Ja natomiast nie wiadomo dlaczego poczułem, że muszę się natychmiast dowiedzieć historii stu męczenników za demokrację.

Pierwsi otrzymali odpowiedź państwo Crosby. Ponieważ nie rozumieli miejscowego dialektu, musiałem służyć im za tłumacza. Zasadnicze pytanie, jakie Crosby zadał kierowcy, brzmiało:

- Kto to jest, do diabła, ten szczył Bokonon?

- Bardzo zły człowiek - odpowiedział kierowca. W jego wykonaniu brzmiało to: "Parrso sly cłofiek."

- Komunista? - spytał Crosby, kiedy mu przetłumaczyłem odpowiedź.

- Oczywiście.

- Czy ma jakichś zwolenników?

- Co proszę?

- Czy są tacy, którzy się z nim zgadzają?

- Nie, panie - odpowiedział kierowca skwapliwie - nie ma głupich.

- Dlaczego go do tej pory nie złapali? - dopytywał się Crosby.

- Trudno go znaleźć - odpowiedział kierowca. - Bardzo sprytny człowiek.

- Ktoś przecież musi go ukrywać i karmić, inaczej dawno już by go złapano.

- Nikt go nie ukrywa, nikt go nie karmi. Nie ma głupich.

- Jest pan pewien?

- No pewnie - odpowiedział kierowca. - Każdy, kto nakarmi tego starego wariata, każdy, kto go przenocuje, pójdzie na hak. Nikt nie chce iść na hak.

68. STU MECENIKUF

Spytałem kierowcę, kto to byli męczennicy za demokrację. Właśnie zobaczyłem, że bulwar, wzdłuż którego jedziemy, nosi nazwę Bulwaru Stu Męczenników za Demokrację.

Kierowca opowiedział mi, że Republika San Lorenzo wypowiedziała wojnę Niemcom i Japonii w godzinę po ataku na Pearl Harbor.

San Lorenzo powołało pod broń stu ludzi, aby stanęli w obronie demokracji. Tych stu ludzi załadowano na statek płynący do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieli zostać przeszkoleni i uzbrojeni.

Okręt ten został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną natychmiast po wyjściu z portu.

- To so meceniki sa temokracje - powiedział.

Co miało znaczyć: "To są męczennicy za demokrację."

69. WIELKA MOZAIKA

Państwo Crosby i ja poczuliśmy się bardzo dziwnie, kiedy okazało się, że jesteśmy pierwszymi gośćmi w nowym hotelu. Nasze nazwiska były pierwszymi, jakie miały znaleźć się w hotelowej księdze gości.

Crosby pierwszy podszedł do kontuaru, ale widok dziewiczo czystej księgi tak go zaskoczył, że nie mógł się zdecydować na złożenie podpisu. Musiał się przez chwilę zastanowić.

- Może pan się wpisze pierwszy - zwrócił się do mnie. I broniąc się przed posądzeniem, że jest przesądny, oświadczył, że pragnie sfotografować człowieka układającego wielką mozaikę na świeżym tynku w hotelowym hallu.

Mozaika przedstawiała wysoki na dwadzieścia stóp portret Mony Aamons Monzano. Człowiek, który pracował nad nim siedząc na szczycie drabiny, był młody i muskularny. Jedyne jego strój stanowiły płócienne białe spodnie.

Był biały.

Artysta układał z listków złota włosy opadające na łabędzią szyję Mony.

Crosby poszedł, aby go sfotografować, i po chwili wrócił, oświadczając, że jest to największy szczył, jakiego kiedykolwiek spotkał. Jego twarz miała kolor soku pomidorowego, kiedy mi to mówił.

- Nie można się do niego odezwać słowem, żeby zaraz wszystkiego nie przekręcił - dodał.

Podszedłem więc i ja do artysty, obserwowałem go przez chwilę i powiedziałem:

- Zazdroszczę panu.

- Wiedziałem, że tak będzie - westchnął. - Wiedziałem, że jak będę czekać odpowiednio długo, to znajdzie się ktoś, kto przyjdzie i pozazdrości mi. Powtarzałem sobie, że muszę być cierpliwy, a wcześniej czy później trafi tu jakiś zazdrośnik.

- Pan jest Amerykaninem?

- Mam to szczęście.

Ani na chwilę nie przerwał swojej pracy, mój wygląd wyraźnie go nie interesował.

- Czy pan też chce mnie sfotografować?

- Ma pan coś przeciwko temu?

- Myślę, więc jestem, a skoro jestem, to można mnie fotografować.

- Niestety nie mam przy sobie aparatu.

- Więc, na litość boską, niechże pan biegnie po niego! Chyba nie należy pan do tych, którzy polegają na swojej pamięci?

- Myślę, że nieprędko zapomnę twarz, nad którą pan pracuje.

- Zapomni pan w chwili śmierci, podobnie jak ja. Kiedy umrę, mam zamiar zapomnieć wszystko, i panu radzę zrobić to samo.

- Ona panu pozowała, czy też robi pan to na podstawie fotografii albo czegoś takiego?

- Czegoś takiego.

- Proszę?

- Robię to na podstawie czegoś takiego - postukał się po skroni. - Mam wszystko w tej swojej godnej pozazdroszczenia głowie.

- Pan ją zna?

- Mam to szczęście.

- Ten Frank Hoenikker jest szczęściarzem.

- Frank Hoenikker jest gówniarzem.

- Można powiedzieć, że jest pan szczerzy.

- Jestem również bogaty.

- Bardzo się cieszę.

- Jeśli interesuje pana zdanie eksperta w tych sprawach, to mogę panu zdradzić, że pieniądze wcale nie dają szczęścia.

- Dziękuję za informację. Dzięki niej uniknę masy kłopotów, bo właśnie miałem zamiar zarobić trochę pieniędzy.

- W jaki sposób?

- Pisaniem.

- Ja też napisałem kiedyś książkę.

- Jaka?

- *San Lorenzo. Kraj, Historia, Ludzie.*

70. UCZEŃ BOKONONA

- Jest pan zatem - powiedziałem - Filipem Castle, synem Juliana Castle.

- Mam to szczęście.

- Przyjechałem tu, żeby zobaczyć się z pańskim ojcem.

- Jest pan może sprzedawcą aspiryny?

- Nie.

- Szkoda. Ojcu kończy się aspiryna. A może ma pan jakieś cudowne leki? Ojciec lubi dokonać cudu od czasu do czasu.

- Nie jestem sprzedawcą leków. Jestem pisarzem.

- Skąd ta pewność, że pisarz nie jest sprzedawcą leków?

- Poddaję się. Jeden zero dla pana.

- Ojcu potrzebna jest książka, którą mógłby czytać ludziom umierającym albo cierpiącym straszliwe bóle. Może przypadkiem napisał pan coś w tym rodzaju?

- Na razie nie.

- Myślę, że na tym można by zarobić. To już druga cenna rada, jaką panu dziś daję.

- Może mógłbym przerobić Psalm Dwudziesty Trzeci, pozmienić go tak, żeby nie poznano, że to nie jest moje oryginalne dzieło.

- Bokonon próbował go już przerobić i stwierdził, że nie da się tam zmienić ani jednego słowa.

- Czy jego też pan zna?

- Mam to szczęście. Był moim nauczycielem, kiedy byłem małym chłopcem. Wskazał z czułością na mozaikę.

- Był też nauczycielem Mony. - Czy był dobrym nauczycielem?

- Mona i ja potrafimy czytać, pisać i trochę liczyć, jeśli o to panu chodzi - powiedział Castle.

71. DLACZEGO DOBRZE JEST BYĆ AMERYKANINEM

H. Lowe Crosby zbliżył się, aby ponownie zaatakować tego szczyła Castle'a.

- Za kogo ty się właściwie uważasz? - spytał szyderczo Crosby. - Za hippiesa czy co?

- Uważam się za bokononistę.

- Jeśli się nie mylę, to jest w tym kraju zakazane.

- Tak się składa, że mam szczęście być Amerykaninem. Przyznawałem się, że jestem bokononistą, zawsze, kiedy tylko przyszła mi na to ochota, i jak dotychczas nikt mnie nie ruszył.

- Uważam, że należy przestrzegać praw kraju, w którym się człowiek znajduje.

- Stara piosenka.

Crosby posiniał z wściekłości.

- Pocałuj mnie w dupę!

- I ty mnie też - powiedział Castle łagodnie - razem z twoim Dniem Matki i Bożym Narodzeniem.

Crosby wściekły podszedł do recepcjonisty za kontuarem i powiedział:

- Składam skargę na tego tam szczyła, tak zwanego artystę. Macie piękny mały kraj, który próbuje

ściągnąć turystów i kapitał zagraniczny. Ale po rozmowie z tym facetem nie chcę więcej patrzeć na San Lorenzo - i każdego, kto spyta mnie o wasz kraj, ostrzegę, żeby trzymał się stąd jak najdalej.

Możliwe, że będziecie mieli ładny obrazek na ścianie, ale, jak Boga kocham, ten szczył, który go robi, jest najbezczelniejszym na świecie skurwielem, który wszystko potrafi obrzydzić.

Recepcjonista pobladł.

- Proszę pana...

- Słucham, co masz do powiedzenia? - spytał Crosby, pałając świętym oburzeniem.

- Proszę pana, to jest właściciel tego hotelu.

72. OBERŻA POD SZCZYLEM

Crosby i jego żona opuścili hotel Casa Mona. Crosby nazwał go Oberżą pod Szczylem i zażądał pomieszczenia w ambasadzie amerykańskiej.

Tak więc zostałem jako jedyny gość w stupokojowym hotelu.

Mój pokój był bardzo przyjemny. Jego okna, podobnie jak i we wszystkich innych pokojach, wychodziły na Bulwar Stu Męczenników za Demokrację, za którym widać było lotnisko Monzano i port. Hotel Casa Mona przypominał szafę biblioteczną: miał masywne ściany z boków i z tyłu, a cały front oszklony był błękitnozielonymi szybami. W ten sposób brud i ńedza, otaczające hotel z trzech stron, pozostawały niewidoczne.

W pokoju działała klimatyzacja. Było wręcz chłodno i po przejściu w ten chłód z potwornego upału zacząłem kichać.

Na nocnym stoliku stały świeże kwiaty, ale łóżko było jeszcze nie pościelone. Nie było nawet poduszki. Tylko goły, nowiutki sprężynowy materac. W szafie nie było też wieszaków, a w łazience papieru toaletowego.

Wszedłem na korytarz w poszukiwaniu pokojówki, która uzupełniłaby wyposażenie pokoju. Nie było widać żywej duszy, ale zza otwartych drzwi w końcu korytarza dobiegały mnie jakieś odgłosy.

Poszedłem tam i zobaczyłem obszerny apartament z podłogą przykrytą szmatami. Pokój właśnie malowano, ale kiedy wszedłem, dwaj malarze nie byli zajęci pracą, tylko siedzieli na parapecie ogromnego okna.

Byli boso. Oczy mieli zamknięte. Siedzieli twarzami do siebie, dotykając się podszwami bosych stóp.

Każdy z nich obejmował własne łydki, tworząc nieruchomy trójkąt.

Chrząknąłem.

Malarze stoczyli się z parapetu na zachlapanie farbą szmaty. Spadli na czworaki i tak już pozostali, z tyłkami do góry i z nosami przy ziemi.

Czekali na śmierć.

- Przepraszam - powiedziałem zdumiony.

- Proszę nie mówić - błagali płaczącym głosem - proszę nas nie zdradzić.

- Czego mam nie zdradzić?

- Tego, co pan zobaczył.

- Ja niczego nie widziałem.

- Jak pan powie - mówił jeden z malarzy, dotykając policzkiem podłogi i spoglądając na mnie błagalnie - jak pan powie, pójdziemy na hak!

- Słuchajcie, przyjaciele - powiedziałem - widocznie wszedłem za wcześnie albo za późno, bo powtarzam wam, że nie widziałem niczego, o czym warto by mówić. Wstańcie, z łaski swojej.

Wstali, nadal nie spuszcżając ze mnie wzroku. Drżeli i chowali się za siebie. Wreszcie udało mi się ich przekonać, że nikomu nie powiem o tym, co zobaczyłem.

A zobaczyłem oczywiście bokononistyczny obrządek boko-maru, czyli zbratania dusz.

My, bokononiści, wierzymy, że nie można siedzieć z człowiekiem pięta w piętę i nie odczuwać do niego miłości, pod warunkiem, oczywiście, że stopy obu osobników są czyste i dobrze utrzymane.

Podstawą tej ceremonii jest następujące Calypso:

Usiądziemy naprzeciwko siebie

I zetkniemy się stopami z całej siły,

*I będziemy się kochali z całej siły,
Jak kochamy naszą starą Matkę Ziemię.*

73. CZARNA

Wróciwszy do swego pokoju stwierdziłem, że Filip Castle - mozaikarz, historyk, autor skorowidza do własnego dzieła, szczył i hotelarz, zawiesza rolkę papieru toaletowego w mojej łazience.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziałem.

- Absolutnie nie ma za co.

- Oto, można powiedzieć, hotel, który dba o klienta. Jakże niewielu właściciele zdobyłoby się na tak osobistą troskę o wygodę gościa!

- Ilu właściciele ma w swoim hotelu tylko jednego gościa?

- Niedawno miał pan trzech.

- To były piękne dni.

- Wie pan, może wtrącam się w nie swoje sprawy, ale nie mogę zrozumieć, jak człowiek o pańskich zainteresowaniach i zdolnościach trafił do hotelarstwa.

Na jego twarzy pojawił się wyraz zmieszania.

- Uważa pan, że nie mam odpowiedniego podejścia do gości?

- Znam kilka osób ze szkoły hotelarskiej w Cornell i obawiam się, że oni nieco inaczej potraktowaliby Crosbych.

Castle kiwnął głową zasmucony.

- Tak, tak - zamachał rękami. - Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem, po co budowałem ten hotel.

Chyba po prostu po to, żeby wypełnić czymś życie. Żeby się czymś zająć i nie czuć samotności.

Potrząsnął głową.

- Musiałem albo zostać pustelnikiem, albo otworzyć hotel, nic pośredniego mnie nie urządziło.

- Zdaje się, że pan wychowywał się na terenie szpitala pańskiego ojca?

- Tak. Mona i ja wychowywaliśmy się przy szpitalu.

- I czy nigdy nie miał pan chęci pójść w ślady ojca? Młody Castle uśmiechnął się blado, unikając bezpośredniej odpowiedzi.

- Ojciec jest zabawnym facetem - powiedział. - Myślę, że go pan polubi.

- Spodziewam się. Niewielu jest ludzi tak pełnych poświęcenia jak on.

- Pewnego razu - mówił Castle - kiedy miałem może z piętnaście lat, wybuchł bunt na greckim statku wiozącym z Hongkongu do Hawany transport wiklinowych mebli. Buntownicy opanowali statek, ale nie potrafili nim kierować i rozbili się na rafach niedaleko zamku "Papy" Monzano. Wszyscy utonęli. Uratowały się tylko szczury. Szczury i wiklinowe meble, które fale wyrzuciły na brzeg.

Wyglądało to na koniec historii, ale nigdy nic nie wiadomo.

- I co? - spytałem.

- Jedni mieli meble za darmo, a inni zarazili się dżumą. W szpitalu ojca mieliśmy tysiąc czterysta zgonów w ciągu dziesięciu dni. Czy widział pan kiedyś człowieka zmarłego na dżumę?

- Nie, nie miałem tego nieszczęścia.

- Gruczoły limfatyczne w pachwinie i pod pachami puchną do rozmiarów grapefruitów.

- Wierzę panu na słowo.

- Po śmierci ciało czernieje, dwa grzyby w barszcz, jeśli chodzi o mieszkańców San Lorenzo. Kiedy epidemia rozszalała się na dobre, Dom Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli wyglądał jak Oświęcim czy inny Buchenwald. Mieliśmy tu takie stosy trupów, że utknął nam buldożer, który miał je spychać do zbiorowej mogiły. Ojciec pracował przez wiele dni i nocy bez chwili wytchnienia, pracował nie tylko bez snu, ale i bez większego rezultatu.

Wstrząsającą opowieść Castle'a przerwał dzwonek mojego telefonu.

- Do diabła - powiedział Castle - nie wiedziałem, że telefony są już podłączone. Podniosłem słuchawkę.

- Halo?

Dzwonił do mnie generał major Franklin Hoenikker. Był zdyszany i śmiertelnie czymś przerażony.

- Halo! Musi pan natychmiast przyjść do mnie do domu. Musimy porozmawiać! Sprawa może być ogromnie ważna dla pana!

- Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

- Nie przez telefon, nie przez telefon. Proszę przyjść do mnie. Natychmiast! Bardzo proszę!

- Dobrze.

- Ja nie żartuję. To jest rzeczywiście ogromnie ważne dla pana. Najważniejsza rzecz w pańskim życiu. Odłożył słuchawkę.

- O co chodziło? - spytał Castle.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Frank Hoenikker chce się ze mną natychmiast widzieć.

- Niech się pan nie spieszy. Spokojnie. Frank to kretyn.

- On mówi, że to bardzo ważne.

- Skąd on może wiedzieć, co jest bardzo ważne? Potrafiłbym wystrugać lepszego człowieka z banana.

- Mniejsza o to, niech pan kończy swoją opowieść.

- Na czym stanąłem?

- Dżuma. Na tym, jak buldożer uwiązał w trupach.

- Aha. Tak więc podczas jednej z takich bezsennych nocy zostałem z ojcem. Staraliśmy się znaleźć jakiegoś żywego pacjenta, którego można by leczyć, ale w łóżku, za łóżkiem znajdowaliśmy same trupy.

I wtedy ojciec zaczął się śmiać!

Nie mógł przestać. Wyszedł na dwór z ręczną latarką. Chichotał bez przerwy, a promień światła z jego latarki tańczył po trupach ułożonych w stosy. Położył dłoń na mojej głowie i wie pan, co mi wtedy powiedział ten wspaniały człowiek?

- Nie.

- Synu - powiedział do mnie ojciec - pewnego dnia wszystko to będzie twoje.

74. KOCIA KOŁYSKA

Pojechałem do Franka jedyną na San Lorenzo taksówką.

Mijaliśmy po drodze sceny przeraźliwej nędzy. Wspinaliśmy się na zbocze Góry McCabe'a. Było coraz chłodniej i otoczyła nas mgła.

Frank mieszkał w dawnej willi Nestora Aamonsa, ojca Mony, projektanta Domu Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli.

Willi, również zaprojektowana przez Aamonsa, stała nad wodospadem, a jej daleko wysunięty na wspornikach taras nurzał się w bryzgach wody. Była to bardzo lekka przemyślna konstrukcja ze stalowych słupów i belek. Przestrzenie między belkami były otwarte, wypełnione miejscowym kamieniem lub zasłonięte płótnem żaglowym.

Ten dom nie tyle służył za schronienie, co obwieszczał, że ktoś tutaj puścił wodze fantazji.

Zostałem uprzejmie powitany przez służącego, który powiedział mi, że Franka jeszcze nie ma. Jest spodziewany lada chwila. Frank powiedział, że mam czuć się jak u siebie w domu, zostać na kolacji i nocować. Służący, który przedstawił mi się jako Stanley, był pierwszym pulchnym mieszkańcem San Lorenzo, jakiego widziałem.

Stanley pokazał mi mój pokój. Prowadził mnie przez wnętrze domu, po schodach z surowego kamienia, obramowanych w nieregularnych odstępach stalowymi prostokątami. Moje łóżko stanowił materac z porowatej gumy, położony na kamiennej ławie wykutej w litej skale. Ściany mojego pokoju były z płótna. Stanley pokazał mi, jak mogę w zależności od chęci podnosić je lub opuszczać.

Spytałem Stanleya, czy oprócz nas ktoś jeszcze jest w domu, i dowiedziałem się, że tylko Newt. Stanley powiedział, że Newt jest na tarasie i maluje obraz, Angela natomiast pojechała zwiedzać Dom Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli.

Wyszedłem na przyprawiający o zawrót głowy taras rozpięty nad wodospadem i zastałem Newta uśpionego w żółtym leżaku.

Obraz, nad którym pracował, stał na sztalugach obok aluminiowej poręczy. Ramę obrazu stanowił zasnuty mgłą widok nieba, morza i doliny.

Sam obraz był mały, czarny i kostropaty.

Dzieło Newta składało się z zadrapań na czarnym, kleistym podkładzie. Zadrapania układały się w coś na kształt pajęczyny i przyszło mi do głowy, że mogą to być lepkie sieci naszych daremnych wysiłków, rozwieszane w bezksiężycową noc do wyschnięcia.

Nie budziłem karzełka, który był twórcą tej ohydy. Zapaliłem papierosa, wsłuchując się w odgłosy wodospadu.

Obudził małego Newta wybuch gdzieś daleko w dole. Jego odgłos odbił się od ścian doliny i uleciał do nieba. Było to działo na stołecznym bulwarze, jak mi wyjaśnił kamerdyner Franka. Strzelano z niego codziennie o piątej.

Mały Newt poruszył się w swoim leżaku.

Na wpół przebudzony przejechał umazanymi farbą rękami po twarzy, pozostawiając czarne ślady. Potem przetarł oczy i umazał się jeszcze bardziej.

- Dzień dobry - powiedział do mnie zaspanym głosem.

- Dzień dobry. Podziwiałem właśnie pański obraz.

- Czy poznał pan, co on przedstawia?

- Myślę, że każdy może go odczytać po swojemu.

- To jest kocia kołyska.

- Ach, tak - powiedziałem. Bardzo dobrze, - Te zadrapania to sznurek, tak?

- Jedna z najstarszych gier na świecie. Znana nawet wśród Eskimosów.

- Co pan powie?

- Od czterech tysięcy lat albo dłużej dorośli splatają zawile pętle ze sznurków przed nosami swoich dzieci.

Newt siedział nadal skulony w leżaku. Wyciągnął przed siebie upačkane dłonie, jakby miał na nich rozpiętą kocią kołyskę.

- Nic dziwnego, że dzieci wyrastają potem na wariatów. Kocia kołyska to tylko kilka iksów ze sznurka pomiędzy czyimiś palcami i dzieciak patrzy, i patrzy na te iksy...

- I co?

- I nic. Nie ma żadnego cholernego kota, żadnej cholernej kołyski.

75. PROSZĘ POZDROWIĆ ODE MNIE ALBERTA SCHWEITZERA

W tym momencie weszła Angela Hoenikker Conners, tykowata siostra Newta, oraz Julian Castle, ojciec Filipa, założyciel Domu Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli. Ubrany był w workowaty garnitur z białego płótna i krawat z tasiemki. Miał niechlujne wąsy. Był łyсы i kościsty. I był świętym, jak sędzę.

Przedstawił się Newtowi i mnie. Aura świętości rozwiała się, kiedy zaczął mówić kątem ust, jak bohaterowie gangsterskich filmów.

- Jeśli się nie mylę, jest pan uczniem Alberta Schweitzera? - zagadnąłem go.

- Tylko na odległość - odpowiedział z uśmiechem zwyrodnialca. - Nigdy nie widziałem tego dżentelmena.

- On zapewne wie o pańskiej działalności, tak jak pan wie o nim.

- Może tak, a może nie. Czy pan widział się z nim kiedyś?

- Nie.

- A czy spodziewa się pan go zobaczyć?

- To zupełnie możliwe.

- Więc jeśli w czasie którejś ze swoich podróży spotka pan przypadkiem doktora Schweitzera, może mu pan powiedzieć, że on nie jest dla mnie wzorem - powiedział Julian Castle, zapalając grube cygaro.

Kiedy cygaro rozpałiło się już na dobre, skierował jego rozżarzony koniec w moją stronę.

- Może mu pan powiedzieć, że on nie jest dla mnie wzorem, ale może mu pan też powiedzieć, że dzięki niemu wzorem dla mnie stał się Jezus.

- Myślę, że ta wiadomość sprawi mu przyjemność.

- Guzik mnie to obchodzi. To jest sprawa pomiędzy Jezusem i mną.

76. JULIAN CASTLE ZGADZA SIĘ Z NEWTEM, ŻE WSZYSTKO JEST BEZ SENSU

Julian Castle i Angela podeszli do obrazu Newta. Castle zrobił z palców lunetę i zmrużywszy oko lustrował dzieło Newta.

- Co pan o tym sądzi? - spytałem go.

- To jest coś czarnego. Co to ma być - piekło?

- Obraz przedstawia to, co na nim widać - powiedział Newt.

- W takim razie to jest piekło - warknął Castle.

- Przed chwilą dowiedziałem się, że to jest kocia kołyska - wtrąciłem.

- Informacja z pierwszej ręki jest zawsze cenna - powiedział Castle.

- Mnie się to specjalnie nie podoba - poskarżyła się Angela. - Dla mnie to jest brzydkie, ale nie znam się na nowoczesnej sztuce. Chciałabym, żeby Newt przeszedł jakieś kursy, żeby wiedzieć na pewno, czy to, co robi, ma jakąś wartość.

- Jest pan samoukiem? - spytał Julian Castle Newta.

- A czy wszyscy nie jesteśmy samoukami? - powiedział Newt.

- Bardzo dobra odpowiedź - stwierdził Castle z szacunkiem.

Wziąłem na siebie wyjaśnienie głębszego znaczenia kociej kołyski, ponieważ Newt nie zdradzał ochoty do powtórzenia swojego wyводу.

Castle kiwnął głową w zadumie.

- Więc to ma być obraz powszechnego bezsensu! Zgadza się całkowicie.

- Zgadza się pan? - spytałem. - Przed chwilą mówił pan coś o Jezusie.

- O jakim Jezusie?

- O Jezusie Chrystusie.

- A - powiedział Castle - o tym. - Wzruszył ramionami. - Człowiek musi coś mówić, żeby nie wyjść z wprawy. Trzeba mieć sprawnie funkcjonujące narządy głosowe na wypadek, gdyby miało się coś naprawdę ważnego do powiedzenia.

- Rozumiem.

Wiedziałem już, że napisanie popularnego artykułu o nim nie będzie łatwym zadaniem. Będę musiał skoncentrować się na jego świątobliwych czynkach i pominąć całkowicie jego szatańskie myśli i wypowiedzi.

- Może mnie pan zacytować - powiedział. - Człowiek jest zły i cała jego działalność polega na robieniu niepotrzebnych rzeczy i gromadzeniu niepotrzebnej wiedzy.

Pochylił się i potrząsnął usmarowaną dłoń małego Newta.

- Zgadza się?

Newt skinął głową po chwili wahania, jakby zastanawiał się, czy Castle trochę nie przesadził.

- Zgadza się - powiedział.

I wówczas święty człowiek podszedł do obrazu Newta i zdjął go ze sztalug. Spojrzał na nas z uśmiechem.

- Śmieć, jak i wszystko inne - powiedział i wyrzucił obraz, który uniósł się, poderwany prądem powietrza, zawisł na moment, a potem zawrócił jak bumerang i zniknął w wodospadzie.

Małemu Newtowi nie pozostało nic do powiedzenia.

Pierwsza przerwała milczenie Angela.

- Masz całą buzię w farbie, kochanie. Idź się umyć.

77. ASPIRYNA I BOKO-MARU

- Czy może nam pan powiedzieć, doktorze, jak się czuje "Papa" Monzano? - spytałem Juliana Castle.

- Skąd mam wiedzieć?

- Sądziłem, że to pan go leczy.

- Nie rozmawiamy ze sobą. - Castle uśmiechnął się. - To znaczy, on nie odzywa się do mnie.

Ostatnią rzeczą, jaką mi powiedział, mniej więcej trzy lata temu, było, że jedynie amerykańskie obywatelstwo ratuje mnie przed zawiśnięciem na haku.

- Czym go pan tak obraził? Przyjechał pan tutaj i za swoje własne pieniądze założył pan szpital, w którym leczy się za darmo jego ludzi...

- "Papie" nie podoba się nasze całościowe podejście do pacjenta - powiedział Castle - zwłaszcza kiedy pacjent umiera. W Domu Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli, jeśli pacjent sobie tego życzy, odprawiamy ostatnie obrządki według rytuału bokononistycznego.

- Na czym polega ten obrządek?

- To bardzo proste. Zaczyna się od powtarzania tekstu. Chce pan spróbować?

- Dziękuję, nie śpieszy mi się jeszcze umierać.

Castle zrobił przeraźliwą minę, co miało oznaczać porozumiewawcze mrugnięcie.

- Ma pan słuszość, będąc ostrożnym. Ludzie, którzy przechodzą ostatni obrządek, najczęściej umierają na jego zakończenie. Myślę jednak, że udałoby się tego panu uniknąć, gdybyśmy nie stykali się stopami.

- Stopami?

Castle opowiedział mi o roli stóp w bokononizmie.

- To wyjaśnia scenę, jaką widziałem w hotelu! - zawołałem i opowiedziałem mu o dwóch malarzach na parapecie.

- Wie pan, że to się sprawdza - powiedział. - Ludzie, którzy to praktykują, rzeczywiście mają lepszy stosunek do siebie nawzajem i do całego świata.

- Tak...

- Boko-maru.

- Proszę?

- Tak się nazywa ta sztuczka z nogami - powiedział Castle. - To się sprawdza w działaniu. Myślę z wdzięcznością o każdej rzeczy, która sprawdza się w działaniu. Wie pan, niewiele jest rzeczy, o których to można powiedzieć.

- To prawda.

- Cała działalność tego mojego szpitala opiera się na aspirynie i boko-maru.

- Widzę z tego, że na wyspie jest nadal pewna ilość bokononistów pomimo zakazów, pomimo haka...

Castle roześmiał się.

- Więc jeszcze się pan w tym nie połapał?

- W czym?

- Wszyscy mieszkańcy San Lorenzo są prawowiernymi bokononistami pomimo haka.

78. STALOWY PIERŚCIEŃ OBLAWY

- Kiedy wiele lat temu Bokonon i McCabe przejęli władzę nad tym nędznym kraikiem - mówił Julian Castle - przegnali stąd księży. I wtedy Bokonon cynicznie i na wesoło wymyślił nową religię.

- Wiem o tym - powiedziałem.

- Kiedy potem stało się jasne, że żadne reformy polityczne ani ekonomiczne nie są w stanie ulżyć doli ludu, religia pozostała jedyną ostoją nadziei. Prawda była wrogiem ludu, ponieważ była zbyt okrutna, i Bokonon wziął na siebie obowiązek dostarczania ludowi coraz to piękniejszych łgarstw.

- A jak to się stało, że został wyjęty spod prawa?

- To był jego własny pomysł. Poprosił McCabe'a, żeby zdelegalizował jego religię, po to aby życie religijne na wyspie nabrało werwy i animuszu. Nawiasem mówiąc, napisał na ten temat wierszyk.

Tu Castle zacytował czterowiersz, którego nie ma w Księdze Bokonona.

Wziąłem więc rozbrat z władzą,

Nie było innej rady:

Każda prawdziwa religia

Z zasady jest formą zdrady.

- Bokonon zaproponował również hak jako najodpowiedniejszą karę dla swoich wyznawców. Widział coś takiego w Gabinetce Okropności u Madame Tussaud. - Znowu mrugnął do mnie upiornie. - To również miało być dla pikanterii.

- Czy dużo ludzi zginęło na haku?

- Nie od razu, nie od razu. Początkowo było to tylko na niby. Przemysłnie rozpowszechniano słuchy o egzekucjach, ale nikt nie potrafił wymienić nazwiska człowieka, który rzeczywiście został stracony. McCabe miał świetną zabawę, wygłaszając krwawe pogróżki pod adresem bokononistów, którymi byli wszyscy.

Bokonon znalazł sobie przytulną kryjówkę w dżungli - mówił dalej Castle - gdzie całymi dniami pisał, wygłaszał kazania i zajadał smakołyki, jakie mu znosili jego wyznawcy.

McCabe tymczasem powoływał bezrobotnych, czyli praktycznie całą ludność, do wielkich polowań na Bokonona.

Mniej więcej co sześć miesięcy McCabe ogłaszał tryumfalnie, że Bokonon jest otoczony stalowym pierścieniem oblawy, który zaciska się nieubłaganie.

A potem ludzie kierujący nieubłaganym pierścieniem musieli meldować wściekającemu się McCabe'owi, że Bokonon znowu dokonał rzeczy niemożliwej.

Uciekł, wyparował, znowu będzie żyć i nauczać. Cud!

79. CO SIĘ STAŁO Z DUSZĄ MCCABE'A

- McCabe i Bokonon nie potrafili podnieść tego, co się powszechnie nazywa stopą życiową - mówił dalej Castle. - Życie było nadal krótkie, nędzne i nikczemne.

Ale teraz ludzie nie musieli już myśleć wyłącznie o brutalnej rzeczywistości. Ludzie byli coraz szczęśliwsi, w miarę jak rozrastała się legenda o okrutnym tyranie w stolicy i dobrym świętym w dżungli. Wszyscy otrzymali pracę jako aktorzy w sztuce, która była bliska ich sercu, w sztuce, którą każdy człowiek, pod każdą szerokością geograficzną mógł zrozumieć i oklaskiwać.

- W ten sposób życie stało się dziełem sztuki - zauważyłem zdumiony.

- To prawda. Był tylko jeden szkopuł w tym wszystkim.

- Tak? Jaki?

- Sztuka stawiała niezwykle wysokie wymagania parze głównych aktorów. Jako młodzi ludzie obaj byli bardzo do siebie podobni, każdy z nich miał w sobie coś z anioła i coś z rozbójnika.

Ich role w sztuce wymagały jednak, aby Bokonon pozbył się swojej zbójckiej połowy, a McCabe swojej połówki anielskiej. Obaj zapłacili straszliwą cenę za szczęście swego ludu: McCabe poznał cierpienia tyrana, a Bokonon cierpienia świętego. Praktycznie rzecz biorąc obaj stali się nienormalni.

Castle zgiął wskazujący palec lewej ręki.

- I wtedy ludzie naprawdę zaczęli umierać na haku.

- Ale Bokonon nigdy nie został schwytany? - spytałem.

- McCabe nigdy nie posunął się tak daleko w swoim szaleństwie. Nigdy nie próbował złapać Bokonona naprawdę. Mógł to zrobić bez większego trudu.

- Dlaczego?

- McCabe miał zawsze na tyle rozumu, żeby wiedzieć, że bez świętego człowieka, z którym toczył wojnę, jego istnienie straciłoby sens. "Papa" Monzano również to rozumie.

- Czy ludzie nadal umierają na haku?

- To zawsze kończy się śmiercią.

- Chodzi mi o to, czy "Papa" rzeczywiście utrzymuje ten rodzaj egzekucji?

- Każe wieszać kogoś raz na dwa lata, żeby trzymać kocioł pod parą, że tak powiem.

Castle westchnął, spoglądając na wieczorne niebo.

- Tak kręci się ten świat,

- Proszę?

- My, bokononiści, mówimy tak, kiedy widzimy, że wokół nas dzieją się różne dziwne i niezrozumiałe rzeczy.

- Pan? - spytałem zdumiony. - Pan też jest bokononistą?

Castle popatrzył na mnie spokojnie.

- Pan też. Tylko pan jeszcze o tym nie wie.

80. POŁAWIACZE ODPADKÓW

Angela i Newt znajdowali się na wysuniętym tarasie wraz z Julianem Castle i ze mną. Piliśmy koktajle. Frank nadal nie dawał znaku życia.

Zarówno Angela, jak i Newt sprawiali wrażenie osób, które nie wylewają za kołnierz. Castle powiedział mi, że hulaszczę życie w młodości przypłacił jedną nerką i teraz musi się, niestety, ograniczać do lemoniady.

Po kilku kieliszkach Angela zaczęła biadać nad tym, jak niesprawiedliwie życie obeszło się z jej ojcem.

- On tyle dał światu, a świat jemu tak mało - mówiła.

Zażądałem jakichś konkretnych przykładów tego skąpstwa świata i w odpowiedzi usłyszałem kilka ścisłych liczb.

- Firma General Forge and Foundry wypłacała ojcu premię w wysokości czterdziestu pięciu dolarów za każdy patent zgłoszony w wyniku jego badań. Taką samą premię patentową jak każdemu innemu pracownikowi firmy - Angela potrząsnęła smutnie głową. - Czterdzieści pięć dolarów! A niech pan tylko pomyśli, czego dotyczyły niektóre z tych patentów!

- Tak - powiedziałem. - Myślę, że oprócz tego dostawał też pensję.

- Najwyższa jego pensja nie przekroczyła nigdy dwudziestu ośmiu tysięcy dolarów rocznie.

- Wydaje mi się, że to zupełnie nieźle.

Angela poczuła się dotknięta do żywego.

- Czy wie pan, ile zarabiają gwiazdy filmowe?

- Czasami bardzo dużo.

- Czy wie pan, że doktor Breed zarabiał o dziesięć tysięcy rocznie więcej niż ojciec?

- To już oczywista niesprawiedliwość.

- Mam już dość tych niesprawiedliwości.

Była tak zdenerwowana, że czym prędzej zmieniłem temat. Spytałem Juliana Castle, co według niego stało się z obrazem, który wyrzucił do wodospadu.

- W dole leży wioska - powiedział Castle. - Nie więcej niż pięć do dziesięciu chat. Nawiasem mówiąc tam właśnie urodził się "Papa" Monzano. Wodospad wpada tam do wielkiej kamiennej misy.

Mieszkańcy wioski przegrodzili szczybę w tej misie gęstą drucianą siatką. Woda przelewa się przez tę szczybę, dając początek strumieniowi.

- I myśli pan, że obraz Newta utkwiał w tej siatce? - spytałem.

- Nie wiem, czy pan zauważył, że ten kraj jest raczej biedny - powiedział Castle. - Nic długo w tej siatce nie leży. Myślę, że obraz Newta suszy się teraz na słońcu razem z niedopałkiem mojego cygara. Cztery stopy kwadratowe lepkiego płótna, cztery potrzaskane i pokrzywione listwy, kilka gwoździ i kawałek cygara. W sumie zupełnie niezły połów dla jakiegoś kompletnego nędzarza.

- Czasami chce mi się po prostu krzyczeć - powiedziała Angela - kiedy sobie pomyślę, ile zarabiają niektórzy ludzie, a ile płacili memu ojcu za to wszystko, co on im dawał.

Zbierało jej się na płacz.

- Nie płacz - poprosił łagodnie Newt.

- Kiedy to jest silniejsze ode mnie.

- Idź po swój klarnet. To ci zawsze pomaga.

Początkowo sądziłem, że to żart, ale z reakcji Angeli zorientowałem się, że propozycja była poważna i sensowna.

- Kiedy wpadnę w taki nastrój - zwróciła się do Castle'a i do mnie - jest to jedyna rzecz, która może mi pomóc.

Angela była jednak zbyt nieśmiała, żeby zagrać tak ni z tego, ni z owego. Musieliśmy długo ją prosić i wypiła jeszcze dwa kieliszki, zanim się wreszcie zgodziła.

- Jest naprawdę cudowna - obiecywał mały Newt.

- Bardzo chciałbym panią usłyszeć - mówił Castle.

- Dobrze - powiedziała wreszcie Angela wstając niepewnie. - Dobrze, zagram.

Kiedy poszła po klarnet, Newt przeprosił nas za jej zachowanie.

- Ma za sobą ciężkie przeżycia - powiedział. - Potrzebuje spokoju.

- Czy chorowała? - spytałem.

- Jej mąż jest dla niej okropny - powiedział Newt. Widać było, że nienawidzi przystojnego młodego męża Angeli, odnoszącego niezwykle sukcesy Harrisona C. Connorsa, prezesa firmy Fabrik-Tek.

- Rzadko kiedy przychodzi do domu, a jak już przyjdzie, to pijany i cały wysmarowany szminką.

- Na podstawie tego, co mi mówiła, wyobraziłem sobie, że to szczęśliwe małżeństwo - powiedziałem.

Mały Newt wyciągnął przed siebie ręce i rozczapierzył palce.

- Widzi pan kota? Widzi pan kołyskę?

81. BIAŁA NARZECZONA DLA SYNA KONDUKTORA

Nie miałem pojęcia, czego oczekiwać od gry Angeli. Nikt nie mógł tego przewidzieć.

Byłem przygotowany na coś patologicznego, ale nie oczekiwałem od tej choroby takiej głębi, gwałtowności i piękna prawie nie do zniesienia.

Angela zwilżyła i ogrzała ustnik, ale nie zagrała ani jednej próbnej nuty. Oczy zaszyły jej mgłą, a długie, kościste palce nerwowo przebiegały po klapkach klarnetu.

Czekałem niecierpliwie i przypominałem sobie to, co mi opowiedział Marvin Breed - że jedyną ucieczką Angeli przed nudą życia w domu ojca były chwile, kiedy zamykała się w swoim pokoju i grała przy muzyce z płyt.

Newt nastawił długogrającą płytę na dużym gramofonie w pokoju przylegającym do tarasu. Wrócił i podał mi kopertę płyty.

Płyta nazywała się *Cat House Piano*. Było to solo na fortepian w wykonaniu Meade'a Luxa Lewisa.

Ponieważ Angela chcąc wczuć się w nastrój pozwoliła pierwszy kawałek zagrać samemu Lewisowi, zdążyłem wyczytać z koperty nieco wiadomości o nim.

“Lewis, urodzony w Louisville, stan Kentucky, w roku 1905, zainteresował się muzyką dopiero w szesnastym roku życia, kiedy otrzymał w prezencie od ojca skrzypce. W rok później młody Lewis usłyszał przypadkiem pianistę Jimmy Vanceya. «To było naprawdę coś» - wspomina Lewis. Wkrótce Lewis zaczął się uczyć grać boogie-woogie, przejmując wszystko, co się dało, od starszego nieco Vanceya, który aż do swojej śmierci pozostał bliskim przyjacielem i mistrzem Lewisa. Ponieważ jego ojciec był konduktorem na kolei i Lewis wraz z rodziną mieszkał w pobliżu linii kolejowej, rytm pociągów wszedł w krew młodego Lewisa, który skomponował klasyczne już obecnie boogie-woogie na fortepian, znane pod nazwą *Honky Tonk Train Blues*.”

Oderwałem wzrok od swojej lektury. Pierwsza melodia dobiegała końca. Igła gramofonu przebywała powoli przestrzeń dzielącą ją od następnego kawałka, który, jak się dowiedziałem z koperty, nosił nazwę *Dragon Blues*.

Meade Lux Lewis zagrał zaledwie cztery takty, kiedy włączyła się Angela Hoenikker.

Grała z zamkniętymi oczami.

Byłem oszołomiony.

Angela była wspaniała.

Improwizowała do muzyki syna kolejarza; przechodziła od melodyjnej liryki do chrapliwej lubieżności, od przejmującej lęklivosti wystraszonego dziecka do widzeń narkomana.

Jej glissanda opowiadały o niebie, piekle i tym wszystkim, co jest między nimi.

Taka muzyka w zestawieniu z taką kobietą mogła być wytłumaczona tylko przypadkiem schizofrenii albo opętania.

Włosy zjeżyły mi się na głowie, zupełnie jakby Angela tarzała się po podłodze tocząc pianę z ust i mamrocząc po babilońsku.

Kiedy muzyka ucichła, krzyknąłem do Juliana Castle, który również słuchał w osłupieniu:

- Mój Boże, oto jakie jest życie! Któż potrafi zrozumieć z niego choćby odrobinę!

- Daremny trud - powiedział Castle. - Niech pan po prostu udaje, że pan rozumie.

- Bardzo dobra rada - powiedziałem tracąc nagle cały entuzjizm. Castle zacytował kolejny wiersz:

Tygrys polować musi

I latać musi ptak,

A człowiek musi się głowić: czemu? dlaczego? jak?

Aż kiedyś tygrys zaśnie

I ptak na gałąź sfrunie,

A człowiek wmówi sobie, że wszystko już rozumie.

- Skąd to? - spytałem.

- Skąd, jeśli nie z Księgi Bokonona?

- Chciałbym ją kiedyś przeczytać.

- Egzemplarze jej są bardzo rzadkie - powiedział Castle. - Nigdy nie była wydrukowana. Jest przepisywana odręcznie. I oczywiście nie ma czegoś takiego jak pełne wydanie, gdyż Bokonon codziennie dodaje coś nowego.

- Religia! - krzyknął pogardliwie mały Newt.

- Proszę? - spytał Castle.

- Widzi pan kota? - spytał Newt. - Widzi pan kołyskę?

82. ZAH-MAH-KI-BO

General major Franklin Hoenikker nie przybył na kolację.

Zatelefonował i oświadczył, że chce rozmawiać tylko ze mną i z nikim innym. Powiedział mi, że czuwa przy łożu "Papy" i że "Papa" umiera w strasznych cierpieniach. Mówił głosem człowieka samotnego i przestraszonego.

- Może w takim razie pojedę do swojego hotelu - powiedziałem - i spotkamy się, kiedy kryzys minie.

- Nie, nie, nie. Proszę zostać na miejscu! Chcę, żeby był pan tam, gdzie będę mógł natychmiast skontaktować się z panem.

Bał się, że mu gdzieś zginę. Nie mając pojęcia, skąd bierze się to jego zainteresowanie moją osobą, ja też poczułem strach.

- Czy może mi pan powiedzieć z grubsza, o co chodzi? - spytałem.

- Nie przez telefon.

- Czy to ma związek z pańskim ojcem?

- Chodzi o pana.

- O coś, co zrobiłem?

- O coś, co pan zrobi.

Usłyszałem w słuchawce gdakanie kury. Potem otworzono drzwi i rozległy się dźwięki ksylofonu. Była to znowu melodia *Gdy kończy się dzień*. Potem drzwi zamknięto i muzyka ucichła.

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby dał mi pan przynajmniej do zrozumienia, na czym ma polegać to moje zadanie, tak żebym mógł się przygotować - powiedziałem.

- Zah-mah-ki-bo.

- Co?

- To taki bokononistyczny termin.

- Nie znam żadnych bokononistycznych terminów.

- Czy jest tam Julian Castle?

- Jest.

- Niech pan jego zapyta - powiedział Frank. - Muszę już iść.

Frank odłożył słuchawkę. Spytałem więc Juliana Castle, co to znaczy zah-mah-ki-bo.

- Chce pan usłyszeć prostą odpowiedź czy pełną?

- Zaczniemy od prostej.

- Przeznaczenie, nieunikniony los.

83. DOKTOR SCHLICHTER VON KOENIGSWALD WYRÓWNUJE RACHUNEK

- Rak - stwierdził Julian Castle, kiedy w czasie obiadu opowiedziałem mu, że "Papa" umiera w mękach.

- Rak czego?

- Prawie wszystkiego. Mówi pan, że on dziś zemdlał na trybunie honorowej?

- Ależ tak - powiedziała Angela.

- To skutek narkotyków - oświadczył Castle. - Doszedł teraz do tego, że narkotyki i ból

równoważą się nawzajem. Zwiększenie dawki narkotyków oznaczałoby pewną śmierć.

- Myślę, że sam bym się zabił - mruknął Newt.

Siedział w czymś w rodzaju wysokiego składanego fotela, który wszędzie z sobą zabierał. Był on zrobiony z aluminiowych rurek i z płótna.

- Lepsze to niż siedzieć na słowniku, atlasie i książce telefonicznej - powiedział rozkładając swój fotel.

- Tak właśnie zrobił kapral McCabe - powiedział Castle. - Mianował swego kamerdynera następcą i strzelił sobie w łeb.

- Też rak? - spytałem.

- Na pewno nie wiem, ale nie przypuszczam. Według mnie zniszczyła go konieczność czynienia wyłącznie zła. Wszystko to było jeszcze przed moim przybyciem.

- Co za wesoły temat do rozmowy - powiedziała Angela.

- Wszyscy chyba zgoda się ze mną, że żyjemy w wesołych czasach - powiedział Castle.

- A ja myślę, że poświęcając swoje życie dla dobra innych ma pan więcej powodów do radości z życia niż inni ludzie - powiedziałem.

- Miałem też kiedyś jacht.

- Nie rozumiem.

- Posiadacz jachtu również ma więcej powodów do radości niż pozostali ludzie.

- Jeśli to nie pan jest lekarzem "Papy", to kto go leczy?

- Jeden z moich lekarzy, niejaki doktor Schlichter von Koenigswald.

- Niemiec?

- Mniej więcej. Był przez czternaście lat w SS, w tym przez sześć lat jako lekarz obozowy w Oświęcimiu.

- Odprawia teraz pokutę w Domu Nadziei i Miłosierdzia?

- Tak - odpowiedział Castle - i robi wielkie postępy, ratując ludziom życie na prawo i na lewo.

- To dobrze.

- Tak. Jeśli będzie nadal odrabiał straty z taką szybkością, pracując dzień i noc, to liczba ludzi, którym uratuje życie, zrówna się z liczbą ludzi, których wysłał na tamten świat, w roku trzytysięcznym dziesiątym.

84. ZACIEMNIENIE

W trzy godziny po kolacji Franka nadal nie było. Julian Castle przeprosił i odjechał do swego Domu Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli.

Angela, Newt i ja siedzieliśmy na wiszącym tarasie. Pięknie wyglądały w dole światła Bolívaru. Na dachu dworca lotniczego Monzano wznosił się wielki, iluminowany krzyż. Poruszany motorem obracał się powoli, atakując cztery strony świata swoją zelektryfikowaną pobożnością.

Na wyspie były jeszcze inne źródła światła, na północ od nas. Góry zasłaniały przed nami same światła, ale widzieliśmy ich odbłask na niebie. Spytałem Stanleya, kamerdynera Franka Hoenikkera, co to za światła.

Wskazał mi je od lewej do prawej:

- Dom Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli, pałac "Papy", Fort Jezus.
- Fort Jezus?
- Obóz ćwiczebny naszych żołnierzy.
- Nazwano go imieniem Jezusa Chrystusa?
- Oczywiście. A cóż w tym złego?

Na północy ukazało się nowe źródło światła, które rosło z każdą chwilą. Zanim zdążyłem spytać, co to takiego, okazało się, że są to reflektory samochodów wjeżdżających na przełęcz. Światła zbliżały się w naszą stronę. Był to cały konwój, składający się z pięciu amerykańskich ciężarówek. Na dachach kabin stały gotowe do strzału ciężkie karabiny maszynowe.

Ciężarówki zajechały przed dom i natychmiast wysypali się z nich żołnierze. Od razu przystąpili do pracy, kopiąc okopy i gniazda dla karabinów maszynowych. Wyszedłem ze Stanleyem, aby spytać dowodzącego oficera, co się właściwie dzieje.

- Otrzymał mi rozkaz, aby ochraniać następnego prezydenta San Lorenzo - wyjaśnił oficer w miejscowym dialekcie.

- Nie ma go tutaj - poinformowałem go.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Mam rozkaz, aby się tu okopać. To wszystko, co wiem.

Powiedziałem o wszystkim Angeli i Newtowi.

- Czy sądzi pan, że jest jakieś niebezpieczeństwo? - zwróciła się do mnie Angela.

- Ja sam jestem tu obcy - powiedziałem. W tym momencie nastąpiła awaria elektryczności. Na całej wyspie zgasło światło.

85. STEK BZDUR

Służący wnieśli lampy naftowe, uspokajając nas, że przerwy w dopływie prądu są na San Lorenzo czymś pospolitym i nie ma powodu do obaw. Ja jednak nie potrafiłem pokonać niepokoju od czasu, kiedy usłyszałem od Franka o moim zah-mah-ki-bo.

Odniosłem wrażenie, że moja wolna wola liczy się w tym wszystkim nie więcej niż wolna wola wieprzka pędzonego do rzeźni w Chicago.

Przypomniał mi się kamienny anioł z Ilium.

Z zewnątrz dobiegały odgłosy pracy żołnierzy: brzęk, stukot, okrzyki.

Nie potrafiłem skupić się na rozmowie Angeli i Newta, mimo że temat był interesujący. Dowiedziałem się, że ich ojciec miał identycznego brata-bliźniaka. Angela i Newt nigdy go nie widzieli. Nazywał się Rudolf. Kiedy po raz ostatni mieli o nim wiadomości, zajmował się produkcją pozytywek w Zurychu, w Szwajcarii.

- Ojciec rzadko kiedy o nim wspominał - powiedziała Angela.

- Ojciec w ogóle rzadko o kimś wspominał - dodał Newt.

Okazało się, że stary Hoenikker miał również siostrę. Nazywała się Celia i prowadziła hodowlę sznaucerów olbrzymich w miejscowości Shelter Island w stanie Nowy Jork.

- Zawsze przysyła nam kartki z życzeniami na święta - powiedziała Angela.

- Ze zdjęciem sznaucera olbrzymiego - dodał mały Newt.

- To dziwne, jacy różni ludzie rodzą się w tej samej rodzinie - zauważyła Angela.

- Bardzo trafna uwaga - zgodziłem się, po czym pożegnałem to błyskotliwe towarzystwo i spytałem Stanleya, czy nie znajdzie się gdzieś w domu egzemplarz Księgi Bokonona.

Stanley najpierw udawał, że nie rozumie, o co chodzi. Potem mruczał, że Księga Bokonona to świństwo i że każdy, kto ją czyta, powinien zawisnąć na haku. Wreszcie przyniósł mi egzemplarz, leżący na nocnym stoliku Franka.

Była to ciężka księga, rozmiarów porządnego słownika.

Pisana była ręcznie. Przetaszczyłem ją do swojej sypialni, na swoje skalne łóżko.

Księga nie miała skorowidza i moje poszukiwania znaczenia słowa zah-mah-ki-bo nie były łatwe; prawdę mówiąc, były wręcz bezowocne tej nocy.

Dowiedziałem się kilku rzeczy, które jednak niczego nie wyjaśniały. Poznałem na przykład bokononistyczną kosmogonię, według której Borasisi, słońce, obłapiało Pabu, czyli księżyc, w nadziei, że Pabu urodzi mu ogniste dziecko.

Ale biedna Pabu rodziła dzieci zimne, bez ognia, i Borasisi ze wstrętem odpychał je od siebie. Były to planety, które z bezpiecznej odległości okręzały swego gniewnego ojca.

Potem również biedna Pabu została odepchnięta i zamieszkała ze swoim ulubionym dzieckiem, którym była Ziemia. Pabu upodobała sobie Ziemię, ponieważ na Ziemi byli ludzie, którzy wznosili ku niej wzrok i darzyli ją sympatią.

Co sądził Bokonon o swojej własnej kosmogonii?

"Foma! Łgarstwo! - pisał. - Stek bzdur!"

86. DWA MAŁE TERMOSY

Trudno w to uwierzyć, ale widocznie zasnąłem - bo jakże inaczej mogłaby mnie obudzić seria huków i powódź świateł?

Zerwałem się z łóżka przy pierwszym huku i rzuciłem się pędem w głąb domu ze ślepą gorliwością członka ochotniczej straży pożarnej.

Wpadłem na Angelę i Newta, którzy również wyskoczyli ze swoich łóżek.

Staliśmy ogłupiali, usiłując zorientować się w koszarnej kakofonii dźwięków wypełniających dom, i stopniowo zdaliśmy sobie sprawę, że pochodzą one z radia, elektrycznej maszyny do zmywania naczyń, hydroforu i wszystkich innych urządzeń, które ożyły nagle, kiedy włączono z powrotem prąd.

Byliśmy już na tyle obudzeni, żeby zdać sobie sprawę ze śmieszności sytuacji, z tego, że zareagowaliśmy bardzo po ludzku na coś, co zdawało się grozić śmiertelnym niebezpieczeństwem, a było tylko tworem naszej wyobraźni. I żeby okazać swoją władzę nad iluzorycznym przeznaczeniem, wyłączyłem radio.

Wybuchliśmy śmiechem i dla ratowania twarzy zaczęliśmy prześcigać się w pozowaniu na wielkich znawców natury ludzkiej i błyskotliwych humorystów.

Newt wyprzedził wszystkich, uświadamiając mi, że ściskam w rękach swój paszport, portfel i zegarek. Nie miałem pojęcia, co schwyciłem w obliczu śmierci - nie zdawałem sobie sprawy, że w ogóle trzymam coś w rękach.

Odparowałem cios pytając ze śmiechem, dlaczego Angela i Newt trzymają identyczne, czerwono-szare termosy, o objętości mniej więcej trzech filiżanek kawy.

Nie zdawali sobie z tego sprawy. Ze zdumieniem stwierdzili, że trzymają w rękach te termosy.

Nowe huków na dworze zaoszczędziły im wyjaśnień. Postanowiłem natychmiast sprawdzić, co jest przyczyną hałasu, i z brawurą równie nieuzasadnioną jak mój wcześniejszy lęk wyrzałem, aby stwierdzić, że to Frank Hoenikker dłubie coś przy generatorze zmontowanym na ciężarówce.

To on właśnie był nowym źródłem prądu dla naszego domu. Silnik spalinowy, dostarczający energii, dymił i kichał. Frank usiłował go wyregulować.

Boska Mona przyjechała z nim razem. Przyglądała mu się, jak zawsze poważna.

- O, przecież ja mam dla pana nowinę! - krzyknął na mój widok i pierwszy wszedł do domu.

Angela i Newt nadal byli w salonie, ale jakimś cudem zdołali pozbyć się swoich zagadkowych termosów.

Termosy te zawierały oczywiście spadek po doktorze Feliksie Hoenikkerze, czyli cząstki wampetera mojego karassu, czyli bryłki lodu-9.

Frank wziął mnie na stronę.

- Czy obudził się pan na dobre?

- Jak najbardziej.

- To dobrze, bo musimy natychmiast odbyć poważną rozmowę.

- Proszę zacząć.

- To rozmowa w cztery oczy - powiedział Frank i poprosił Monę, aby poszła do swojego pokoju. -

Zawołamy cię, jak będziesz nam potrzebna - powiedział.

Spojrzałem na Monę i poczułem, że jeszcze nikt nigdy nie był mi tak potrzebny.

87. JESTEM RÓWNY GOŚĆ

Franklin Hoenikker, ze swoją buzią skrzywionego dziecka, mówił jakoś cicho i bez przekonania. W wojsku powiadają o takim, że ma głos jak z dupy włoś. Pasowało to jak ulał do generała Hoenikkera. Lata dzieciństwa, które spędził jako milczący Tajny Agent X-9, nie dały mu okazji do ćwiczenia się w rozmowach.

Teraz, chcąc rozmawiać serdecznie i przekonująco, zasypywał mnie wyświechtanymi wyrażenkami w rodzaju, "widać, że pan jest równy gość" i "bez mowy-trawy".

Zaprowadził mnie do swojej, jak się wyraził, "meliny", żebyśmy mogli "wyłożyć kawę na ławę i mieć to z głowy".

Zeszliśmy po wykutych w skale stopniach do naturalnej jaskini mieszczącej się pod wodospadem. Stało tam kilka stołów kreślarskich, trzy jasne, ascetyczne skandynawskie krzesła oraz biblioteka pełna książek o architekturze w języku niemieckim, francuskim, fińskim, włoskim i angielskim.

Wszystko to było oświetlone elektrycznym światłem, pulsującym w takt sapiącego generatora.

Najbardziej zadziwiającą rzeczą w tej jaskini były naskalne rysunki, wykonane farbami pierwotnych ludzi: ochrą, gliną i węglem, z rozmachem i fantazją przedszkolaka. Nie musiałem pytać Franka o wiek tych malowideł. Mogłem go sam określić na podstawie tematu. Rysunki nie przedstawiały mamutów, tygrysów szablastych ani ityfalicznych niedźwiedzi jaskiniowych.

Na wszystkich rysunkach występowała w niezliczonych wariantach Mona Aamons Monzano jako mała dziewczynka.

- Czy... czy tutaj pracował ojciec Mony? - spytałem.

- Tak. To on jest tym Finem, który zaprojektował Dom Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli.

- Wiem.

- Ale nie o tym chciałem z panem rozmawiać.

- Czy chodzi może o pańskiego ojca?

- Chodzi o pana. - Frank położył mi rękę na ramieniu i spojrzał mi w oczy. Chciał w ten sposób stworzyć nastrój intymnego porozumienia, ale wywołał tylko we mnie uczucie odrazy. Jego głowa wyglądała jak oślepiąca światłem cudaczna mała sowa, siedząca na wysokim białym słupie.

- Może przejdziemy od razu do rzeczy?

- Nie ma sensu owijać w bawełnę - powiedział Frank. - Znam się trochę na ludziach i widzę, że z pana jest równy gość.

- Dziękuję.

- Myślę, że między nami możemy nazywać rzeczy po imieniu.

- Bez wątpienia.

- Nasze interesy się zazębiają.

Poczułem ulgę, kiedy zdjął rękę z mojego ramienia. Złączył palce obu rąk na kształt trybów dwóch kół zębatych. Jedną ręką miała, jak sądzę, przedstawiać jego, a drugą mnie.

- Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni - powiedział i poruszył palcami, demonstrując mi działanie kół zębatych.

Milczałem przez chwilę, nie zdradzając niczym swojej dezaprobaty.

- Rozumie pan, co mam na myśli? - spytał wreszcie Frank.

- Pan i ja mamy coś wspólnie zrobić, czy tak?

- Tak jest! - klasnął w rękę Frank. - Pan jest człowiekiem światowym, przyzwyczajonym do publicznych wystąpień, ja zaś jestem specem od techniki, przyzwyczajonym do manipulowania za kulisami.

- Skąd może pan wiedzieć, jaki ja jestem? Przecież dopiero co się poznaliśmy.

- Pańskie ubranie, sposób wyrażania się... - Położył mi z powrotem rękę na ramieniu. - Widać od razu, że z pana jest równy gość!

- Już pan to mówił.

Frank miał nadzieję, że z entuzjazmem podchwycę jego myśl, ale ja wciąż jeszcze byłem w lesie.

- Czy mam rozumieć, że chce mi pan zaproponować jakąś pracę tutaj, na San Lorenzo? - spytałem.

Frank klasnął w dłonie. Był zachwycony.

- Tak jest! Co by pan powiedział na sto tysięcy dolarów rocznie?

- Wielki Boże! - krzyknąłem. - Co mam robić za te pieniądze?

- Prawie nic. Co wieczór będzie pan pijał ze złotych pucharów i jadał ze złotych talerzy. I będzie pan miał własny pałac.

- Co to za posada?

- Prezydenta Republiki San Lorenzo.

88. DLACZEGO FRANK NIE MÓGŁ ZOSTAĆ PREZYDENTEM?

- Ja mam być prezydentem? - wyjąkałem.

- A któż inny? - Bzdura!

- Nie może pan odmawiać tak bez zastanowienia - powiedział Frank, wpatrując się we mnie z napięciem.

- Nie!

- Przecież pan się nawet nie zastanowił.

- Nie muszę się zastanawiać, żeby wiedzieć, że to szaleństwo.

Frank znowu złączył palce obu rąk.

- Będziemy pracować razem. Będę stał zawsze za panem.

- Rozumiem. W ten sposób jak mnie rąbną, to i pan dostanie.

- Jak to rąbną?

- Zastrzelą! Zamordują!

Frank był zaskoczony.

- Dlaczego ktoś miałby do pana strzelać?

- Żeby zostać prezydentem.

Frank potrząsnął głową.

- Nikt z mieszkańców San Lorenzo nie chce zostać prezydentem - uspokoił mnie. - To jest sprzeczne z ich religią.

- Czy pańska religia także na to nie pozwala? Myślałem, że to pan ma być następnym prezydentem.

- Ja... - zająknął się Frank speszony.

- Co pan? - spytałem.

Frank spojrzał na ścianę spadającej wody, która zasłaniała otwór jaskini.

- Według mnie dojrzałość polega na tym, że człowiek wie, gdzie kończą się jego możliwości.

W swoim określeniu dojrzałości Frank zbliżył się do Bokonona. "Dojrzałość - powiada Bokonon - jest gorzkim rozczarowaniem, na które nie ma lekarstwa, chyba że uznamy za jakieś lekarstwo śmiech."

- Zdaję sobie doskonale sprawę ze swoich możliwości - mówił dalej Frank. - Mam ten sam brak co ojciec.

- Tak?

- Mam mnóstwo znakomitych pomysłów podobnie jak i mój ojciec - mówił Frank do wodospadu - i podobnie jak on nie umiem rozmawiać z ludźmi.

89. DUFFLA

- Więc jak, przyjmie pan tę posadę? - zapytał z nadzieją w głosie Frank.

- Nie.

- To może pan zna kogoś, kto chciałby ją przyjąć?

Frank demonstrował klasyczny przykład tego, co Bokonon nazywa dufflą. Duffla następuje wtedy, gdy losy wielu tysięcy ludzi znajdują się w ręku stuppy. Stuppa oznacza pijane dziecko we mgle.

Roześmiałem się.

- Co w tym śmiesznego?

- Proszę nie zwracać uwagi na mój śmiech - powiedziałem. - Jestem pod tym względem nieco zboczony.

- Śmieje się pan ze mnie?

Potrząsnąłem głową.

- Nie.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru.

- Ze mnie zawsze się wyśmiewali.

- Może się panu zdawało?

- Przezywali mnie. To nie było złudzenie.

- Ludzie są czasem nietaktowni nie zdając sobie z tego sprawy - zaproponowałem bez większego przekonania.

- Wie pan, jak mnie przezywali?

- Nie.

- Wołali za mną: "Hej, X-9, gdzie idziesz?"

- Nie wydaje mi się to takie straszne.

- Tak mnie przezywali - mówił Frank, pogrążony w ponurych wspomnieniach. - Tajny Agent X-9.

Nie przyznałem się, że już o tym słyszałem.

- Gdzie idziesz, X-9? - powtórzył Frank.

Wyobraziłem sobie tych prześladowców, wyobraziłem sobie, dokąd zagnał ich los. Dowcipnisie pokrzykujący wtedy na Franka teraz na pewno posłusznie wykonywali śmiertelnie nudną pracę w zakładach General Forge and Foundry, w firmie Siła i Światło albo w przedsiębiorstwie telefonicznym.

A tutaj, słowo daję, stał przede mną Tajny Agent X-9, generał major, i proponował mi objęcie posady króla. A wszystko to w jaskini pod tropikalnym wodospadem.

- Byliby nieźle zdziwieni, gdybym tak przystanął i powiedział im, dokąd idę.

- Czy to znaczy, że miał pan jakieś przecucia, dokąd pan dojdzie? - Było to bokononistyczne pytanie.

- Szedłem do sklepu "U Jacka" - odpowiedział, nie zdając sobie sprawy z zawodu, jaki mi sprawia.

- Ach, tak?

- Wiedzieli, dokąd idę, ale nie wiedzieli, co ja tam naprawdę robię. Byłaby to dla nich niezła niespodzianka, szczególnie dla dziewczyn. Dziewczyny myślały, że ja nie mam pojęcia o kobietach.

- A co się tam naprawdę działo?

- Dzień w dzień rżnąłem żonę Jacka. Dlatego stale zasypiałem w szkole na lekcjach. Dlatego nigdy w pełni nie rozwinąłem swoich możliwości.

Wreszcie oderwał się od swoich ponurych wspomnień.

- Niech pan zostanie prezydentem San Lorenzo. Przy pańskiej osobowości będzie pan na pewno dobrym prezydentem. Bardzo proszę!

90. JEDYNY WARUNEK

Noc, jaskinia, wodospad - i kamienny anioł z Ilium...

Dwieście pięćdziesiąt tysięcy papierosów, trzy tysiące litrów alkoholu, dwie żony i brak żony...

I to, że nigdzie nie czeka na mnie miłość...

I beznadziejna egzystencja marnego dziennikarzyny...

I Pabu, księżyc, i Borasisi, słońce, i ich dzieci...

Wszystko to sprzysięgło się, tworząc jeden kosmiczny vin-dit, jedno potężne pchnięcie w objęcia bokononizmu, w przekonanie, że moim życiem kieruje Bóg, który zleca mi wykonanie jakiejś pracy.

Skapitulowałem wewnętrznie, ulegając temu, co wydało mi się naciskiem mojego vin-ditu.

Wewnętrznie zgodziłem się zostać następnym prezydentem San Lorenzo.

Na zewnątrz jednak nadal zachowywałem podejrzliwą ostrożność.

- W tym wszystkim musi tkwić jakiś podstęp - nie dawałem za wygraną.

- Nic podobnego.

- Odbędą się wybory?

- Tu nigdy nie było wyborów. Ogłosimy po prostu, kto jest nowym prezydentem.

- I nikt nie będzie protestować?

- Tutaj nikt nie protestuje przeciwko niczemu. Ludzie nie interesują się takimi sprawami. Nie zależy im.

- Musi być jakiś warunek?

- Jest coś w tym rodzaju - przyznał Frank.

- Wiedziałem! - Poczułem, jak oddalam się od swojego vin-ditu. - Co to za warunek? Na czym polega podstęp?

- Nie jest to, ściśle rzecz biorąc, warunek, bo nie musi go pan spełnić, jeśli pan nie chce. Byłoby jednak lepiej, żeby pan się zgodził.

- Chciałbym wreszcie usłyszeć, o co chodzi.

- Myślę, że jeśli ma pan zostać prezydentem, to powinien pan ożenić się z Moną. Ale nie musi pan, jeśli pan nie chce. Decyzja należy do pana.

- A czy ona się zgodzi?

- Jeśli zgodziła się na mnie, to zgodzi się i na pana. Musi się pan tylko oświadczyć.

- Skąd ta pewność ?

- W Księdze Bokonona jest przepowiednia, że Mona poślubi następnego prezydenta San Lorenzo - powiedział Frank.

91. MONA

Frank przyprowadził Monę do jaskini jej ojca i zostawił nas samych.

Początkowo rozmowa nie kleiła się. Byłem onieśmielony.

Miała na sobie błękitną sukienkę. Przezroczystą. Była to prosta sukienka, luźno przewiązana w pasie cienutkim paseczkiem. Cała reszta to była Mona. Jej piersi były jak granaty czy inne tam owoce, ale najbardziej przypominały piersi młodej kobiety.

Stopy miała prawie nagie. Paznokcie u nóg starannie polakierowane. Ażurowe sandałki były złote.

- Dzień dobry - wyjąkałem. Serce waliło mi jak młotem, uszy płonęły.

- Nie można popełnić błędu - zapewniła mnie Mona.

Nie wiedziałem, że jest to zwyczajowe powitanie, z jakim bokononiści zwracają się do osób nieśmiałych. Dlatego też zacząłem w odpowiedzi snuć gorączkowe rozważania na temat popełniania błędów.

- Mój Boże, nie ma pani pojęcia, ile ja w swoim życiu popełniłem błędów. Ma pani przed sobą mistrza świata w popełnianiu błędów - paplałem. - Czy wie pani, co powiedział mi Frank przed chwilą?

- O mnie?

- O wszystkim, ale głównie o pani.

- Powiedział pewnie, że może mnie pan mieć, jeśli pan zechce.

- Tak.

- To prawda.

- Ja... ja...

- Proszę?

- Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

- Boko-maru dobrze panu robi - zaproponowała Mona.

- Co?

- Proszę zdjąć buty - zakomenderowała. I sama z nieopisanym wdziękiem zdjęła sandały.

Jestem człowiekiem światowym i, jak sobie kiedyś podliczyłem miałem ponad pięćdziesiąt trzy kobiety. Widziałem kobiety rozbierające się na wszystkie możliwe sposoby. Widziałem, że tak powiem, wszelkie warianty podnoszenia kurtyny przed przystąpieniem do ostatniego aktu. A jednak tylko raz jęknąłem z wrażenia: kiedy Mona zdejmowała sandały.

Usiłowałem rozwiązać sznurowadła. Żaden nowożeniec nie mógłby popisać się gorzej. Zdjąłem jeden but, ale drugi zasuplałem beznadziejnie. Wreszcie zdarłem go bez rozwiązywania.

Potem zdjąłem skarpetki.

Mona siedziała już na podłodze z wyprostowanymi nogami, opierając się na swych toczonych ramionach, z odchyłoną głową i przymkniętymi oczami.

Miałem przystąpić do mojego pierwszego... do mojego pierwszego... O, Boże...

Do mojego pierwszego boko-maru.

92. POETA OPIEWA SWOJE PIERWSZE BOKO-MARU

To nie są słowa Bokonona. To są moje słowa.

*O słodkie przywidzenie,
Niewidzialna mgło...
Otom jest.
Moja dusza,
Tak bardzo stęskniona,
Od tak dawna samotna,
Czy zdarzy się, że drugą, bratnią duszę spotka?*

*Nazbyt długo
Kluczyłem i błądziłem z dala
Od miejsc, gdzie bratnie dusze
Spotykać się mogą.*

*O wy, moje podeszwy!
O ty, duszo moja!
Spłyń w nie,
Stęskniona duszo,
A zaznasz pieśczoły.
Mmmmm.*

93. JAK OMAL NIE STRACIŁEM SWOJEJ MONY

- Czy teraz łatwiej ci ze mną rozmawiać? - spytała Mona.
- Tak jakbym cię znał od tysiąca lat - wyznałem. Czułem, że jestem bliski płaczu.
- Kocham cię, Mono.
- Kocham cię - powiedziała z prostotą.
- Jakim głupcem był Frank!
- Dlaczego?
- Dlatego, że cię oddał.
- On mnie nie kochał. Miał się ze mną ożenić wyłącznie na życzenie "Papy". On kocha inną.
- Kogo?
- Kobietę, którą znał w Ilium.

Tą szczęśliwą wybranką musiała być żona Jacka, właściciela sklepu dla majsterkowiczów.

- Powiedział ci o tym?
- Dzisiaj, kiedy zwolnił mnie ze słowa, abym mogła wyjść za ciebie.
- Mona?
- Słucham?
- Czy... czy jest ktoś jeszcze w twoim życiu?

Była zaskoczona.

- Wielu - powiedziała wreszcie.
- Czy jest ktoś, kogo kochasz?
- Ja kocham wszystkich.
- Czy... tak samo jak mnie?
- Tak.

Robiła wrażenie, jakby nie zdawała sobie sprawy, że może sprawić mi ból.

Wstałem z podłogi, usiadłem na krześle i zacząłem wkładać skarpetki i buty.

- I pewnie robisz z innymi to, co przed chwilą robiłaś ze mną.
- Boko-maru?
- Tak, boko-maru.
- Oczywiście.
- Od dzisiaj masz tego z nikim innym nie robić - oświadczyłem.

Jej oczy napełniły się łzami. Była dumna ze swojej rozwiązłości i rozzłościła się na mnie, że próbuję wzbudzić w niej poczucie wstydu.

- Ja daję ludziom szczęście. Miłość jest dobra.
- Jako twój mąż chcę mieć całą twoją miłość dla siebie.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Sin-wat! - zawołała.
- Co to jest?
- Sin-wat! Człowiek, który chce całą miłość dla siebie. To bardzo złe.
- W małżeństwie, jak sądzę, jest to rzecz bardzo dobra. Jedyna możliwa.

Mona nadal siedziała na podłodze, ja zaś, już w butach i skarpetkach, stałem. Czułem się bardzo wysoki, chociaż nie jestem bardzo wysoki, i bardzo silny, chociaż nie jestem bardzo silny. I z podziwem słuchałem swego własnego głosu. Brzmiały w nim nowe, metaliczne nuty.

Przemawiając nadal władczy tonem, zdałem sobie nagle sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Zaczynałem już rządzić.

Powiedziałem Monie, że widziałem, jak wykonywała swego rodzaju pionowe boko-maru z pilotem na trybunie w dniu mojego przyjazdu.

- Masz z nim skończyć - powiedziałem. - Jak on się nazywa?
- Nie wiem - szepnęła spuszczać wzrok.
- A co z młodym Filipem Castle?
- Chodzi ci o boko-maru?
- O wszystko. Z tego, co wiem, znacie się od dziecka.
- Tak.
- Byliście oboje uczniami Bokonona?
- Tak.

Na myśl o tym znowu się rozpromieniła.

- Myślę, że bokomarzyliście wtedy po całych dniach?
- O, tak! - powiedziała radośnie.
- Jego też masz przestać widywać. Czy to jasne?
- Nie.
- Nie?
- Nie będę żoną sin-wata - powiedziała wstając. - Do widzenia.
- Jak to "do widzenia"? - spytałem załamany.
- Bokonon uczy, że to bardzo źle nie kochać wszystkich jednakowo. A co mówi twoja religia?
- Ja nie mam żadnej religii.
- A ja mam.

Przestałem rządzić.

- Widzę to - powiedziałem.
- Do widzenia, człowieku bez religii.

uszyła w kierunku schodów.

- Mona...

Zatrzymała się.

- Słucham?
- Czy mogę przyjąć twoją religię?
- Oczywiście.
- Chcę ją przyjąć.
- To dobrze. Kocham cię.
- I ja też cię kocham - westchnąłem.

94. NAJWYŻSZA GÓRA

I w ten sposób o świącie zaręczyłem się z najpiękniejszą kobietą świata. I zgodziłem się zostać następnym prezydentem San Lorenzo.

“Papa” jeszcze żył i Frank uważał, że w miarę możliwości powinienem otrzymać jego błogosławieństwo. Tak więc po wschodzie Borasisi, czyli słońca, Frank i ja wyruszyliśmy do zamku “Papy” jeepem, którego zażądaliśmy od żołnierzy strzegących następnego prezydenta.

Mona została w domu Franka. Pocałowałem ją świętym pocałunkiem i pozwoliłem jej zasnąć świętym snem.

Jechaliśmy z Frankiem przez góry, przez gaje dzikich drzew kawowych, mając po prawej ręce płomienny wschód słońca.

Po raz pierwszy stanęła przede mną w całym swoim wielorybim majestacie Góra McCabe'a, najwyższy szczyt wyspy. Był to budzący grozę garb, jakiś wieloryb z dziwną skałką na grzbiecie. W porównaniu do rozmiarów wieloryba skałka wyglądała jak odłamek harpuna i wydawała się tak nie związana z resztą góry, że spytałem Franka, czy to jakaś budowla.

Frank powiedział mi, że jest to formacja naturalna. Co więcej, oświadczył, że, o ile wie, noga człowieka nigdy nie stanęła na szczycie Góry McCabe'a.

- Nie wygląda na zbyt trudną do zdobycia - zauważyłem. Poza skałką na szczycie jej zbocza nie były trudniejsze do pokonania niż przeciętne schody. A i sama skałka, przynajmniej z tej odległości, zdawała się mieć sporo dogodnych szczelin i występów.

- Jest może święta czy coś takiego? - spytałem.

- Może kiedyś była. W każdym razie nie od czasu Bokonona.

- Więc dlaczego nikt tam nie wszedł?

- Widocznie nikt nie miał ochoty.

- Może ja tam wejdę.

- Proszę bardzo. Wolna droga.

Jechaliśmy w milczeniu.

- A czy w ogóle istnieje coś świętego dla bokononistów? - spytałem po chwili.

- O ile wiem, nawet Bóg nie jest dla nich świętością.

- Więc nie ma dla nich nic świętego?

- Tylko jedno.

Próbowałem zgadywać.

- Ocean? Słońce?

- Człowiek - powiedział Frank. - Nic poza tym. Po prostu człowiek.

95. WIDZĘ HAK

Wreszcie ujrzeliśmy zamek.

Był niski, czarny i okrutny.

Na murach tkwiły zabytkowe działa.

Blanki, machikuły i balustrady oblepione były lianami i ptasimi gniazdami.

Od północy mury zamku dochodziły do potwornej ściany skalnej, opadającej pionowo z wysokości sześciuset stóp prosto do ciepłego morza.

Na jego widok rodziło się pytanie, jakie zawsze rodzi się na widok takiej góry kamieni: jak słabi ludzie mogli ruszyć tak wielkie głazy? I jak wszystkie takie budowle, sama dawała odpowiedź: to ślepy strach przenosił te kamienne bryły.

Zamek został wzniesiony na rozkaz Tum-bumwy, cesarza San Lorenzo, zbiegłego niewolnika i pomyłca. Powiadają, że Tum-bumwa znalazł jego wyobrażenie w dziecinnej książce z obrazkami.

Musiała to być makabryczna książeczka.

Tuż przed samą bramą droga wiodła pod prymitywnym rusztowaniem z dwóch słupów telegraficznych połączonych poprzeczną belką.

Z belki zwisał potężny żelazny hak. Była do niego przyczepiona tabliczka.

“Hak - głosił napis na tabliczce - zarezerwowany dla Bokonona we własnej osobie.”

Odwróciłem się, żeby jeszcze raz spojrzeć na hak, i widok tego zaostrego kawałka żelaza uświadomił mi, że mam naprawdę objąć rządy. Każę zwalić to rusztowanie!

I uspokoiłem sam siebie myślą, że będę władcą stanowczym, sprawiedliwym i łagodnym i doprowadzę swój lud do dobrobytu.

Fatamorgana.

Złudzenie!

96. DZWONEK, KSIĄŻKA I KURA W PUDLE NA KAPELUSZE

Nie udało nam się dotrzeć do "Papy" natychmiast. Opiekujący się nim lekarz, doktor Schlichter von Koenigswald, mruknął, że będziemy musieli poczekać z pół godziny.

Tak więc zostaliśmy z Frankiem w przedpokoju, za którym był apartament "Papy". Był to pokój bez okien o powierzchni trzydziestu stóp kwadratowych, którego umeblowanie stanowiły surowe drewniane ławy i stolik do gry w karty. Na stoliku stał elektryczny wentylator. Na kamiennych ścianach nie było obrazów ani żadnych innych ozdób.

Jedynie co sześć stóp na wysokości siedmiu stóp od podłogi wmurowane były żelazne pierścienie. Spytałem Franka, czy pomieszczenie to nie było kiedyś salą tortur.

Frank powiedział, że tak i że właśnie stoję na klapie, przykrywającej włącz do lochów.

Oprócz nas w poczekalni był jeszcze milczący wartownik oraz chrześcijański pastor, gotów udzielić "Papie" pociechy duchowej, gdyby zaszła tego potrzeba. Miał on ze sobą mosiężny dzwonek, pudło na kapelusze z wywierconymi otworami, Biblię i rzeźnicki nóż. Wszystko to leżało obok niego na krześle.

Pastor powiedział mi, że w pudle znajduje się żywa kura. Zachowywała się spokojnie, ponieważ, jak mi wyjaśnił, nakarmił ją środkami uspokajającymi.

Podobnie jak wszyscy mieszkańcy wyspy, którzy ukończyli dwadzieścia pięć lat, wyglądał co najmniej na sześćdziesiątkę. Przedstawił mi się jako doktor Vox Humana i wyjaśnił mi, że został tak nazwany na cześć pieszczalki organowej, która spadła na jego matkę, kiedy w roku 1923 wysadzono w powietrze katedrę Świętego Wawrzyńca. Wyznał mi też bez skrępowania, że jego ojciec był nieznanymi.

Spytałem go, jakie wyznanie reprezentuje, i przyznałem się otwarcie, że kura i nóż rzeźnicki są pewną nowością, jeśli chodzi o moje wyobrażenia na temat chrześcijaństwa.

- Co do dzwonka nie mam żadnych zastrzeżeń - dodałem.

Pastor okazał się człowiekiem inteligentnym. Doktorat, który gotów był w każdej chwili pokazać, otrzymał na Uniwersytecie Biblijnym Półkuli Zachodniej w Little Rock, w stanie Arkansas. Trafił na ten uniwersytet, jak mi się zwierzył, przez ogłoszenie w "Młodym Mechaniku". Powiedział mi też, że wziął sobie do serca dewizę swojej uczelni i stąd właśnie kura i nóż rzeźnicki. Dewizą uniwersytetu było:

"Nieście religię w lud!"

Pastor wyjaśnił mi, że musiał szukać własnej drogi do chrześcijaństwa, jako że katolicyzm i protestantyzm zostały na wyspie zakazane wraz z bokononizmem.

- Jeśli ma pyć chrześcijanin w tych warunkach, to musi wymyślić coś nowego - brzmiało to w dialekcie San Lorenzo.

- Jeśli mam być chrześcijaninem w tych warunkach, to muszę wymyślić coś nowego.

Z apartamentów "Papy" wyszedł doktor Schlichter von Koenigswald. Wygląd miał bardzo niemiecki i bardzo zmęczony.

- Możecie teraz wejść do "Papy" - powiedział.

- Postaramy się nie męczyć go - obiecał Frank.

- Myślę, że gdybyście go zamęczyli na śmierć - powiedział von Koenigswald - to byłby wam tylko

wdzięczny.

97. ŚMIERDZĄCY CHRZEŚCIJANIN

"Papa" Monzano leżał wraz ze swoją okrutną chorobą w łóżu, które było przerobione ze złoconej nadmuchiwanej łódki. Ster, linki, dulki - wszystko było pokryte złotem. Za łóżę służyła mu szalupa ratunkowa z dawnego szkunera Bokonona "Pantofelek", statku, który dawno temu przywiódł Bokonona i kaprala McCabe'a na San Lorenzo.

Pokój pomalowany był na biało, ale "Papa" tak płonął z bólu, że ściany wydawały się skąpane w jaskrawej czerwieni.

"Papa" leżał obnażony do pasa i jego lśniący od potu brzuch skręcany bólem drżał niczym żagiel w łopocie.

Na szyi miał łańcuch z wisiorkiem w kształcie łuski karabinowej. Sądziłem, że to jakiś amulet, ale myliłem się. Wisiorek zawierał kawałeczek lodu-9.

"Papa" prawie nie mógł mówić. Zęby mu szczękały, oddech był spazmatyczny.

Jego odrzucona do tyłu głowa spoczywała na rufie łódki.

W pobliżu łóżka stał ksylofon Mony. Widocznie poprzedniego wieczoru starała się złagodzić cierpienia "Papy" muzyką.

- Papa? - szepnął Frank.

- Do widzenia - syknął "Papa". Jego niewidzące oczy wychodziły z orbit.

- Przeprowadziłem przyjaciela.

- Do widzenia.

- On zostanie prezydentem San Lorenzo, nadaje się na to stanowisko znacznie bardziej niż ja.

- Lód! - zaskomlił "Papa".

- Ciągłe prosi o lód - powiedział von Koenigswald - a kiedy mu przynosimy, to nie chce.

"Papa" przewrócił oczami. Rozluźnił mięśnie karku i uniósł nieco głowę. Ale za chwilę znów wygiął się w łuk. - Nie ma znaczenia, kto będzie prezydentem... - Nie skończył zdania.

- Prezydentem San Lorenzo? - podpowiedziałem mu.

- San Lorenzo - przytaknął i zdobył się na krzywy uśmiech. - Powodzenia! - zaskrzypiał.

- Dziękuję.

- Nie ma znaczenia! Bokonon. Złap Bokonona.

Chciałem pokazać, że rozumiem, o co chodzi. Pamiętałem, że ku uciesze ludu Bokonon miał być wiecznie ścigany i nigdy nie mógł być schwytany.

- Złapię go - obiecałem.

- Powiedz mu...

Pochyliłem się, aby usłyszeć, co "Papa" chce przekazać Bokononowi.

- Powiedz mu, że żałuję, że go nie zabiłem - powiedział "Papa".

- Powiem.

- Ty go zabij.

- Tak jest.

"Papa" na tyle odzyskał panowanie nad głosem, że potrafił nadać mu brzmienie rozkazujące.

- Mówię poważnie!

Nie odpowiedziałem. Nie miałem ochoty nikogo zabijać.

- On uczy ludzi łgarstw. Zabij go i naucz ludzi prawdy.

- Tak jest.

- Ty i Hoenikker, wy dwaj dajcie ludziom naukę.

- Tak jest - obiecałem - zrobimy to.

- Nauka to czary, które naprawdę działają. Umilkł, rozluźnił się i zamknął oczy, a po chwili szepnął:

- Ostatni obrządek.

Von Koenigswald zawołał doktora Vox Humanę. Pastor wyjął z pudła na kapelusze swoją naszpikowaną środkami uspokajającymi kurę i przygotował się do odprawienia ostatnich obrządków według własnej wersji chrześcijaństwa.

“Papa” otworzył jedno oko.

- Nie ty - warknął na doktora Humanę. - Wynoś się!

- Jak to? - spytał doktor Humana.

- Jestem prawowiernym bokononistą - powiedział “Papa” świszczącym szeptem. - Zabierzcie stąd tego śmierdzącego chrześcijanina.

98. OSTATNI OBRZĄDEK

Tak więc udało mi się być świadkiem ostatniego obrządku bokononistów.

Próbowaliśmy znaleźć wśród żołnierzy i służby kogoś, kto by przyznał, że zna obrządek, i chciał odprawić go z "Papą". Nie zgłosił się nikt, co nie było zaskoczeniem wobec bliskości haka i lochów.

W tej sytuacji doktor von Koenigswald oświadczył, że on spróbuje zrobić, co trzeba. Nigdy dotychczas nie odprawiał obrządku, ale setki razy widział, jak robił to Julian Castle.

- Czy jest pan bokononistą? - spytałem.

- Zgadzam się z podstawową ideą bokononizmu. Zgadzam się, że wszystkie religie, z bokononizmem włącznie, to stek kłamstw.

- Czy jako człowiek nauki nie odczuwa pan oporów przed braniem udziału w podobnej ceremonii?

- Jestem bardzo złym uczonym. Zrobię wszystko, żeby ulżyć człowiekowi, nawet jeśli będzie to nienaukowe. Żaden prawdziwy uczony godny tej nazwy nie przyznałby się do czegoś takiego.

Po tych słowach wszedł do złotej łódki "Papy" i usiadł na rufie. Było tam tak ciasno, że musiał trzymać złocony ster pod pachą.

Zdjął sandały, które nosił na bose stopy. Potem odwinął kołdrę obnażając nogi "Papy". I wtedy przytknął podeszwy do stóp umierającego, przyjmując klasyczną pozycję boko-maru.

99. BUK STFOSZIL GLINA

- Buk stfoszil glina - zaintonował doktor von Koenigswald.

- Bóg stfoszil glina - zawtórował mu "Papa" Monzano.

"Bóg stworzył glinę" - powiedział w ten sposób każdy z nich w swoim własnym dialekcie. W dalszym ciągu litanii rezygnuję z prób odtworzenia specyfiki ich wymowy.

- Bóg poczuł się samotny - powiedział von Koenigswald.

- Bóg poczuł się samotny.

- I Bóg rozkazał części gliny wstać.

- I Bóg rozkazał części gliny wstać.

- Zobacz, co zrobiłem - powiedział Bóg - góry, morze, niebo i gwiazdy.

- Zobacz, co zrobiłem - powiedział Bóg - góry, morze, niebo i gwiazdy.

- I ja byłem tą gliną, która powstała i rozejrzała się dokoła.

- I ja byłem tą gliną, która powstała i rozejrzała się dokoła.

- Miałem szczęście, miała szczęście ta glina.

- Miałem szczęście, miała szczęście ta glina - policzki "Papy" były mokre od łez.

- Ja, glina, powstałem i zobaczyłem, jak pięknie Bóg to wszystko zrobił.

- Ja, glina, powstałem i zobaczyłem, jak pięknie Bóg to wszystko zrobił.

- Piękna robota, Panie Boże!

- Piękna robota, Panie Boże! - powiedział "Papa" z przekonaniem.

- Nikt inny nie potrafiłby tego zrobić tak dobrze. W każdym razie ja nie.

- Nikt inny nie potrafiłby tego zrobić tak dobrze. W każdym razie ja nie.

- Czuję się bardzo mały w porównaniu z Tobą.

- Czuję się bardzo mały w porównaniu z Tobą.

- Czuję się nieco ważniejszy tylko wtedy, kiedy myślę o tej reszcie gliny, która nie może powstać i rozejrzeć się dokoła.

- Czuję się nieco ważniejszy tylko wtedy, kiedy myślę o tej reszcie gliny, która nie może powstać i rozejrzeć się dokoła.

- Dostałem tak dużo, a reszta gliny tak mało.

- Dostałem tak dużo, a reszta gliny tak mało.

- Sienkuje sa to firusznienie! - zawołał von Koenigswald.

- Sienkuje sa to firusznienie! - wykrztusił "Papa".

Miało to znaczyć: "Dziękuję za to wyróżnienie!"

- Teraz glina kładzie się z powrotem i idzie spać.

- Teraz glina kładzie się z powrotem i idzie spać.

- Cóż za piękne wspomnienia!

- Cóż za piękne wspomnienia!

- Jakże interesujące okazy chodzącej gliny udało mi się spotkać!

- Jakże interesujące okazy chodzącej gliny udało mi się spotkać!

- Podobało mi się wszystko, co widziałem.

- Podobało mi się wszystko, co widziałem.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

- Idę teraz do nieba.

- Idę teraz do nieba.

- Z niecierpliwością czekam na chwilę...
- Z niecierpliwością czekam na chwilę...
- W której dowiem się wreszcie, co było moim wampeterem...
- W której dowiem się wreszcie, co było moim wampeterem...
- I kto należał do mojego karassu...
- I kto należał do mojego karassu...
- I co dobrego nasz karass zrobił dla Ciebie.
- I co dobrego nasz karass zrobił dla Ciebie.
- Amen.
- Amen.

100. FRANK STACZA SIĘ DO LOCHÓW

Ale "Papa" nie umarł i nie poszedł do nieba; w każdym razie jeszcze nie wtedy.

Spytałem Franka, kiedy będzie najlepiej ogłosić objęcie przeze mnie urzędu prezydenta. Nie otrzymałem od niego żadnej pomocy, nie miał żadnych pomysłów, wszystko było na mojej głowie.

- Sądziłem, że mogę liczyć na pańską pomoc - powiedziałem z wyrzutem.

- We wszystkim, co ma związek z techniką. - Frank był w tej sprawie bardzo skrupulatny. Chciał, abym traktował go wyłącznie jako technika i nie zmuszał go do przekraczania jego kompetencji.

- Rozumiem.

- We wszystkim, co dotyczy ludzi, ma pan wolną rękę. To należy do pana obowiązków.

To stanowcze odcięcie się od wszelkich spraw ludzkich rozgniewało mnie, spytałem go więc z ironią:

- Czy może mi pan w takim razie zdradzić, co jest planowane na ten uroczysty dzień ze spraw czysto technicznych?

- Naprawa elektrowni i organizacja pokazów lotniczych - brzmiała czysto techniczna odpowiedź.

- Wspaniale! W ten sposób moim pierwszym sukcesem jako prezydenta będzie przywrócenie mojemu ludowi elektryczności.

Frank nie dostrzegł w tym nic zabawnego i zasalutował mi.

- Postaram się, panie prezydencie. Zrobię wszystko, co będę mógł. Nie mogę powiedzieć dokładnie, kiedy energia znowu popłynie.

- Chcę, aby ten kraj dyszał energią.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - zasalutował znowu Frank.

- A te pokazy lotnicze? - spytałem. - Co to ma być?

Znowu otrzymałem sztywną odpowiedź.

- O pierwszej po południu, panie prezydencie, sześć samolotów naszych sił zbrojnych przeleci nad pałacem i ostrzela cele znajdujące się na morzu. Jest to fragment obchodów Dnia Stu Męczenników za Demokrację. Potem ambasador Stanów Zjednoczonych planuje wrzucenie wieńca do morza.

Ustaliłem więc wstępnie, że Frank ogłosi moją apoteozę bezpośrednio po pokazach lotniczych i ceremonii z wieńcem.

- Co pan o tym sądzi? - spytałem Franka.

- Pan jest tu szefem.

- Myślę, że muszę przygotować sobie przemówienie.

I trzeba zorganizować jakieś zaprzysiężenie, żeby rzecz wyglądała uroczyście i oficjalnie.

- Pan jest tu szefem. - Za każdym razem Frank wypowiadał te słowa z większym dystansem, tak jakby schodził po szczeblach drabiny do głębokiej studni, podczas gdy ja pozostawałem na górze.

Wówczas uświadomiłem sobie ze złością, że moja zgoda na zostanie szefem pozwalała Frankowi robić to, na co miał ochotę, robić to, co robił jego ojciec: gromadzić zaszczyty i czerpać zadowolenie z życia, nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności. Osiągał ten swój cel, staczając się w sensie duchowym do lochów.

101. ŚLADEM POPRZEDNIKÓW WYJMUJĘ BOKONONA SPOD PRAWA

Pisałem swoje przemówienie w okrągłej nagiej sali, mieszczącej się na parterze baszty.

Znajdował się tam jedynie stół i krzesło. Moje przemówienie również było okrągłe, nagie i ńędznie umeblowane.

Było pełne najlepszych nadziei i skromności.

Zrozumiałem też, że nie potrafię obyć się bez pomocy Boga. Nigdy dotychczas nie odczuwałem potrzeby takiego oparcia i dlatego nie wierzyłem w jego istnienie.

Teraz zrozumiałem, że muszę uwierzyć i... uwierzyłem.

Potrzebowałem także pomocy ze strony ludzi. Poprosiłem o listę zaproszonych gości i stwierdziłem, że nie ma wśród nich Juliana Castle i jego syna. Wysłałem do nich natychmiast gońców z zaproszeniami, gdyż ci dwaj wiedzieli o moim narodzie więcej niż wszyscy inni ludzie z wyjątkiem Bokonona.

Co zaś do Bokonona, to rozważałem możliwość zaproszenia go do udziału w rządzie, rozpoczynając coś w rodzaju złotego wieku na San Lorenzo. Chciałem też zarządzić natychmiastowe usunięcie, wśród radości tłumów, przerażającego haka sprzed bramy zamku.

Zaraz jednak uświadomiłem sobie, że złoty wiek musi zaofiarować coś więcej niż jednego świętego w rządzie, że trzeba dać wszystkim dużo dobrych rzeczy do jedzenia, piękne mieszkania, dobre szkoły, rozrywkę i pracę - rzeczy, których ani Bokonon, ani ja nie mogliśmy ludziom zapewnić.

Tak więc dobro i zło musiały nadal pozostać rozdzielone; dobro w dżungli, a zło w pałacu. Była to jedyna rozrywka, jaką mogliśmy zapewnić ludowi.

Rozległo się pukanie do drzwi. To służący przyszedł mi powiedzieć, że zaczęli przybywać goście.

Wsunąłem swoje przemówienie do kieszeni i ruszyłem w górę kręconymi schodami. Ze szczytu najwyższej wieży mojego zamku objąłem wzrokiem moich gości, moją służbę, moją skałę i moje ciepłe morze.

102. WROGOWIE WOLNOŚCI

Kiedy myślę o wszystkich tych ludziach, przychodzi mi na myśl Calypso Sto Dziewiętnaste, w którym Bokonon zaprasza nas, abyśmy zaśpiewali z nim razem:

*Gdzie są moi dawni, zacni kumple?
Pytał pewien stary, smutny człowiek.
Więc podszedłem i szepnąłem mu na ucho:
Twoi dawni, zacni kumple poszli sobie.*

Wśród obecnych byli ambasador Horlick Minton z małżonką, H. Lowe Crosby, fabrykant rowerów, ze swoją Hazel, doktor Julian Castle, humanitarysta i filantrop, jego syn literat i hotelarz, mały Newton Hoenikker, malarz, i jego muzykalna siostra Angela Conners, moja boska Mona, generał major Franklin Hoenikker oraz około dwudziestu miejscowych wyższych urzędników i wojskowych.

Nie żyją... prawie wszyscy z nich już dziś nie żyją.

Jak powiada Bokonon: "Nigdy nie zaszkodzi się pożegnać."

Na moich murach urządzono bufet uginający się pod ciężarem miejscowych przysmaków: małych pieczonych ptaszków, ozdobionych ich własnymi turkusowymi piórkami; lawendowych krabów, posiekanych, usmażonych w oleju kokosowym i włożonych z powrotem do skorupki; palczaków barakudy faszerowanych pastą bananową oraz kostek gotowanego mięsa albatrosa na praśnych waflach z kukurydzianej mąki.

Albatros, jak mi powiedziano, został zestrzelony z tej samej blanki, na której stoi bufet.

Podawano dwa napoje, oba bez lodu: Pepsi-Colę i krajowy rum. Pepsi-Colę w plastikowych kufkach, rum w skorupkach orzechów kokosowych. Nie potrafiłem określić dokładnie słodkawego zapachu rumu, który przypominał mi nie wiadomo dlaczego chłopięce lata.

Frank pomógł mi zidentyfikować zapach. - Aceton - powiedział.

- Aceton?

- Używany do kleju do modeli samolotów.

Nie piłem tego rumu.

Ambasador Minton co chwilę wznosił swój kokos gestem dyplomaty i smakosza, udając, że kocha wszystkich ludzi i wszystkie pijane przez nich trunki. Nie widziałem jednak, żeby pił. Nawiasem mówiąc miał przy sobie dziwnego kształtu przedmiot. Przypominało to futerał od waltorni, ale jak się okazało, zawierał on wieniec, który miał być wrzucony w morze.

Jedyną osobą pijącą ten rum był H. Lowe Crosby, który był widocznie pozbawiony węchu. Bawił się on w najlepsze, pił aceton ze skorupy orzecha kokosowego, siedział na armacie przykrywając swoim wielkim tyłkiem otwór zapłonowy i patrzył na morze przez wielką japońską lornetę. Oglądał cele zmontowane na tratwach, zakotwiczonych w pewnej odległości od brzegu.

Były to wycięte z tektury postacie ludzi.

Miały one zostać ostrzelane i zbombardowane podczas demonstracji potęgi sześciu samolotów, składających się na Wojska Lotnicze San Lorenzo.

Każdy z tych celów stanowił karykaturę jakiejś rzeczywistej postaci i nazwiska tych postaci były wymalowane po obu stronach figur.

Spytałem, kto jest autorem karykatur, i dowiedziałem się, że malował je wielebny doktor Vox Humana, który właśnie stał koło mnie.

- Nie wiedziałem, że ma pan tak wszechstronne zdolności.
- Tak. Jako młody człowiek miałem problem z wyborem drogi życiowej.
- Myślę, że dokonał pan słusznego wyboru.
- Modliłem się o natchnienie od Boga.
- Widocznie je pan otrzymał.

H. Lowe Crosby przekazał lornetę żonie.

- Ten najbliższy to stary poczciwy generalissimus.

- A tam jest stary poczciwy Hitler - zaśmiała się uradowana Hazel. - I Mussolini, i jakiś stary poczciwy samuraj.

- I stary poczciwy kajzer Wiluś w pikelhaubie - gruchała Hazel. - Nigdy nie przypuszczałam, że go jeszcze kiedyś zobaczę.

- Ale zaraz dostanie! - cieszyła się Hazel. - To dopiero będzie dla niego niespodzianka! Bardzo zabawny pomysł.

- Zgromadzili tam prawie wszystkich wrogów wolności - oświadczył H. Lowe Crosby.

103. OPINIA LEKARSKA NA TEMAT SKUTKÓW STRAJKU PISARZY

Nikt spośród gości nie wiedział jeszcze, że to ja mam zostać prezydentem. Nikt nie wiedział, jak bliski śmierci jest "Papa". Frank oświadczył oficjalnie, że "Papa" czuje się dobrze i przesyła wszystkim najlepsze pozdrowienia.

Potem ogłosił porządek uroczystości, z którego wynikało, że najpierw ambasador Minton wrzuci do morza wieniec ku czci stu męczenników, następnie odbędą się ćwiczenia w strzelaniu do pływających celów, a na końcu zabierze głos Frank.

Nie wspomniał nic na temat tego, że po nim przemówię ja.

Tak więc traktowano mnie po prostu jak zagranicznego dziennikarza i mogłem zająć się nieszkodliwym małym granfaloniarstwem.

- Dzień dobry, mam! - powitałem Hazel Crosby.

- O, toż to mój chłopiec! - zawołała Hazel, biorąc mnie w swoje naperfumowane objęcia i zwracając się do wszystkich wyjaśniła, że pochodzę z Indiany.

Ojciec i syn Castle'owie trzymali się osobno od reszty towarzystwa. Od dawna nie przyjmowani w pałacu, byli teraz zaintrygowani tym, że nagle ich zaproszono.

Młody Castle nazwał mnie "Bombą".

- Dzień dobry, panie "Bomba". Co nowego u artystów słowa?

- Równie dobrze mógłbym ja spytać o to pana.

- Planuję ogłoszenie powszechnego strajku pisarzy do czasu, aż ludzkość odzyska zmysły.

Przystępuje pan?

- A czy pisarze mają prawo strajkować? To tak jakby strajkowali policjanci albo strażacy.

- Albo profesorowie wyższych uczelni.

- Albo profesorowie wyższych uczelni - zgodziłem się. Potrząsnąłem głową. - Nie, sumienie nie pozwala mi brać udziału w takim strajku. Uważam, że człowiek zostając pisarzem zobowiązuje się tym samym uroczystie, że będzie dostarczać ludziom piękna, mądrości i pociechy z maksymalną wydajnością.

- Nęci mnie myśl, żeby zobaczyć, jakim wstrząsem byłoby dla ludzi, gdyby nagle przestały powstawać nowe książki, sztuki, historie, poematy...

- I jaką satysfakcję miałyby pan z tego, gdyby ludzie zaczęli nagle mrzeć jak muchy?

- Myślę, że raczej zdychaliby jak wściekłe psy, warcząc, skacząc sobie do gardła i kęsając własne ogony.

- Proszę pana, jak umiera człowiek pozbawiony pociechy literatury? - zwróciłem się do Castle'a seniora.

- Są dwie możliwości - odpowiedział. - Marskość serca albo zanik systemu nerwowego.

- Obie niezbyt przyjemne, jak sądzę - zauważyłem.

- To prawda - powiedział Castle senior. - Dlatego też, na litość boską, błagam was, piszcie nadal!

104. SULFATIAZOL

Moja niebiańska Mona nie podchodziła do mnie ani nie posyłała mi omdlewających spojrzeń. Pełniła obowiązki gospodyni, przedstawiając Angelę i małego Newta miejscowej śmietance towarzyskiej.

Kiedy teraz zastanawiam się nad tą dziewczyną - przypominam sobie jej obojętność na chorobę "Papy" i na nasze zaręczyny - waham się pomiędzy najbardziej sprzecznymi ocenami.

Czy reprezentowała szczyt kobiecego uduchowienia?

Czy też może była dziewczyną nieczułą, zimną, frygidą, krótko mówiąc, zbzikowaną na punkcie gry na ksylofonie, kultu ciała i boko-maru?

Nigdy tego nie będę wiedział.

Jak powiada Bokonon:

*Łgarzem jest każdy kochanek,
Bo okłamuje sam siebie.
Prawdomówni miłości nie znają,
Jak ostrygi zimne oczy mają.*

Wniosek stąd dla mnie oczywisty: mam pamiętać moją Monę jako istotę doskonałą.

- Czy rozmawiał pan dzisiaj ze swoim przyjacielem i wielbicielem Crosby? - zwróciłem się do młodego Filipa Castle w Dniu Stu Męczenników za Demokrację.

- Nie poznał mnie w garniturze, butach i krawacie - odpowiedział młody Castle. - O odbyliśmy miłą pogawędkę na temat rowerów. Możliwe, że porozmawiamy jeszcze.

Stwierdziłem, że pomysł Crosby'ego, aby produkować rowery na San Lorenzo, przestał mnie nagle śmieszyć. Jako szefowi rządu bardzo mi zależało na fabryce rowerów. Poczulem gwałtownie szacunek dla osoby Crosby'ego i dla tego, co on mógł zdziałać.

- Jak, według panów, ludność San Lorenzo ustosunkuje się do uprzemysłowienia kraju? - spytałem obu Castle'ów, ojca i syna.

- Ludność San Lorenzo - odpowiedział ojciec - interesuje się tylko trzema rzeczami: łowieniem ryb, kopulacją i bokononizmem.

- Czy nie sądzi pan, że mogą być też zainteresowani postępem?

- Już go co nieco zaznali. Jest tylko jeden aspekt postępu, który naprawdę do nich przemawia.

- Cóż to takiego?

- Gitara elektryczna.

Przeprosiłem i podszedłem do Crosbych.

Frank Hoenikker wyjaśniał im właśnie, kto to jest Bokonon i przeciwko czemu występuje. - On jest przeciwnikiem nauki - mówił.

- Nie rozumiem, jak człowiek normalny może być przeciwnikiem nauki? - spytał Crosby.

- Gdyby nie penicylina, już bym dawno nie żyła - wtrąciła Hazel. - I moja matka tak samo.

- Ile lat ma pani matka? - zaciekałem się.

- Sto sześć. Piękny wiek, prawda?

- Niewątpliwie - zgodziłem się.

- Byłabym także wdową, gdyby nie lekarstwo, które uratowało życie memu mężowi. - Hazel musiała spytać męża o nazwę lekarstwa. - Kochanie, jak się nazywało lekarstwo, które ci wtedy uratowało życie?

- Sulfatiazol.

I wtedy popełniłem błąd, biorąc z tacy kanapkę z albatrosem.

105. ŚRODEK ZNIECZULAJĄCY

Jak się okazało - jak się musiało okazać, powiedziałaby Bokonon - mięso albatrosa wyjątkowo mi nie służy. Byłem chory, zanim jeszcze przełknąłem pierwszy kęs, i musiałem zbiec krętymi kamiennymi schodami w poszukiwaniu łazienki. Wpadłem do tej, która przylegała do pokojów "Papy".

Kiedy wychodziłem stamtąd, osłabiony, ale z uczuciem ulgi, zderzył się ze mną doktor Schlichter von Koenigswald, wybiegający z sypialni "Papy". Spojrzał na mnie dzikim wzrokiem i potrząsając mną zawołał:

- Co to było? Co on nosił na szyi?

- Słucham?

- On to połknął! Połknął to, co było w wisiorku, i nie żyje.

Przypomniałem sobie wisiorek, jaki "Papa" miał na szyi, i wysunąłem najbardziej prawdopodobne przypuszczenie. - Może cyjanek?

- Cyjanek? Czy po zażyciu cyjanku człowiek w ciągu sekundy zamienia się w beton?

- Jak to w beton?

- W marmur! Żelazo! Nigdy w życiu nie widziałem tak sztywnego trupa. Jak się go stuknie, wydaje odgłos niczym marimba! Niech pan zobaczy!

Von Koenigswald zaciągnął mnie do pokoju "Papy".

W łóżku, w złotej szalupie, leżało coś strasznego. "Papa" nie żył, ale jego widok nie kojarzył się wcale z "wiecznym odpoczywaniem".

Głowa "Papy" była odrzucona do tyłu. Całe ciało opierało się tylko na czubku głowy i na stopach, tworząc łuk wycelowany w sufit.

To, że umarł na skutek zażycia zawartości swego amuletu, nie ulegało wątpliwości. W jednej ręce zaciskał otwarte naczynie, zaś wskazujący palec i kciuk drugiej ręki zastygły między zębami, jakby przed chwilą wypuściły szczyptę jakiejś substancji.

Doktor von Koenigswald wyjął dulkę z gniazda w burcie złotej szalupy i postukał nią po brzuchu "Papy". "Papa" rzeczywiście wydawał dźwięk podobny do głosu marimby.

Usta, nos i oczy "Papy" pokrywał błękitnobiały szron.

Podobne objawy, Bóg mi świadkiem, teraz nikogo już nie dziwią. Ale wtedy były czymś nowym. "Papa" Monzano był pierwszym w historii człowiekiem, który zmarł na skutek zetknięcia z lodem-9.

Notuję ten fakt, choć nie wiem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. "Zapisujcie wszystko", powiada Bokonon. Chce nam, oczywiście, powiedzieć, że wszelkie pisanie i czytanie historii jest stratą czasu. "Bo jakże można oczekiwać, że mężczyźni i kobiety nie popełnią poważnych błędów w przyszłości, jeśli nie będą mieć szczegółowych danych z przeszłości?" - zapytuje z ironią.

Tak więc powtarzam: "Papa" Monzano był pierwszym w historii człowiekiem, który zmarł na skutek zetknięcia z lodem-9.

106. CO MÓWIĄ BOKONONISCI, KIEDY POPEŁNIAJĄ SAMOBÓJSTWO

Doktor von Koenigswald, z ogromnym oświęcimskim deficytem w swoim rachunku dobrych uczynków, był drugą ofiarą lodu-9.

Mówił właśnie na temat stężenia pośmiertnego.

- *Rigor mortis* nie następuje w ciągu kilku sekund - wyjaśniał. - Odwróciłem się od "Papy" dosłownie na chwilę. Bredził...

- Co mówił?

- O bólu, lodzie, Monie... różne rzeczy. I nagle powiedział: "Teraz zniszczę cały świat."

- Co chciał przez to powiedzieć?

- To jest formułka, jaką bokononiści wypowiadają, kiedy popełniają samobójstwo.

Von Koenigswald podszedł do miednicy z wodą, aby umyć ręce.

- Kiedy znowu spojrzałem na niego - mówił doktor z rękami nad miednicą - już nie żył i był sztywny jak posąg, tak jak pan go teraz widzi. Dotknąłem palcami jego warg. Było w nich coś dziwnego.

Zanurzył ręce w wodzie.

- Ciekawe, jaka substancja... - pytanie zawisło w powietrzu.

Von Koenigswald podniósł ręce i woda z miednicy uniosła się wraz z nimi. Nie była to już woda, lecz półkula lodu-9.

Doktor dotknął końcem języka błękitnobiałej tajemnicy.

Jego wargi pokryły się szronem. W jednej sekundzie zamarł na kamień, zachwiał się i runął.

Błękitnobiała półkula rozbiła się. Odłamki lodu rozsypały się po całej podłodze.

Skoczyłem do drzwi i zacząłem wzywać pomocy.

Zbiegli się żołnierze i służba.

Rozkazałem im sprowadzić natychmiast Franka, Newta i Angelę.

Po raz pierwszy zobaczyłem lód-9.

107. NACIESZCIE SVOJE OCZY!

Wpuściłem trójkę dzieci doktora Feliksa Hoenikkera do sypialni "Papy" Monzano. Zamknąłem drzwi i zagroziłem im drogę odwrotu. Płonąłem szlachetnym oburzeniem. Wiedziałem, co to jest lód-9. Nieraz widziałem go we snach.

Nie było wątpliwości, że "Papa" dostał lód-9 od Franka. I można było sądzić, że skoro Frank rozdawał lód-9, to Angela i mały Newt mogli robić to samo.

Ryknąłem więc na całą trójkę, oskarżając ich o potworną zbrodnię. Powiedziałem im, że wszystko się wydało, że wiem o nich i o lodzie-9. Próbowałem wstrząsnąć nimi, tłumacząc, że lód-9 grozi zagładą wszelkim formom życia na ziemi. Wywarłem, widać, na nich niezłe wrażenie, bo nie przyszło im do głowy spytać mnie, skąd wiem o lodzie-9.

- Macie, nacieszcie swoje oczy! - powiedziałem.

Bokonon powiada: "Bóg nigdy w swoim życiu nie napisał dobrej sztuki." Scena w pokoju "Papy" obfitowała w efektowne rekwizyty i mój wstępny monolog również był udany.

Jednak już pierwsza replika Hoenikkera zepsuła całe wrażenie.

Mały Newt zwymiotował.

108. FRANK MÓWI, CO TRZEBA ZROBIĆ

I wtedy wszystkim nam zrobiło się niedobrze. Newt niewątpliwie znalazł odpowiednią formę wypowiedzi.

- Zgadzam się z panem całkowicie - powiedziałem do Newta i warknąłem do Franka i Angeli: - Zdanie Newta już znamy, chciałbym teraz usłyszeć, co wy macie do powiedzenia.

Angela stała zgięta w pół, zielona, z wywieszonym językiem. - Uck - to była jej jedyna odpowiedź.

- Czy pan jest również tego zdania? - zwróciłem się do Franka. - Generale, czy podpisuje się pan pod tym "Uck"?

Frank wyszczerzył zaciśnięte zęby i kurczowo, ze świstem wciągał powietrze.

- Jak tamten pies - wyjąkał mały Newt, patrząc na Koenigswalda.

- Jaki pies?

Newt odpowiedział prawie bezgłośnym szeptem, ale kamienne ściany dawały taką akustykę, że jego szept rozległ się niczym dźwięk kryształowych dzwonek.

- W Wigilię, kiedy umarł ojciec.

Newt mówił sam do siebie i kiedy poprosiłem go, żeby opowiedział tę historię z psem w dniu śmierci jego ojca, spojrzał na mnie tak, jakbym wdarł się do jego snu. Zignorował mnie całkowicie.

Jednak widocznie brat i siostra występowali w jego koszmarnym śnie, bo powiedział do Franka:

- To ty mu to dałeś. Dlatego dostałeś tę wspaniałą posadę, prawda? Co mu powiedziałeś? Że masz coś lepszego niż bomba wodorowa?

Frank puścił pytanie mimo uszu. Rozglądał się uważnie po pokoju, starając się przemyśleć to, co się zdarzyło. Szczęknął kilkakrotnie zębami, mrugając za każdym razem. Krew wróciła mu do twarzy i powiedział:

- Słuchajcie, musimy uprzątnąć ten bałagan.

109. FRANK SIĘ BRONI

- Generale - zwróciłem się do Franka - było to niewątpliwie jedno z najbardziej sensownych oświadczeń, złożonych przez generała w ostatnim roku. Jak pan, jako mój doradca techniczny, wyobraża sobie to, co pan tak ładnie nazwał "uprzątnięciem tego bałaganu"?

Frank odpowiedział czynem. Pstryknął palcami. Widziałem niemal, jak odcina się od przyczyn tego bałaganu i jak narasta w nim duma człowieka, który oczyszcza, zbawia i robi porządek.

- Szczotki, szufelki, lutlampa, prymus, wiadra - komenderował pstrykając palcami.

- Czy proponuje pan zastosowanie lutlampy także do trupów? - spytałem.

Frank był już całkowicie pochłonięty problemami technicznymi i poruszał się jak w transie, w takt pstryknięć palcami.

- Zmieciemy z podłogi większe kawałki i stopimy je w wiadrze na prymusie. Potem przejedziemy dokładnie całą podłogę lutlampą, na wypadek gdyby zostały jakieś mikroskopijne kryształki. Co zrobimy z ciałami i z łóżkiem... - Tu musiał chwilę pomyśleć.

- Spalimy na stosie! - zawołał, wyraźnie z siebie zadowolony. - Każę zbudować wielki stos przed zamkiem, koło haka. Zaniesiemy tam ciała i spalimy je razem z łóżkiem.

Skierował się do wyjścia, aby wydać rozkazy w sprawie budowy stosu i dostarczenia rzeczy niezbędnych do uprzątnięcia pokoju, ale zagroziła mu droga Angela.

- Jak mogłeś? - spytała.

- Wszystko będzie w porządku - odpowiedział Frank z wymuszonym uśmiechem.

- Jak mogłeś dać to takiemu człowiekowi jak "Papa" Monzano?

- Najpierw uprzątnijmy ten bałagan, a potem porozmawiajmy. Angela schwyciła go za ramiona i potrząsnęła.

- Jak mogłeś? - powtórzyła.

Frank odtrącił jej ręce. Nienaturalny uśmiech znikł z jego twarzy, ustępując miejsca wyrazowi złośliwego szyderstwa, który towarzyszył słowom wypowiedzianym z najwyższą pogardą:

- Kupiłem sobie stanowisko, tam samo jak ty kupiłaś sobie przystojniaka męża, tak samo jak Newton kupił sobie tydzień na przylądku Cod ze swoją liliputką!

Nienaturalny uśmiech wrócił na jego twarz.

Frank wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

110. ROZDZIAŁ CZTERNASTY

"Czasami pul-pa - powiada Bokonon - wykracza poza nasze zdolności pojmowania." W Księdze Bokonona słowo pul-pa raz jest tłumaczone jako "deszcz gówna", a raz jako "gniew boży".

Z tego, co Frank powiedział, zanim trzasnął drzwiami, wynikało, że Republika San Lorenzo i trójka Hoenikkerów nie byli jedynymi posiadaczami lodu-9. Wszystko wskazywało na to, że Stany Zjednoczone Ameryki i Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich miały go również. Stany Zjednoczone zdobyły lód-9 przez męża Angeli i jego zakłady w Indianapolis były niewątpliwie otoczone drutami pod wysokim napięciem i krwiożerczymi owczarkami alzackimi.

Stałem w milczeniu z pochyloną głową i przymkniętymi oczami. Czekałem na powrót Franka ze skromnym sprzętem potrzebnym do uprzątnięcia sypialni - tej jednej jedynej na świecie sypialni zakażonej lodem-9.

Skądś z fioletowej aksamitnej oddali dobiegał mnie głos Angeli. Nie próbowała bronić siebie, broniła małego Newta.

- Newt niczego jej nie dawał. Ona sama ukradła.

Jej wyjaśnienie nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia.

Na co może liczyć ludzkość - myślałem sobie - skoro istnieją tacy ludzie jak Feliks Hoenikker, którzy potrafią dawać takie zabawki jak lód-9 w ręce bezmyślnych dzieci, jakimi są wszyscy prawie mężczyźni i kobiety.

I przypomniałem sobie Rozdział Czternasty Księgi Bokonona, przeczytany w całości poprzedniego wieczora. Rozdział Czternasty jest zatytułowany: *Jaką nadzieję może żywić myślący człowiek co do przyszłości ludzkości, jeśli weźmie pod uwagę doświadczenia ostatniego miliona lat?*

Na przeczytanie Rozdziału Czternastego nie trzeba zbyt wiele czasu. Składa się on z jednego tylko słowa i kropki.

Oto on:

"Żadnej."

111. CHWIŁA ODPOCZYNKU

Frank wrócił z miotłami, szufelkami, lutlampą, prymusem, wiadrem i gumowymi rękawicami.

Włożyliśmy rękawice, aby nie zakazić rąk lodem-9. Frank rozpałił prymus na ksylofonie niebiańskiej Mony i na tym wszystkim ustawił stare pocziwe wiadro.

Zbieraliśmy większe kawałki lodu-9 z podłogi i wrzucaliśmy je do tego skromnego, zwykłego wiadra, gdzie topniały, stając się dobrą, kochaną, uczciwą wodą.

Angela i ja zamiataliśmy podłogę, a mały Newt szukał pod meblami kawałeczków lodu, które mogliśmy przeoczyć. Frank zaś szedł naszym śladem z oczyszczającym płomieniem lutlampy.

Opanowała nas bezmyślna pogoda ducha sprzątaczek i woźnych pracujących na nocną zmianę. W tym rozbabranym świecie robiliśmy porządki przynajmniej w swoim kącie.

Słyszałem samego siebie, wypytującego swobodnym tonem Newta, Angelę i Franka o dzień wigilijny, w którym umarł ich ojciec, i o psa.

A oni, wierząc jak dzieci, że sprzątnięciem wszystko da się naprawić, opowiedzieli mi następującą historię:

W ową fatalną wigilię Bożego Narodzenia Angela udała się do wsi po lampki na choinkę, zaś Newt i Frank poszli na spacer po opustoszałej zimowej plaży, gdzie spotkali czarnego psa wodołaza. Pies był w towarzyskim nastroju, jak wszystkie wodołazy, i poszedł za chłopcami do domu.

W czasie gdy dzieci nie było, Feliks Hoenikker umarł w swoim białym wiklinowym fotelu zwróconym w stronę morza. Przez cały dzień drażnił dzieci aluzjami do lodu-9, pokazując im buteleczkę z etykietką, na której wyrysował czaszkę z pieszczelami i napisał: "Uwaga! Lód-9! Chronić przed wilgocią!"

Przez cały dzień Feliks Hoenikker dręczył dzieci wypowiedzianymi żartobliwym tonem pytaniami w rodzaju: "No, wytężcie trochę mózgownice! Mówiłem wam, że składa się wyłącznie z wodoru i tlenu, a topi się w temperaturze stu czternastu przecinek czterech stopni Fahrenheita. Jak to wyjaśnić? Pomyślcie trochę! Boicie się nadwerężyć swoje mózgi? Nic im nie będzie."

- Stale powtarzał nam, żebyśmy wytężyli mózgownice - powiedział Frank, przywołując wspomnienie dawnych czasów.

- Ja zrezygnowałam z wytężania mózgownicy jeszcze jako dziecko - wyznała Angela, opierając się na miotle. - Kiedy zaczynał mówić o nauce, natychmiast przestawałam go słuchać. Kiwałam tylko głową i udawałam, że próbuję wytężyć mózgownicę, ale moja biedna mózgownica przy zetknięciu z nauką traciła wszelką elastyczność niczym stary pasek do pończoch.

Z dalszej opowieści Angeli wynikało, że Feliks Hoenikker, zanim zasiadł w swoim wiklinowym fotelu i umarł, bawił się w kuchni wodą, garnkami, patelniami i lodem-9. Musiał widocznie przekształcać wodę w lód-9 w tę i z powrotem, bo powyciągał wszystkie garnki i patelnie, jakie tylko były. Termometr też leżał na wierzchu - pewnie mierzył temperaturę różnych rzeczy.

Stary Hoenikker miał widocznie zamiar odpocząć w swoim fotelu tylko przez chwilę, bo zostawił w kuchni straszny bałagan. Częścią tego bałaganu była patelnia wypełniona lodem-9. Bez wątplenia Hoenikker miał zamiar stopić go, zmniejszając z powrotem światowe zasoby błękitnobiałej substancji do kilku okruchów przechowywanych w buteleczce. Chciał to zrobić po chwili odpoczynku.

Ale, jak powiada Bokonon: "Każdy człowiek może sobie odpocząć, ale nikt nie wie, jak długo będzie odpoczywać."

112. TOREBKA MATKI

- Powinnam się domyślić, że on nie żyje, jak tylko weszłam - mówiła Angela znowu opierając się na miotle - bo jego wiklinowy fotel nie wydawał żadnego dźwięku. Zawsze skrzypiał i trzeszczał, kiedy ojciec w nim siedział, nawet jeśli spał.

Angela uznała jednak, że ojciec śpi, i poszła ubierać choinkę.

Newt i Frank wrócili z wodołazem i poszli do kuchni, poszukać jakiegoś jedzenia dla psa. Znaleźli tam kałuże pozostawiane przez ojca.

Newt wziął szmatę i wytarł wodę z podłogi. Mokłą szmatę rzucił na blat jednego ze stołów.

Tak się złożyło, że szmata upadła na patelnię z lodem-9.

Frank myślał, że na patelni jest jakiś krem do tortu, i podsunął ją pod nos bratu, żeby mu pokazać, co narobił, rzucając szmatę.

Newt oderwał szmatę od powierzchni lodu i stwierdził, że ścierka nabrała dziwnych, metalicznych, węzowych właściwości, jakby była spleciona z cieniutkich złotych drucików.

- Wspomniałem o złotych drucikach - wyjaśnił Newton w sypialni "Papy" - ponieważ ta ścierka przypominała w dotyku torebkę mamy.

Angela ze wzruszeniem dodała, że Newt jako dziecko, przechowywał wśród swoich skarbów torebkę matki. Domyśliłem się, że była to mała torebka wieczorowa.

- Była jakaś dziwna w dotyku, nie przypominała żadnej znanej mi rzeczy - mówił Newt, przywołując w pamięci dawne przywiązanie do matczynej torebki. - Ciekawe, co się z nią stało.

- Ciekawe, co się stało z całą masą innych rzeczy - powiedziała Angela. Jej pytanie zawisło w pustce, żałosne i bezradne.

W każdym razie historia ścierki, która przypominała w dotyku torebkę, skończyła się tak, że Newt pokazał ją psu, a pies ją polizał. I natychmiast zeszywniał.

Newt pobiegł powiedzieć o tym ojcu i stwierdził, że ojciec również jest sztywny.

113. HISTORIA

Porządki w sypialni "Papy" nareszcie dobiegły końca.

Należało jednak zrobić coś jeszcze z ciałami. Uznaliśmy, że trzeba to przeprowadzić z należytą pompą po uroczystościach ku czci Stu Męczenników.

Na zakończenie postawiliśmy von Koenigswalda na nogi, aby oczyścić miejsce, na którym leżał, po czym wstawiliśmy go do szafy z ubraniami "Papy".

Nie bardzo wiem, dlaczego go tam schowaliśmy. Myślę, że chodziło nam o uproszczenie sytuacji.

Co zaś do relacji Newta, Angeli i Franka o tym, jak owego wigilijnego wieczoru podzielili światowe zasoby lodu-9, to stawała się ona coraz mętniejsza, w miarę jak dochodziło do szczegółów zbrodni. Hoenikkerowie nie potrafili przytoczyć żadnych argumentów usprawiedliwiających potraktowanie lodu-9 jako ich prywatnej własności. Mówili o tym, co to jest lód-9, o tym, jak ojciec zmuszał ich do wytężania mózgowicy, ale nikt nie wspomniał o moralności.

- Kto dokonał podziału? - nalegałem.

Pamięć o tamtych wydarzeniach tak dokładnie została wymazana z pamięci trojga Hoenikkerów, że mieli trudności z przypomnieniem sobie najważniejszych szczegółów.

- W każdym razie nie Newt - powiedziała Angela. - Tego jestem pewna.

- To musiałaś być ty albo ja - zastanawiał się Frank, myśląc głośno.

- Ty zdjęłaś z półki trzy słoiki - powiedziała Angela. - Dopiero następnego dnia kupiliśmy trzy małe termosy.

- Tak było - zgodził się Frank. - A ty wzięłaś młotek i rozbiłaś lód na patelni.

- Zgadza się - powiedziała Angela. - Tak było. A potem ktoś przyniósł z łazienki pincetkę. Newt podniósł swoją małą rączkę.

- To ja.

Angela i Frank ze zdumieniem przypomnieli sobie ten dowód przedsiębiorczości małego Newta.

- To ja pozbierałem kawałki lodu i wrzuciłem je do słoików - wspominał Newt, nie usiłując ukryć dumy.

- A co zrobiliście z psem? - spytałem z rezygnacją.

- Wrzuciliśmy go do pieca - odpowiedział Frank. - Było to najmądrzejsze, co mogliśmy zrobić.

"Historia! - powiada Bokonon. - Tylko czytać i płakać!"

114. GDY POCZUŁEM, ŻE POCISK PRZESZYWA MI SERCE

Tak więc powtórnie wspiałem się po krętych schodach, powtórnie stanąłem na szczycie najwyższej baszty mego zamku i powtórnie spojrzałem na moich gości, moją służbę, moje urwisko i moje ciepłe morze.

Towarzyszili mi Hoenikkerowie. Zamknęliśmy drzwi do pokoju "Papy" i rozpuściliśmy wśród służby wiadomość, że chory czuje się znacznie lepiej.

Żołnierze wznosili już stos pogrzebowy na dworze, koło haka. Nie wiedzieli jeszcze, po co jest ten stos.

Był to dzień pełen sekretów.

Tak kręci się ten świat.

Uznałem, że uroczystości mogą się rozpocząć, i powiedziałem Frankowi, żeby zasugerował ambasadorowi Mintonowi rozpoczęcie przemówienia.

Ambasador Minton z wieńcem w futerale podszedł do kamiennego parapetu w miejscu, gdzie mury opadały pionowo w morze, i wygłosił zadziwiające przemówienie ku czci Stu Męczenników za Demokrację. Oddał cześć poległym, ich ojczyźnie i życiu, które skończyło się dla nich przedwcześnie, wymawiając słowa "Stu Męczenników za Demokrację" w miejscowym dialekcie. Zabrzmiało to w jego ustach naturalnie i lekko.

Resztę przemówienia wygłosił amerykańską angielszczyzną. Miał przygotowaną mowę na kartce - zapewne napuszoną i bombastyczną, ale kiedy zobaczył, że ma przemawiać do tak szczupłego grona osób, i to głównie Amerykanów, zrezygnował z oficjalnego tekstu.

Lekki wiatr od morza targał jego przeredzone włosy.

- Zrobię rzecz bardzo dziwną jak na ambasadora - oświadczył. - Powiem to, co naprawdę myślę.

Może Minton nawdychał się zbyt dużo acetonu albo może miał przecucie tego, co wkrótce stanie się ze wszystkimi oprócz mnie. W każdym razie jego przemówienie było bardzo bokononistyczne.

- Zebraliśmy się tutaj, przyjaciele - mówił - aby uczcić stu mecenikuf sa temokracje, zabite dzieci, wszystkich poległych, wszystkich zamordowanych na wojnie. Zazwyczaj przy podobnych okazjach nazywa się dzieci, które straciły życie, mężczyznami. Ja nie potrafię jednak myśleć o nich jako o mężczyznach z tej prostej przyczyny, że w tej samej wojnie, w której zginęło stu mecenikuf sa temokracje, zginął również mój syn.

Serce nakazuje mi opłakiwać moje dziecko, a nie mężczyznę.

Nie mówię, że dzieci na wojnie nie umierają jak mężczyźni, kiedy im przyjdzie umierać. Ku swojej wiecznej chwale i ku naszej wiecznej hańbie dzieci umierają, jak przystało mężczyznom, umożliwiając nam w ten sposób męskie świętowanie patriotycznych uroczystości.

Ale nie zmienia to faktu, że są zamordowanymi dziećmi.

I dlatego myślę, że najlepszą formą okazania naszego szczerego szacunku stu poległym dzieciom San Lorenzo będzie zademonstrowanie w tym dniu naszej pogardy temu, co stało się przyczyną ich śmierci, czyli ludzkiej złości i głupocie.

Możliwe, że obchodząc rocznice wojen powinniśmy rozbierać się do naga, malować się na niebiesko i przez cały dzień chodzić na czworakach, chrząkając jak świnie. Byłoby to na pewno właściwsze niż wzniosłe przemówienia oraz defilady sztandarów i dobrze naoliwionych armat.

Nie chciałbym występować przeciwko pięknemu pokazowi wojskowemu, jaki mamy wkrótce obejrzeć - będzie to niewątpliwie porywające widowisko...

Zajrzał nam w oczy i dodał bardzo cicho:

- Niech żyją wszelkie porywające widowiska.

Musieliśmy wyteńczyć słuch, aby usłyszeć, co Minton mówi dalej.

- Ale jeśli dzisiejszy dzień ma być rzeczywiście poświęcony pamięci stu dzieci zamordowanych na wojnie, to czy wypada organizować w tym dniu porywające widowiska?

Odpowiedź brzmi: tak, pod jednym warunkiem: że my, uczestnicy uroczystości, świadomie i niezmordowanie będziemy pracować nad zmniejszeniem ilości zła i głupoty w nas samych i w całej ludzkości. Tu Minton odpiął zatrzaski futerału z wieńcem.

- Widzicie, co przyniosłem? - zwrócił się do nas.

Otworzył futerał, ukazując naszym oczom jego szkarłatne wnętrze i złożony wieniec. Był on zrobiony z drutów i sztucznych liści wawrzynu, a następnie spryskany lakierem do kaloryferów.

Wieniec oplatała kremowa jedwabna wstęga z napisem PRO PATRIA.

Następnie Minton zadeklamował fragment ze zbioru *Umarli ze Spoon River* Edgara Lee Mastersa. Wiersz ten musiał być niezrozumiały dla zgromadzonych przedstawicieli ludności wyspy, podobnie zresztą jak dla H. Lowe'a Crosby'ego, jego Hazel, Angeli i Franka.

Byłem pierwszą ofiarą bitwy pod Missionary Ridge.

Gdy poczułem, że pocisk przeszywa mi serce,

Żałowałem, że nie zostałem w domu, nie poszedłem

Do więzienia za kradzież świń Curla Trenary,

Zamiast uciekać i zaciągać się do armii

Wolałbym tysiąc razy stanowe więzienie,

Nie leżeć pod tą skrzydlatą figurą z marmuru,

Pod tym cokołem granitowym

Dźwigającym słowa "Pro patria".

Cóż właściwie one znaczą?

- Cóż one znaczą? - powtórzył ambasador Horlick Minton. - Znaczą one "Za ojczyznę". Za każdą ojczyznę - dorzucił półgłosem.

- Ten wieniec jest wyrazem hołdu ludzi jednego kraju, dla ludzi drugiego kraju. Nieważne, co to za kraje. Pomyślcie o ludziach.

I o dzieciach zamordowanych na wojnie...

I o wszystkich krajach.

Pomyślcie o pokoju.

Pomyślcie o braterskiej miłości.

Pomyślcie o dobrobycie.

Pomyślcie, jakim rajem mógłby być nasz świat, gdyby ludzie byli dobrzy i mądrzy.

Mimo jednak całego zła i głupoty, spójrzcie, jaki dziś piękny dzień - powiedział ambasador Horlick Minton. - Ja, w imieniu miłującego pokój narodu Stanów Zjednoczonych Ameryki i w swoim własnym, wyrażam żal, że Stu Mecenikuf sa Temokracje nie dożyło tego pięknego dnia.

I rzucił wieniec do morza.

W górze rozległo się brzęczenie. To zbliżało się sześć samolotów Sił Powietrznych San Lorenzo, lecąc nad moim ciepłym morzem. Miały strzelać do figur, przedstawiających, jak się wyraził H. Lowe Crosby, "prawie wszystkich wrogów wolności w komplecie".

115. JAK TO SIĘ ZDARZYŁO

Podeszliśmy do blanków od strony morza, aby zobaczyć pokazy. Samoloty były nie większe od ziarenek czarnego pieprzu. Dostrzegliśmy je dzięki temu, że za jednym z nich ciągnął się ogon czarnego dymu.

Przypuszczaliśmy, że jest to częścią programu.

Stałem obok H. Lowe'a Crosby'ego, który - jak się złożyło - popijał kanapki z albatrosa miejscowym rumem. Wydychał opary crystal-cementu wargami lśniącymi od tłuszczu albatrosa. Poczulem nawrót mdłości i oddaliłem się.

Przeszedłem na przeciwległą stronę dziedzińca, aby zaczerpnąć powietrza. Od reszty towarzystwa dzieliło mnie teraz sześćdziesiąt stóp brukowanego dziedzińca.

Zobaczyłem nisko nadlatujące samoloty i pomyślałem, że niczego stąd nie zobaczę. Jednak mdłości stłumiły moją ciekawość. Zwróciłem głowę w stronę, skąd nadlatywały z rykiem motorów. W momencie, kiedy zagrały ich karabiny maszynowe, jeden z samolotów, ten, za którym ciągnął się dym, ukazał się nagle do góry brzuchem, cały w płomieniach.

Natychmiast znowu zniknął mi z pola widzenia i wrył się w urwisko poniżej zamku. Jego bomby i zbiorniki paliwa eksplodowały.

- Pozostałe samoloty oddalały się i hałas ich silników zmienił się w brzęczenie komara.

I wtedy rozległ się huk pękającej skały i jedna z wielkich wieżyc zamku "Papy" runęła do morza.

Ludzie stojący na murach od strony morza ze zdumieniem wpatrywali się w wyrwę ziejącą tam, gdzie przed chwilą stała baszta. W tym momencie usłyszałem nowy odgłos pękających skał, serię huków o różnej wysokości tonu, układających się jakby w melodię.

Melodia była bardzo szybka i zaraz włączyły się do niej nowe głosy. To belki zamku skarżyły się, że muszą dźwigać ciężar ponad siły.

Nagle dziedziniec przecięła z szybkością błyskawicy rysa przebiegająca w odległości dziesięciu stóp od czubków moich butów.

Zostałem oddzielony nią od reszty towarzystwa.

Zamek jęczał i zawodził.

Tamci zrozumieli niebezpieczeństwo. Wraz z tonami kamieni odrywali się i mieli spaść w morze. Mimo że szczelina miała dopiero stopę szerokości, przesadzali ją rozpaczliwymi skokami.

Jedynie moja pogodna Mona przekroczyła rysę zwykłym krokiem.

Szczelina zatrzasnęła się i natychmiast znowu rozwarła swoją żarłoczną paszczę. W śmiertelnej pułapce znajdowali się jeszcze H. Lowe Crosby ze swoją Hazel oraz Mintonowie.

Filip Castle, Frank i ja przeciągnęliśmy ponad przepaścią Crosbych i z kolei wyciągnęliśmy ręce do Mintonów.

Z ich twarzy niczego nie można było wyczytać. Mogę się tylko domyślać, co działo się w ich głowach. Przypuszczam, że w tym momencie myśleli o godności, o zachowaniu należytego umiaru.

Panika nie była w ich stylu. Sądzę, że samobójstwo również nie było w ich stylu, ale faktem jest, że swoje dobre wychowanie przypłacili życiem, gdyż nagle podcięta część skały i zamku odjechała od nas jak transatlantyk odbijający od nabrzeża.

Odjeżdżający Mintonowie musieli mieć to samo skojarzenie, gdyż pomachali nam przyjaźnie na pożegnanie.

Potem wzięli się za ręce.

Zwrócili się twarzami do morza.

Odjechali, potem runęli w dół z wielkim hukiem, i już ich nie było!

116. POTĘŻNE WESTCHNIENIE

Postrzępiony skraj nicości ział teraz w odległości kilku zaledwie cali od moich ścierpłych stóp. Spojrzałem w dół. Moje ciepłe morze pochłonęło wszystko. Jedynym śladem tego, co tam znikło, był obłok kurzu leniwie oddalający się od brzegu.

Pałac, pozbawiony swojej maski od strony morza, wyszczerzył się na północ w szczerbatym uśmiechu trędownatego. Postrzępione końce belek i desek sterczały jak szczecina. Tuż pod moimi stopami otworzył się obszerny pokój. Jego niczym nie podtrzymywana podłoga sterczała nad wodą jak trampolina.

Przemknęła mi przez głowę myśl, żeby skoczyć na tę trampolinę, odbić się od niej i poszybować zapierającą dech w piersiach jaskółką, a potem złożyć ramiona i wpaść bez plusku w ciepłą jak krew wieczność.

Wyrwał mnie z tych marzeń krzyk ptaka przelatującego tuż nad moją głową. Wołał "Piti-fiit?", jakby pytając, co się tu stało.

Spojrzeliliśmy wszyscy na ptaka, a potem na siebie i przerażeni odsunęliśmy się od przepaści. I wtedy poczułem, że kamień, na którym stoję, chwieje się pode mną. Przez cały czas wisiał na włosku i teraz stoczył się na trampolinę.

Uderzając w nią zmienił podłogę w pochylnię i pozostałe jeszcze w pokoju meble zaczęły się zsuwać do morza.

Pierwszy wypadł jak z procy ksylofon, tocząc się na swoich małych kółeczkach. Potem poszedł stolik nocny na wyścigi z podskakującą lampą lutowniczą. W gorączkową pogoń za nimi rzuciły się krzesła.

A gdzieś w głębi pokoju, poza zasięgiem naszego wzroku, poruszyło się coś ciężkiego.

Sunęło z ociąganiem po pochylni, aż wreszcie ukazało swój złoty dziób. Była to łódź, w której spoczywało ciało "Papy".

Szalupa dojechała do końca pochylni. Dziób pochylił się i łódka zsunęła się z pochylni. I spadła koziółkując.

Ciało "Papy" oddzieliło się od łódki i spadało osobno.

Zamknąłem oczy.

Rozległ się dźwięk, jakby ktoś delikatnie zamknął bramę wielką jak niebo, jakby cicho zatrzasnęły się wielkie drzwi do raju. Było to potężne westchnienie.

Otworzyłem oczy... i całe morze było lodem-9.

Wilgotna zielona wyspa zmieniła się w błękitnobiałą perłę.

Niebo pociemniało. Borasisi, słońce, stało się chorobliwie żółtą kulą, małą i okrutną.

Na horyzoncie ukazały się spirale trąb powietrznych.

117. SCHRON

Spojrzałem w niebo, tam gdzie przed chwilą był ptak. Nad naszymi głowami rozwarła się granatowa paszcza trąby powietrznej. Huczała jak rój pszczół, wyginała się i nieprzyzwoicie pulsując pożerała i wydalala powietrze.

Ludzie rozbiegli się, porzucając moje zrujnowane mury obronne, potykając się na schodach.

H. Lowe Crosby i jego Hazel krzyczeli: "Jesteśmy Amerykanami! Jesteśmy Amerykanami!", jak gdyby trąby powietrzne interesowały się tym, do jakich granfalonów należą ich ofiary.

Straciłem ich z oczu. Widocznie zeszli innymi schodami. Okrzyki Crosbych, pomieszane z odgłosami ucieczki pozostałych gości, dochodziły do mnie zniekształcone przez korytarze zamku. Ze mną była jedynie moja boska Mona, która szła obok mnie w milczeniu.

Kiedy się zawahałem, wyprzedziła mnie i otworzyła drzwi do sali przed apartamentem "Papy". Pomieszczenie nie miało ścian i sufitu, ale kamienna podłoga pozostała. A na środku podłogi była pokrywa zejścia do lochów. Pod wirującym niebem, w błyskach liliowego ognia tryskającego z paszcz trąb powietrznych, które chciały nas pożreć, uniosłem pokrywę.

Gardziel lochu wyposażona była w żelazne szczeble. Zamknąłem za sobą pokrywę i zeszliśmy w dół.

U stóp drabiny odkryliśmy tajemnicę państwową. "Papa" Monzano kazał zbudować w lochu przytulny schron przeciwatomowy. Był tam wentylator napędzany rowerem. W jednej ze ścian umieszczono zbiornik na wodę. Woda była smaczna i mokra, nie skażona jeszcze lodem-9. Była tam też chemiczna toaleta, krótkofalówka, katalog handlowy Searsa i Roebucka, kartony delikatesów i alkoholu, świece i oprawne roczniki "National Geographic" z ostatnich dwudziestu lat.

Był tam też komplet dzieł Bokonona.

I było podwójne łóże.

Zapaliłem świecę. Otworzyłem puszkę amerykańskiego rosołu z kury i wstawiłem ją do piecyka. Nalałem też dwa kieliszki rumu z Wysp Dziewiczych.

Mona usiadła na jednym łóżku, ja na drugim.

- Powiem ci teraz coś, co, jak przypuszczam, mężczyźni nieraz mówili kobietom - poinformowałem Monę. - Myślę jednak, że nigdy jeszcze słowa te nie były tak pełne znaczenia jak dzisiaj.

- Co to za słowa?

Rozłożyłem ręce.

- Nareszcie jesteśmy sami.

118. ŻELAZNA DZIEWICA I LOCH

Rozdział Szósty Księgi Bokonona poświęcony jest cierpieniu, a w szczególności torturom zadawanym ludziom przez ludzi. "Jeżeli mnie kiedyś nadzieją na hak - uprzedza Bokonon - możecie się po mnie spodziewać bardzo ludzkiego zachowania."

Następnie Bokonon mówi o łamaniu kołem, hiszpańskim bucie, żelaznej dziewicy i wreszcie o lochu.

*Jak bądź się to odbędzie, bez płaczu się nie obędzie,
Lecz tylko w lochu dość czasu, by przedtem pomyśleć, mieć będziesz.*

I tak też było w naszym lochu. Mieliśmy czas na rozmyślania. Między innymi przyszło mi do głowy, że cały komfort naszego więzienia nie zmienia podstawowego faktu - że byliśmy uwięzieni.

W czasie pierwszego dnia i pierwszej nocy spędzonej pod ziemią huragany bez przerwy potrząsały pokrywą włazu. Ciśnienie w naszej kryjówce ulegało gwałtownym zmianom, powodując zaleganie w uszach i zawroty głowy.

Co zaś do radia, to słyhać w nim było tylko trzaski i zakłócenia atmosferyczne, i to było wszystko. Na całej skali ani jednego słowa, ani jednego sygnału Morse'a. Jeśli ludzie gdzieś jeszcze istnieli, to nie znajdowało to żadnego odbicia w eterze.

I nie znajduje do dzisiaj.

Moje przypuszczenia były następujące: huragany, roznoszące po świecie błękitnobiałą truciznę lodu-9, rozerwały na strzępy wszystko, co było na powierzchni. Ci, co przeżyli, wkrótce umrą z pragnienia, z głodu, z wściekłości albo z nudów.

Sięgnąłem więc do Księgi Bokonona. Nie znałem jej jeszcze dostatecznie i dlatego wierzyłem, że mogę w niej znaleźć pociechę duchową. Zlekceważyłem ostrzeżenie widniejące na stronie tytułowej:

"Nie bądź głupi! Natychmiast zamknij tę księgę! Nie znajdziesz w niej nic prócz fomy!"

Foma to, oczywiście, łgarstwa.

I czytałem dalej.

"Na początku Bóg stworzył Ziemię i oglądał ją z wyżyn swojej kosmicznej samotności.

I rzekł Pan: Ulepmy z gliny żywe stworzenia, aby glina mogła zobaczyć, co uczyniliśmy. I ulepił Bóg wszelkie zwierzęta, jakie żyją na Ziemi, a pośród nich i człowieka. Jedynie glina w postaci człowieka potrafiła mówić. Bóg pochylił się nisko, kiedy glina w postaci człowieka powstała, rozejrzała się dokoła i przemówiła. Człowiek zamrugał i grzecznie spytał: Jaki jest sens tego wszystkiego?

- Czy wszystko musi mieć jakiś sens? - spytał Bóg.

- Oczywiście - odpowiedział człowiek.

- W takim razie pozostawiam tobie znalezienie sensu tego wszystkiego - powiedział Bóg.

I odszedł."

Pomyślałem sobie, że to bzdura.

"Oczywiście, jest to bzdura" - powiada Bokonon.

Wówczas zwróciłem się do mojej boskiej Mony, aby poszukać ukojenia w jej przepastnych tajemnicach.

Wpatrzony w nią przez szerokość naszego podwójnego łóża, wyobrażałem sobie, że w jej cudownych oczach dostrzegam odbłask tajemnic wiecznej Ewy.

Pozwolę sobie pominąć nieciekawą scenę seksualną, jaka się następnie rozegrała. Wystarczy powiedzieć, że po jej zakończeniu oboje czuliśmy do siebie odrazę.

Ta dziewczyna zupełnie nie interesowała się tymi rzeczami. Kiedy nasza kotłowanina dobiegła końca, poczułem się tak, jakbym to ja wymyślił ten cudaczny, przebiegający wśród stękania i potu sposób produkowania nowych ludzi.

Zgrzytając zębami wróciłem na swoje łóżko z przeświadczeniem, że Mona nie ma pojęcia, po co ludzie to robią. Ona jednak powiedziała cicho:

- Czy nie sądzisz, że byłoby bardzo smutno mieć teraz małe dziecko?
- To prawda - zgodziłem się ponuro.
- Może nie wiesz, ale właśnie w ten sposób robi się małe dzieci.

119. MONA DZIĘKUJE

“Dzisiaj jestem bułgarskim ministrem oświaty - powiada Bokonon. - Jutro będę Piękną Heleną.”
Sens jego słów jest jasny jak słońce: każde z nas musi być tym, kim jest. Dzięki Księdze Bokonona o tym głównie rozmyślałem tam, w lochach.

Bokonon zapraszał mnie, abym śpiewał wraz z nim:

Hej, rób! Rób, bracie, rób!!

Co? To, co trzeba, rób, bracie, i kwita.

Hej, rób! Rób, aż po grób!

Rób, bracie, rób, aż wyciągniesz kopyta!

Ułożyłem do tego melodię i gwizdałem ją sobie pod nosem, kręcąc pedałami roweru napędzającego wentylator, który zaopatrywał nas w powietrze, pocziwe stare powietrze.

- Człowiek wdycha tlen, a wydycha dwutlenek węgla! - zawołałem do Mony.

- Co?

- Nauka.

- A-a...

- Jedna z tajemnic życia. Przez długi czas ludzie sądzili, że zwierzęta wydychają to samo, co wdychają, i na odwrót.

- Nie wiedziałam.

- Teraz już wiesz.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Kiedy powietrze znowu było czyste i świeże, zsiadłem z roweru i wspiąłem się po żelaznych szczeblach, żeby zobaczyć, jaka jest pogoda na górze. Robiłem to po kilka razy dziennie. Tego dnia, a był to nasz czwarty dzień w lochu, zobaczyłem przez wąską szczelinę uchylonej pokrywy, że pogoda zaczyna się jakby stabilizować.

Była to stabilizacja z rodzaju dziko ruchliwych, gdyż trąby powietrzne szalały nadal, tak jak szaleją do dzisiaj. Ich żarłoczne paszcze nie zagrażały już jednak ziemi, ale wycofały się dyskretnie na wysokość może pół mili. I tak przestrzegały tej wysokości, jakby San Lorenzo przykryte było kopułą z pancernego szkła.

Odczekaliśmy jeszcze trzy dni, aby się upewnić, że huragany stały się rzeczywiście tak powściągliwe, jak się wydawało. Potem napełniliśmy manierki wodą z naszego zbiornika i wyszliśmy.

Powietrze było suche, gorące i śmiertelnie nieruchome.

Słyszałem, jak ktoś kiedyś dowodził, że w klimacie umiarkowanym powinno się rozróżniać nie cztery, a sześć pór roku: lato, jesień, zamknięcie, zima, otwarcie i wiosna. Przypomniałem to sobie, kiedy wyszedłszy z lochu patrzyłem, nasłuchiwałem i wahałem.

Nie było żadnego zapachu. Żadnego ruchu. Każdemu mojemu krokowi towarzyszył skrzyp błękitnobiałego szronu. Każde skrzypnięcie rozlegało się donośnym echem. Czas zamykania mieliśmy za sobą. Ziemia była zamknięta na dobre.

Teraz już zawsze będzie zima.

Pomogłem mojej Monie wyjść z lochu. Ostrzegłem ją, aby nie dotykała rękami błękitnobiałego szronu i aby ręce trzymała z daleka od ust.

- Nigdy jeszcze nie było tak łatwo o śmierć - powiedziałem jej. - Wystarczy dotknąć dłonią ziemi, a później ust, i człowiek jest gotowy.

Mona potrząsnęła głową i westchnęła.

- Bardzo niedobra matka.

- Proszę?

- Mówię, że Matka Ziemia przestała już być dla nas dobrą matką.

- Hop, hop! - nawoływałem wśród ruin pałacu. Potworne wichury wyłobiły wąwozy w tej wielkiej kupie gruzów. Prowadziliśmy z Moną poszukiwania wśród ruin bez przekonania, gdyż nigdzie nie było najmniejszego śladu życia, choćby jednego wścibskiego, wiecznie węszącego szczura.

Sklepienie bramy zamkowej było jedynym ocalałym dziełem rąk ludzkich. Podeszliśmy tam z Moną. Ktoś wypisał na murze białą farbą bokononistyczne Calypso. Litery były staranne i świeże. Stanowiły dowód, że ktoś jeszcze oprócz nas przeżył kataklizm.

Calypso brzmiało następująco:

*Aż kiedyś ten szalony świat dobiegnie kresu i na koniec
Bóg poodbiera nam zabawki, które nam były pożyczone,
I jeśli wtedy, w owym dniu, urągać Bogu zechcesz,
Błuznij, przeklinaj, rób, co chcesz - On tylko się uśmiechnie.*

120. DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH

Przypomniałem sobie reklamę biblioteczki dla dzieci pod tytułem Skarbnica Wiedzy. Na rysunku chłopczyk i dziewczynka z zaufaniem wpatrywali się w ojca. "Tatusiu - pytało jedno z nich - dlaczego niebo jest niebieskie?" Odpowiedź na to pytanie można było widocznie znaleźć w Skarbnicy Wiedzy.

Gdybym miał pod ręką takiego tatusia teraz, kiedy opuszczaliśmy z Moną ruiny pałacu, mógłbym uwieszony u jego ręki zadać mu całą masę pytań. "Tatusiu, dlaczego wszystkie drzewa są połamane? Tatusiu, dlaczego wszystkie ptaki leżą nieżywe? Tatusiu, dlaczego niebo jest takie brzydkie i poskręcane? Tatusiu, dlaczego morze jest twarde i nieruchome?"

Pomyślałem sobie, że ze wszystkich ludzi na świecie ja jestem najbardziej powołany do udzielania odpowiedzi na te niełatwe pytania. Zakładając, że byli jeszcze jacyś inni ludzie na świecie. Jeśliby to kogoś interesowało, mogłem wyjaśnić, co się stało, gdzie i dlaczego.

I co z tego?

Zastanawiałem się, gdzie są umarli. Mona i ja odeszliśmy już przeszło milę od naszego lochu i nie dostrzegliśmy ani jednego ciała.

Żywi mnie jakoś mniej interesowali, może przeczuwałem, iż najpierw będę musiał mieć do czynienia z dużą ilością zmarłych. Nie widziałem nigdzie dymów ognisk, ale i tak trudno byłoby je zobaczyć na tle kotłującego się nieboskłonu.

Coś jednak przyciągnęło mój wzrok: zielonkawy poblask wokół dziwacznej skałki na szczycie Góry McCabe'a. Zdawała się wzywać mnie i przyszedł mi do głowy bezsensowny, jakby wyjęty z filmu pomysł, żeby wejść razem z Moną na szczyt. Tylko po co?

Wkroczyliśmy teraz na pofałdowany teren u podnóża Góry McCabe'a. W pewnej chwili Mona jakby przypadkowo oddaliła się ode mnie, zeszła z drogi i wspięła się na jedno ze wzniesień. Poszedłem w jej ślady.

Dogoniłem ją na szczycie pagórka. Patrzyła w dół, gdzie przyroda uformowała między wzgórzami rozległą kotlinę. Nie płakała.

A miała prawo zapłakać.

W kotlinie leżały ciała tysięcy zmarłych. Ich wargi pokrywał błękitnobiały nalot lodu-9.

Ciała nie były porzucane ani nie leżały jedne na drugich, co świadczyło, że ludzie zebrali się tutaj już po ustaniu straszliwych huraganów. Ponieważ zaś każdy ze zmarłych trzymał palec przy wargach, zrozumiałem, że ludzie zebrali się w tym smutnym miejscu i następnie otruli się lodem-9.

Byli tu mężczyźni, kobiety, a także dzieci, wiele z nich w pozycji boko-maru. Twarze wszystkich zwrócone były do środka kotlinki, jak na przedstawieniu w amfiteatrze.

Popatrzyliśmy w ślad za ich szklistymi spojrzeniami na środek zagłębienia. Był tam krąg wolnej przestrzeni, jakby miejsce dla mówcy.

Zbliżyliśmy się ostrożnie do tego miejsca, unikając dotknięcia budzących grozę figur. Pośrodku kręgu leżał spory kamień, a pod kamieniem znaleźliśmy napisany ołówkiem list następującej treści:

"Do wszystkich zainteresowanych: Ci ludzie wokół was to prawie wszyscy mieszkańcy San Lorenzo, którzy przeżyli huragany i zamarznięcie morza. Ludzie ci schwytali rzekomego świętego imieniem Bokonon, przyprawili go tutaj, otoczyli go i zażądali, aby wyjaśnił im, o co chodzi Bogu Wszechmogącemu i co oni mają robić. Ten szarlatan Bokonon powiedział, że «Bóg niewątpliwie stara się ich zgładzić, prawdopodobnie dlatego, że ma ich już dosyć, powinni więc mieć na tyle dobrego wychowania, żeby umrzeć.» Co też, jak widać, zrobili."

Pod listem podpisany był Bokonon.

121. SPÓŹNIAM SIĘ Z ODPOWIEDZIĄ

- Cóż za cynik! - krzyknąłem. Podniosłem wzrok znad listu i rozejrzałem się po wypełnionej śmiercią kotlinie. - Czy on tu gdzieś jest?

- Nie widać go - powiedziała Mona łagodnie. Nie sprawiała wrażenia przygnębionej ani rozgniewanej. Co więcej, wyglądała tak, jakby była bliska śmiechu. - Bokonon często powtarzał, że nigdy nie posłucha swojej rady, bo nie ma do siebie zaufania.

- Szkoda, że go tu nie ma! - powiedziałem z wściekłością. - Ile trzeba bezczelności, żeby wszystkich tych ludzi namówić do samobójstwa!

Mona roześmiała się. Nigdy dotychczas nie słyszałem jej śmiechu. Był zaskakująco niski i chropowaty.

- Uważasz, że to zabawne?

Wzruszyła ramionami.

- To jest przede wszystkim proste. Rozwiązało tyle spraw tylu ludziom w tak prosty sposób.

I śmiejąc się ruszyła pomiędzy tysiącami skamieniałych trupów. W połowie zbocza przystanęła i odwróciła się w moją stronę.

- Czy gdybyś mógł, przywróciłbyś życie komuś z tych ludzi? Odpowiedz natychmiast!

- Czas na odpowiedź minął! - zawołała żartobliwie po pół minucie. I z uśmiechem na twarzy dotknęła dłonią ziemi, wyprostowała się, przytknęła palce do warg i umarła.

Czy płakałem? Podobno tak. H. Lowe Crosby, jego Hazel i mały Newton Hoenikker znaleźli mnie na drodze idącego bez celu. Jechali jedyną taksówką San Lorenzo, która jakimś cudem wyszła cało z kataklizmu. Podobno płakałem. Hazel rozplakała się również, z radości, że zobaczyła mnie całego i zdrowego.

Wciągnięto mnie do taksówki.

Hazel otoczyła mnie ramieniem.

- Jesteś teraz z mamusią. Wszystko będzie dobrze.

Przestałem myśleć. Zamknąłem oczy. Z głęboką, idiotyczną ulgą przytuliłem się do tej dużej, ciepłej, głupiej baby.

122. RODZINA NA BEZLUDNEJ WYSPIE, CZYLI ROBINSON SZWAJCARSKI

Zabrano mnie do resztek willi Franklina Hoenikkera. Pozostała z niej tylko jaskinia pod wodospadem, zmieniona obecnie w rodzaj igloo pod przezroczystą, błękitno-białą kopułą lodu-9.

Towarzystwo składało się z Franka, małego Newta i małżeństwa Crosbych. Przeżyli kataklizm w piwnicy pałacu, znacznie płytszej i mniej luksusowej niż mój loch. Wyszli stamtąd natychmiast, gdy tylko wichura ucichła, tymczasem ja z Moną siedzieliśmy pod ziemią jeszcze przez trzy dni.

Tak się złożyło, że znaleźli zaczarowaną taksówkę, która jakby czekała na nich pod sklepieniem zamkowej bramy. Znaleźli też puszkę białej farby i Frank wymalował na przednich drzwiczkach pojazdu białe gwiazdy, zaś na dachu litery symbolizujące granfalon: USA.

- I zostawił pan resztę farby w bramie - powiedziałem.

- Skąd pan wie?

- Ktoś inny, przechodząc tamtędy, wypisał nią wiersz.

Nie wypytywałem ich, w jaki sposób zginęła Angela Hoenikker Connors oraz Filip i Julian Castle, gdyż musiałbym wtedy opowiedzieć o Monie. Na razie nie byłem do tego zdolny.

Nie chciałem rozmawiać o śmierci Mony także dlatego, że kiedy jechaliśmy taksówką, uderzyła mnie nieusprawiedliwiona wesołość Crosbych i małego Newta.

Słowa Hazel wyjaśniły mi przyczynę tej wesołości.

- Poczekaj, zobaczysz, jak żyjemy. Mamy dużo różnych dobrych rzeczy do jedzenia, a kiedy potrzeba nam wody, rozpalamy ognisko i topimy lód. Zupełnie jak rodzina szwajcarskich Robinsonów.

123. MYSZY I LUDZIE

Było to dziwne sześć miesięcy - sześć miesięcy, w czasie których napisałem tę książkę. Hazel miała rację, nazywając naszą małą społeczność rodziną szwajcarskich Robinsonów, gdyż podobnie jak oni przeżyliśmy burzę, zostaliśmy osamotnieni, a potem życie płynęło nam jak po miodzie. Miało to w sobie coś z uroków świata Walta Disaeya.

Nie przetrwała ani jedna roślina, ani jedno zwierzę, to prawda. Ale lód-9 zakonserwował świnie, krowy, młode sarenki, ptaki i jagody do czasu, aż zechcemy odgrzać je i ugotować. Ponadto w ruinach Bolivaru znajdowała się wyzerka w postaci ton konserw, a my byliśmy, jak się zdaje, jedynymi ludźmi na San Lorenzo.

Z jedzeniem nie było żadnych problemów, podobnie jak z odzieżą i mieszkaniami, gdyż zapanowała raz na zawsze pogoda sucha, bezwietrzna i upalna. Również nasze zdrowie było w znakomitym stanie. Wyglądało na to, że wszystkie bakterie wymarły albo zapadły w sen.

Tak dalece przystosowaliśmy się do nowej sytuacji, że nikt nie wyraził zdziwienia ani nie zaprotestował, kiedy Hazel powiedziała:

- Przynajmniej to dobre, że nie ma komarów.

Siedziała na trójnogu pośrodku polanki wyznaczającej miejsce, gdzie kiedyś stała willa Franka. Zszywała pasy czerwonego, granatowego i białego materiału. Niczym Betsy Ross szyła amerykańską flagę. Nikt nie był na tyle nietaktowny, aby jej wypomnieć, że czerwony jest właściwie brzoskwińowy, granatowy jest prawie seledynowy, zaś pięćdziesiąt wyciętych przez nią gwiazdek to sześcioramienne gwiazdy Dawida, a nie pięcioramienne gwiazdy amerykańskie.

Jej mąż, który zawsze był dobrym kucharzem, siedział przy ognisku i dusił w żelaznym garnku potrawkę. Był teraz naszym kucharzem. Bardzo lubił gotować.

- Wygląda apetycznie, pachnie apetycznie - zauważyłem. Crosby zmrużył oko.

- Nie strzelać do kucharza. Robi wszystko, co może.

Nasza pogodna rozmowa odbywała się na tle dokuczliwego dat-dat i dit-dit skonstruowanej przez Franka automatycznej krótkofalówki. Nadawała ona dzień i noc sygnał SOS.

- Ratujcie nasze dusze - nuciła Hazel do taktu. - Ratujcie nasze dusze.

- Jak idzie pisanie? - spytała mnie po chwili.

- Doskonale, mam, doskonale.

- Kiedy dasz nam to poczytać?

- Jak będzie gotowe, mam, jak będzie gotowe.

- Wielu słynnych pisarzy pochodziło z Indiany.

- Wiem.

- Twoje nazwisko znajdzie się na długiej liście - uśmiechnęła się z nadzieją. - Czy to będzie książka do śmiechu?

- Mam nadzieję, mam.

- Wiesz, że lubię się pośmiać.

- Wiem, mam.

- Każdy człowiek ma jakąś specjalność, coś, co daje i z siebie innym. Ty piszesz książki, które nas rozśmieszają, Frank zajmuje się nauką, mały Newt maluje dla nas wszystkich, ja szyję, a Lowie gotuje.

- Dużo rąk zmienia ciężką pracę w lekką, powiada stare chińskie przysłowie.

- Ci Chińczycy nie byli tacy głupi.

- Zachowajmy ich w naszej pamięci.

- Żałuję teraz, że tak mało się nimi interesowałam.
- To nie była taka łatwa sprawa, nawet w idealnych warunkach.
- Żałuję, że w ogóle tak mało się uczyłam.
- Wszyscy czegoś żałujemy, mamo.
- Nie czas żałować róż...
- Jak powiada poeta: "Najmądrsze plany myszy, ludzi krzyżuje los, i nie zostaje nic po trudzie prócz żalu, trosk."
- Jak pięknie i jak prawdziwie!

124. MRÓWCZA FARMA FRANKA

Widok Hazel kończącej szycie sztandaru nie napawał mnie entuzjazmem, gdyż zostałem wplątany w jej szaleńcze plany co do tej flagi. Hazel wbiła sobie do głowy, że zgodziłem się zatknąć tę głupią rzecz na szczycie Góry McCabe'a.

- Gdybyśmy z Lowem byli młodszy, sami byśmy to zrobili. Teraz możemy już tylko wręczyć ci ten sztandar i być myślą z tobą.

- Zastanawiam się, czy to jest rzeczywiście najodpowiedniejsze miejsce na sztandar?

- A czy jest jakieś lepsze?

- Muszę pomyśleć - powiedziałem i zszedłem do jaskini, żeby zobaczyć, co robi Frank.

Nie wymyślił nic nowego. Obserwował zbudowaną przez siebie mrówczą farmę. Frank znalazł trochę mrówek, które przetrwały w trójwymiarowym świecie ruin Bolívaru, i zredukował ich świat do dwóch wymiarów, robiąc coś na kształt kanapki z ziemi i mrówek pomiędzy dwiema szybkami. Mrówki nie mogły zrobić żadnego ruchu, który ukryłby się przed wzrokiem Franka i jego komentarzem. Eksperyment dał odpowiedź na pytanie, jak mrówki mogą żyć w świecie pozbawionym wody. O ile wiem, były one jedynymi owadami, jakie przeżyły, a robiły to tworząc ze swoich ciał zbite kule wokół okruchów lodu-9. Wprawdzie połowa z nich ginęła, ale na skutek wytworzonego ciepła uzyskiwały kroplę wody. Woda nadawała się do picia. Ciała tych, które zginęły, nadawały się do jedzenia.

- Jedźmy, pijmy i radujmy się, albowiem jutro umrzemy - powiedziałem do Franka i jego małych kanibali.

Jego reakcja była zawsze taka sama. Opryskliwym tonem robił wykład na temat tego, czego ludzie mogą się nauczyć od mrówek.

Moje odpowiedzi również były zgodne z niepisany rytuałem.

- Przyroda to naprawdę cudowna rzecz. Cudowna.

- Czy wie pan, dlaczego mrówki mają takie osiągnięcia? - pytał po raz tysięczny. - Dzięki kooperacji.

- Cholernie ładne słowo - kooperacja.

- Kto je nauczył, jak uzyskiwać wodę?

- A kto mnie nauczył, jak uzyskiwać wodę?

- To nie jest żadna odpowiedź i sam pan o tym dobrze wie.

- A to przepraszam.

- Był czas, kiedy przyjmowałem takie głupie odpowiedzi za dobrą monetę. Teraz mi się to nie zdarza.

- Nowy etap.

- Zrozumiałem wiele rzeczy.

- Świat poniósł pewne koszty w związku z pańską edukacją.

Mogłem sobie pozwalać na takie uwagi pod jego adresem, mając całkowitą pewność, że do niego nie dotrą.

- Kiedyś łatwo mnie było zagadać, bo brakowało mi pewności siebie.

- Niejakie zmniejszenie liczby ludności na świecie niewątpliwie musiało panu poważnie uprościć sytuację osobistą - wtrąciłem. I znowu był to groch o ścianę.

- Proszę mi powiedzieć, kto nauczył te mrówki, jak uzyskiwać wodę - przypierał mnie do muru Frank.

Kilkrotnie proponowałem mu najprostsze rozwiązanie - że to Pan Bóg. I nauczony gorzkim

doświadczeniem wiedziałem, że Frank ani nie odrzuci, ani nie przyjmie tej teorii. Po prostu będzie się coraz bardziej zacietrzewiał, powtarzając w kółko swoje pytanie.

Pozostawiłem Franka samemu sobie, zgodnie z radą zawartą w Księdze Bokonona. "Trzymajcie się z dala od człowieka, który pracował w pocie czoła nad rozwiązaniem jakiejś zagadki, rozwiązał ją i stwierdził, że nie jest mądrzejszy niż przedtem - powiada Bokonon. - Przepęlnia go bowiem mordercza pogarda do ludzi, którzy są równie głupi jak on, ale nie doszli do swojej głupoty równie ciężką pracą."

Wyszedłem poszukać małego Newta, naszego malarza.

125. TASMAŃCZYCY

Znalazłem małego Newta zajętego malowaniem rozbebeszonego pejzażu o ćwierć mili od jaskini. Poprosił mnie, żebym pojechał z nim do miasta na poszukiwanie farb. Sam nie mógł prowadzić, gdyż nie sięgał nogami do pedałów.

Pojechaliśmy więc i po drodze spytałem go, czy odczuwa popęd seksualny. Ja sam poskarżyłem się na zupełny zastój w tych rzeczach: żadnych snów, niczego.

- Kiedyś śniłem o olbrzymkach wzrostu dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu stóp - powiedział Newt. - Ale teraz? Teraz nie potrafię sobie nawet przypomnieć, jak wyglądała moja liliputka.

Opowiedziałem historię, jaką kiedyś czytałem na temat krajowców z Tasmanii. Kiedy ci chodzący zawsze nago krajowcy zostali odkryci przez białych w siedemnastym wieku, nie mieli pojęcia o rolnictwie, hodowli zwierząt, architekturze, a może nawet o uzyskiwaniu ognia. Swoją niewiedzą wywoływali taką pogardę w białych, że pierwsi osadnicy, którzy byli angielskimi zesłańcami, polowali na nich dla sportu. Życie krajowców tak dalece straciło wszelki urok, że przestali się rozmnażać.

Wysunąłem hipotezę, że pozbawiła nas męskości podobnie beznadziejna sytuacja.

- Myślę, że cała ta zabawa w łóżku miała więcej wspólnego z przedłużaniem gatunku, niż ktokolwiek z nas przypuszczał - zauważył Newt inteligentnie.

- Oczywiście, gdyby znajdowała się wśród nas kobieta w odpowiednim wieku, sytuacja mogłaby ulec radykalnej zmianie. Biedna pocziwa Hazel przekroczyła już wiek, w którym mogłaby urodzić choćby debila.

Okazało się, że Newt ma rozległe wiadomości na temat debilów. Chodził kiedyś do szkoły specjalnej dla dzieci niedorozwiniętych i wśród jego kolegów było wielu debilów.

- Najlepiej z całej klasy pisała taka debilka Myrna. Mam na myśli, oczywiście, charakter pisma, a nie to, co pisała. Boże, przypomniałem sobie o niej po raz pierwszy od wielu lat.

- Czy to była dobra szkoła?

- Pamiętam tylko ulubione słowa naszego dyrektora. Stale beształ nas przez głośniki za jakieś psoty i zawsze zaczynał tymi samymi słowami: "Jestem chory i robi mi się niedobrze..."

- Te słowa zupełnie trafnie oddają to, co ja teraz czuję.

- Może tak właśnie powinien się pan czuć.

- Mówi pan jak bokononista.

- Dlaczego nie? Z tego, co wiem, bokononizm jest jedyną religią, która ma coś do powiedzenia na temat liliputów.

W przerwach między pisaniem swojej książki spędzałem wiele czasu nad Księgą Bokonona, ale nie zauważyłem niczego o liliputach. Byłem wdzięczny Newtonowi, że zwrócił na to moją uwagę, gdyż, jak się okazało, kuplet o karzełkach znakomicie wyrażał okrutny paradoks myśli Bokonona, przemożną potrzebę zakłamywania rzeczywistości i absolutną niemożność kłamstwa.

Karzeł - popatrz, jak on stąpa, jak spogląda, jak się puszy!

Widać wie, że każda wielkość jest wielkością duszy.

126. WIĘC GRAJCIE, FLETY, BEZGŁOŚNE PIOSENKI

- Cóż za przygnębiająca religia! - zawołałem i skierowałem naszą rozmowę na temat utopii, czyli tego, co mogłoby być, co powinno być, co może jeszcze będzie, jeśli przyjdzie odwilż.

Ale Bokonon dotarł i tutaj, pisząc cały rozdział na temat utopii. Rozdział Siódmy, zatytułowany *Państwo Bokonona*. Znajdujemy w nim następujące potworne aforyzmy:

“Ci, którzy posiadają akcje domów towarowych, władają światem.

Zacznijmy nasze Państwo od zorganizowania sieci domów towarowych, sieci sklepów spożywczych, sieci komór gazowych i ustalenia, co będzie naszym sportem narodowym. Potem możemy przystąpić do pisania konstytucji.”

Powiedziałem, że Bokonon jest starym murzyńskim skurwielem, i znowu zmieniłem temat. Mówiłem o znaczeniu bohaterskich czynów jednostek. Jako przykład dawałem w pierwszym rządzie śmierć, jaką wybrali Julian Castle i jego syn. Podczas szalejącego huraganu wyruszyli oni pieszo do Domu Nadziei i Miłosierdzia w Dżungli, aby zanieść chorem całą nadzieję i miłosierdzie, jakie im jeszcze pozostały. Dostrzegłem również znamię wielkości w śmierci biednej Angeli. Znalazła w ruinach Bolivaru klarnet i natychmiast zagrała, nie troszcząc się o to, czy ustnik nie jest zanieczyszczony lodem-9.

- “Więc grajcie, flety, bezgłośne piosenki...” - szepnąłem ze wzruszeniem.

- Może i pan znajdzie jakiś gustowny sposób odejścia z tego świata - powiedział Newt.

Była to bardzo bokononistyczna uwaga.

Zdradziłem się przed Newtem ze swojego marzenia, aby zdobyć Górę McCabe'a i zatknąć na szczycie jakiś wspaniały symbol. Wypuściłem na moment kierownicę, żeby zademonstrować mu puste ręce, brak jakiegokolwiek symbolu.

- Ale cóż, u diabła, może być odpowiednim symbolem?

Znowu oparłem dłoń na kierownicy.

- Oto nastąpił koniec świata; oto jestem jednym z ostatnich ludzi, a tam wznosi się najwyższa góra w okolicy. Teraz już wiem, co było zadaniem mojego karassu. Mój karass trudził się dniami i nocami przez co najmniej pół miliona lat po to, aby zaprowadzić mnie na ten szczyt.

Pokręciłem głową, bliski płaczu.

- Ale cóż, u Boga Ojca, mam trzymać w ręku?

Zadając to pytanie wyglądałem przez okna niewidzącymi oczami i przejechałem chyba przeszło milę, zanim zdałem sobie sprawę, że zająłem w oczy starego Murzyna, żywego czarnego człowieka siedzącego na skraju drogi.

Wówczas zwolniłem. Potem zatrzymałem auto. Zasłoniłem oczy rękami.

- Co się stało? - zapytał Newt.

- Widziałem przed chwilą Bokonona.

127. KONIEC

Siedział na kamieniu. Był boso. Jego stopy pokrywał nalot lodu-9. Jedyńm jego strojem była biała kapa na łożko z niebieskim haftem. Na kapie wyhaftowany był napis: "Casa Mona". Nie zwrócił uwagi na nasze przybycie. W dłoniach miał papier i ołówek.

- Czy pan jest Bokononem?

- Tak. Słucham.

- Czy mogę spytać, o czym pan myśli?

- Zastanawiam się, młody człowieku, nad ostatnim zdaniem Księgi Bokonona. Nadszedł bowiem czas ostatniego zdania.

- Czy coś pan już wymyślił?

Bokonon wzruszył ramionami i podał mi kartkę papieru.

Oto, co na niej przeczytałem:

"Gdybym był młodszy, napisałbym historię ludzkiej głupoty; potem wszedłbym na szczyt Góry McCabe'a i położył się na wznak z moją historią pod głową; potem podniósłbym z ziemi szczyptę błękitnobiałej trucizny, która zamienia ludzi w posągi, i zmieniłbym się w posąg człowieka, który leży na plecach i z upiornym uśmiechem gra na nosie sami wiecie komu."

Przełożył: Lech Jęczmyk

Spis treści

- [1. DZIEŃ, W KTÓRYM NASTĄPIŁ KONIEC ŚWIATA.. 3](#)
- [2. PRZEDZIWNY MECHANIZM... 4](#)
- [3. GŁUPOTA.. 4](#)
- [4. PIERWSZY KONTAKT.. 5](#)
- [5. LIST STUDENTA MEDYCYNY.. 7](#)
- [6. WALKI OWADÓW... 10](#)
- [7. WYBITNA RODZINA.. 12](#)
- [8. ROMANS NEWTA I ZINKI. 13](#)
- [9. WICEPREZES DO SPRAW WULKANÓW... 14](#)
- [10. TAJNY AGENT X-9. 15](#)
- [11. PROTEINY.. 16](#)
- [12. KOKTAJL "KONIEC ŚWIATA". 17](#)
- [13. ODSKOCZNIA.. 18](#)
- [14. SAMOCHODY Z KRYSZTAŁOWYMI WAZONAMI. 19](#)
- [15. WESOŁYCH ŚWIĄT.. 21](#)
- [16. Z POWROTEM DO PRZEDSZKOŁA.. 23](#)
- [17. ŻEŃSKI KLASZTOR.. 24](#)
- [18. NAJCENNIJSZY TOWAR NA ZIEMI. 25](#)
- [19. KONIEC Z BŁOTEM... 27](#)
- [20. LÓD-9. 28](#)
- [21. PIECHOTA MORSKA ATAKUJE.. 30](#)
- [22. PRZEDSTAWICIEL PRASY BRUKOWEJ. 31](#)
- [23. ŁABĘDZIA PIEŚŃ.. 32](#)
- [24. CO TO JEST WAMPETER.. 32](#)
- [25. CO BYŁO NAJWAŻNIEJSZE DLA DOKTORA HOENIKKERA.. 33](#)
- [26. CO TO JEST BÓG.. 34](#)
- [27. PRZYBYSZ Z MARSA.. 35](#)
- [28. MAJONEZ.. 36](#)
- [29. ODESZLI, ALE PAMIĘĆ O NICH POZOSTAŁA.. 38](#)
- [30. ONA TYLKO ŚPI. 38](#)
- [31. INNY BREED.. 39](#)
- [32. PIENIĄDZE ZA DYNAMIT.. 40](#)
- [33. NIEWDZIĘCZNIK.. 41](#)
- [34. VIN-DIT.. 43](#)
- [35. SKLEP "U JACKA". 45](#)
- [36. MIAU.. 48](#)
- [37. WSPÓŁCZESNY GENERAL MAJOR.. 49](#)
- [38. ŚWIATOWE CENTRUM POŁOWÓW BARAKUDY.. 50](#)
- [39. FATAMORGANA.. 51](#)
- [40. DOM NADZIEI I MIŁOSIERDZIA.. 52](#)
- [41. KARASS NA DWOJE.. 53](#)
- [42. ROWERY DLA AFGANISTANU.. 54](#)

- [43. PO PROSTU CZŁOWIEK.. 57](#)
- [44. SYMPATYCY KOMUNIZMU.. 59](#)
- [45. DLACZEGO AMERYKANIE SĄ ZNIENAWIDZENI. 60](#)
- [46. BOKONONISTYCZNY SPOSÓB NA CESARZA.. 61](#)
- [47. DYNAMICZNE NAPIĘCIE.. 62](#)
- [48. ZUPEŁNIE JAK ŚWIĘTY AUGUSTYN.. 63](#)
- [49. RYBA WYRZUCONA PRZEZ WZBURZONE MORZE.. 64](#)
- [50. SYMPATYCZNY LILIPUT.. 67](#)
- [51. DOBRZE, MAMO.. 68](#)
- [52. BEZ BÓLU.. 69](#)
- [53. PREZES FIRMY FABRI-TEK.. 71](#)
- [55. NIGDY NIE SPORZĄDZAJ SKOROWIDZA DO WŁASNEJ KSIĄŻKI. 73](#)
- [56. PIEKIELNE PERPETUUM MOBILE.. 75](#)
- [57. KOSZMARNY SEN.. 76](#)
- [58. SWOISTA ODMIANA TYRANII. 77](#)
- [59. PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY.. 79](#)
- [60. UPOŚLEDZONY NARÓD.. 81](#)
- [61. RÓWNOWARTOŚĆ KAPRAŁA.. 82](#)
- [62. DLACZEGO HAZEL NIE BYŁA PRZESTRASZONA.. 83](#)
- [63. BOGOBOJNI I WOLNI. 84](#)
- [64. POKÓJ I DOBROBYT.. 85](#)
- [65. NAJODPOWIEDNIEJSZY MOMENT DO ODWIEDZENIA SAN LORENZO.. 86](#)
- [66. POTĘGA.. 88](#)
- [68. STU MECENIKUF. 91](#)
- [69. WIELKA MOZAIKA.. 91](#)
- [70. UCZEŃ BOKONONA.. 93](#)
- [71. DLACZEGO DOBRZE JEST BYĆ AMERYKANINEM... 94](#)
- [72. OBERŻA POD SZCZYLEM... 95](#)
- [73. CZARNA.. 97](#)
- [74. KOCIA KOŁYSKA.. 99](#)
- [75. PROSZĘ POZDROWIĆ ODE MNIE ALBERTA SCHWEITZERA.. 101](#)
- [77. ASPIRYNA I BOKO-MARU.. 103](#)
- [78. STAŁOWY PIERŚCIEŃ OBLAWY.. 105](#)
- [79. CO SIĘ STAŁO Z DUSZĄ MCCABE'A.. 106](#)
- [80. POŁAWIACZE ODPADKÓW... 107](#)
- [81. BIAŁA NARZECZONA DLA SYNA KONDUKTORA.. 110](#)
- [82. ZAH-MAH-KI-BO.. 112](#)
- [84. ZACIEMNIENIE.. 114](#)
- [85. STEK BZDUR.. 115](#)
- [86. DWA MAŁE TERMOSY.. 117](#)
- [87. JESTEM RÓWNY GOŚĆ.. 118](#)
- [89. DUFFLA.. 121](#)
- [90. JEDYNY WARUNEK.. 123](#)
- [91. MONA.. 124](#)
- [92. POETA OPIEWA SVOJE PIERWSZE BOKO-MARU.. 126](#)

- [93. JAK OMAL NIE STRACIŁEM SWOJEJ MONY.. 127](#)
- [94. NAJWYŻSZA GÓRA.. 129](#)
- [95. WIDZĘ HAK.. 130](#)
- [96. DZWONEK, KSIĄŻKA I KURA W PUDLE NA KAPELUSZE.. 131](#)
- [97. ŚMIERDZĄCY CHRZEŚCIJANIN.. 133](#)
- [98. OSTATNI OBRZĄDEK.. 135](#)
- [99. BUK STFOSZIL GLINA.. 135](#)
- [100. FRANK STACZA SIĘ DO LOCHÓW... 137](#)
- [102. WROGOWIE WOLNOŚCI. 140](#)
- [103. OPINIA LEKARSKA NA TEMAT SKUTKÓW STRAJKU PISARZY.. 142](#)
- [104. SULFATIAZOL.. 143](#)
- [105. ŚRODEK ZNIECZULAJĄCY.. 145](#)
- [108. FRANK MÓWI, CO TRZEBA ZROBIĆ.. 148](#)
- [109. FRANK SIĘ BRONI. 148](#)
- [110. ROZDZIAŁ CZTERNASTY.. 150](#)
- [111. CHWIŁA ODPOCZYNKU.. 151](#)
- [112. TOREBKA MATKI. 152](#)
- [113. HISTORIA.. 153](#)
- [114. GDY POCZUŁEM, ŻE POCISK PRZESZYWA MI SERCE.. 154](#)
- [116. POTEŻNE WESTCHNIENIE.. 159](#)
- [117. SCHRON.. 160](#)
- [118. ŻELAZNA DZIEWICA I LOCH.. 161](#)
- [119. MONA DZIEKUJE.. 163](#)
- [120. DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH.. 165](#)
- [121. SPÓŹNIAM SIĘ Z ODPOWIEDZIĄ.. 167](#)
- [123. MYSZY I LUDZIE.. 169](#)
- [124. MRÓWCZA FARMA FRANKA.. 170](#)
- [125. TASMAŃCZYCY.. 172](#)
- [126. WIĘC GRAJCIE, FLETY, BEZGŁOŚNE PIOSENKI. 174](#)
- [127. KONIEC.. 175](#)